

Czarodziejska pielgrzymka

Simak Clifford



calibre 0.9.43

CLIFFORD D. SIMAK

CZARODZIEJSKA

PIELGRZYMKI

Siedzący na krokwi goblin obserwował z uwagą czającego się w ciemnościach mnicha, ten zaś ukradkiem śledził bakałarza. Goblin nie cierpiał duchownego z całego serca i była to nienawiść w pełni uzasadniona. Braciszek nie znał uczuć wyższych, nie istniały dla niego miłość czy współczucie, był za to zawistny i chorobliwie ambitny. Bakałarz kradł właśnie coś, co wyglądało na manuskrypt; znalazł go w oprawie księgi.

Pora była późna i w bibliotece panowała cisza. Słysząc było chrobotanie myszy buszującej gdzieś w budynku. Świeca stojąca na stole, nad którym pochylał się bakałarz, niemal całkiem się wypaliła. Bakałarz zabrał manuskrypt ze stołu i po chwili zastanowienia schował go za pazuchę. Zamknął księgę i odłożył na poprzednie miejsce na polce. Zdusił palcami ogień. Białe promienie księżyca, wpadające przez wysokie, sięgające prawie samego sklepienia okna, oświetlały wnętrze biblioteki upiornym blaskiem.

Bakałarz odszedł od stołu i skierował się ku westybulowi, torując sobie drogę między gęsto ustawionymi stołami. Przyczajony w ciemnościach mnich skulił się jeszcze bardziej i wycofawszy się głęboko w cień, pozwolił mu przejść. Nie wykonał najmniejszego gestu, by go zatrzymać.

Drapiąc się w zakłopotaniu w głowę, goblin obserwował całą scenę spod wysokiego stropu. Jego nienawiść do mnicha rosła.

Mark Cornwall jadł właśnie posiłek, składający się z chleba i sera, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Komnata była mała i zimna; mały płomień, którym paliły się cienkie gałązki w kominku, nie mógł jej dostatecznie ogrzać.

Podniósł się i strąciwszy ręką okruchy sera z surduta, podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, ujrzał małe pomarszczone stworzenie, mierzące nie więcej niż metr wysokości, ubrane w wystrzępione skórzane spodnie. Istota miała białe owłosione nogi, koszulę ze znoszonego purpurowego aksamitu i spiczastą czapkę.

- Jestem goblin zza krokwi - przedstawiło się stworzenie.-Czy mogę wejść?

- Proszę. - Cornwall odsunął się od drzwi. - Słyszałem, oczywiście, o tobie, ale opowieści te włożyłem między bajki.

Goblin wszedł do komnaty i od razu skierował się ku kominkowi. Przykucnął/ przed nim i niemal włożył ręce w płomienie.

- A to dlaczego? - zapytał z rozdrażnieniem. - Przecież wiesz, że są na świecie gobliny, elfy,trolle i inni przedstawiciele Bractwa. Czemu miałbyś wątpić akurat w moje istnienie?

- Nie wiem - odrzekł Cornwall. - Może dlatego, że nigdy cię nie widziałem. I nie znałem też nikogo, kto by cię widział. Myślałem, że jesteś wymysłem żaków.

- Zawsze dobrze się ukrywam - wyjaśnił goblin. - Mieszkam pod stropem, między krokwiemi.

Mam tam niezłe schronienie i wyciągnąć mnie stamtąd niełatwo. Wśród zagląających do biblioteki zdarzają się rozmaite nieciekawe typki; niektórzy w ogóle nie znają się na żartach.

- Czy chciałbyś może kawałek sera? - zapytał Cornwall.

- Oczywiście, co za głupie pytanie. - Goblin podniósł się i odszedł od ognia. Usiadł na ławie stojącej przy stole. Rozejrzał się po komnacie. - Widzę, że nie jest ci łatwo. Niewiele tu wygod. Biednie.

- Daję sobie jakoś radę - odrzekł Cornwall. Z pochwy u pasa wyjął sztylet i odciął plaster sera. Odkroił kromkę chleba i podał ją gościowi.

- Kiepski wikt-stwierdził goblin.

- Czym chata bogata. Ale ty przecież nie przyszedłeś tu jeść.

- Oczywiście. Widziałem cię dzisiaj w nocy. Widziałem, jak kradłeś manuskrypt.

- W porządku. Czego chcesz?

- Niczego. - Goblin odgryzł kawałek sera. - Przyszedłem ci powiedzieć, że ten mnich, Oswald, też cię widział.

- Gdyby mnie widział, na pewno by mnie wydał.

- Wiesz, odnoszę wrażenie, że ty w ogóle nie masz wyrzutów sumienia - powiedział goblin. -

Nawet nie zadałeś sobie trudu, by zaprzeczyć.

- Przecież widziałeś na własne oczy, jak brałem manuskrypt - rzekł Cornwall - i nie wydałeś mnie.

Ta cała sprawa wygląda na poważniejszą, niż się z początku wydawała.

- Może. Zaraz, przecież ty studiowałeś tutaj. Ile lat to trwało?

- Prawie sześć.

- To znaczy, że już nie jesteś zakiem. Zostałeś bakałarzem.

- Nie ma między nimi specjalnej różnicy.

- Chyba tak - zgodził się goblin. - Ale to oznacza, że nie jesteś już psotnym uczniakiem. Wyrosłeś z głupich sztubackich kawałów.

- Pewnie tak - potwierdził z wahaniem Cornwall. - Ale nie za bardzo pojmuję, o co ci chodzi.

- Głównie o to, że Oswald widział, jak kradłeś manuskrypt, a jednak pozwolił ci z nim odejść. Czy mógł wiedzieć, co ukradłeś?

- Wątpię. Sam nie wiedziałem, co to jest, dopóki tego nie obejrzałem. W ogóle nie szukałem manuskryptu, nawet nie wiedziałem, że istnieje. Gdy zdjąłem księgę z półki, zauważyłem, że oprawa wygląda trochę dziwnie. Wydawała mi się zbyt gruba. Wyczułem palcami, że coś musi być ukryte między płótnem a tekturą.

- Skoro to było takie łatwe do zauważenia - rzekł goblin -

jak to możliwe, że dopiero ty znalazłeś manuskrypt? A w ogóle, to masz jeszcze kawałek sera?

Cornwall odkroił następny plaster z krążka i podał goblinowi.

- Wydaje mi się, że nie jest trudno odpowiedzieć na twoje pytanie. Najprawdopodobniej jestem pierwszym, który od wieków sięgnął po tę księgę.

- Niepozorny wolumin - rzekł goblin. - Niczym nie wyróżniający się spośród innych. Czy mógłbyś

mi powiedzieć, o czym on jest?

- To opowieść wędrowca z zamierzchłych czasów. Napisana wiele wieków temu. Prawdę mówiąc, majstersztyk. Jakiś skryba stworzył małe dzieło sztuki, przebogato zdobione kolorowymi inicjałami i przepięknymi bordiurami na marginesach. Ale, według mnie, tylko niepotrzebnie stracił czas.

Cała opowieść od początku do końca jest stekiem łgarstw!

- Więc dlaczego jej tak poszukiwałeś?

- Czasami pośród wielu kłamstw można znaleźć ziarnko prawdy. Szukałem wzmianki o pewnej szczególnej sprawie.

- I znalazłeś?

- Nie w tej księdze - rzekł Cornwall. - W ukrytym manuskrypcie. Mam powody podejrzewać, że ta księga to oryginał opowieści, nie kopia. Prawdopodobnie nie ma w ogóle żadnej kopii. Ta księga nie należy do tych, które były wielokrotnie przepisywane. Stary mnich w skryptorium pracował najpewniej na podstawie autentycznych zapisków podróżnika, naśladowując wiernie jego styl. Uczynił z tego przepiękną rzecz; byłaby dumą każdego kolekcjonera.

- A manuskrypt?

- Właściwie nie można tego nazwać manuskrytem. To tylko jedna stronica, jakby wyjęta z manuskryptu podróżnika. Zawierała coś, co skryba pominął, pisząc księgę.

- Myślisz, że sumienie nie dawało mu spokoju i znalazł kompromisowe wyjście, umieszczając tę stronicę w oprawie?

- Coś w tym rodzaju - odparł Cornwall. - Ale teraz porozmawiajmy o tym, po co tu przyszedłeś.

- Z powodu mnicha Oswalda. Ty go nie znasz tak dobrze jak ja. Z całej tej parszywej zgrai on jest absolutnie najgorszy. Przy nim nikt nie jest bezpieczny, nie ma dla niego żadnej świętości. Czyż nie zastanowiło cię, że pozwolił ci odejść, że nie podniósł wrzawy?

- Wygląda na to, że moja kradzież zbytnio cienie zmartwiła - zauważył z uśmiechem Cornwall.

- Oczywiście, że nie - odparł goblin. - Jestem raczej po twojej stronie. Przez całe lata ten przeklęty mnich robił co mógł, by mi uprzykrzyć życie. Zastawiał na mnie pułapki, usiłował za wszelką cenę mnie dopaść. Wielokrotnie odpłacałem mu pięknym za nadobne, ale on nadal próbuje. Źle mu życzę. Mam nadzieję, że rozumiesz mnie.

- Myślisz, że zamierza donieść na mnie?

- O ile go znam, będzie chciał sprzedać komuś informację o tym, że zabrałeś z książki ukrytą stronicę.

- Komu mógłby ją sprzedać? Kogo by to zainteresowało?

- Weź pod uwagę - powiedział goblin - że stronica została ukryta w księdze. Sam fakt, że była ważna na tyle, że ją ukryto, i znacząca do tego stopnia, że ją świśnięto, wydaje się co najmniej intrygujący. Nie sądzisz?

- Chyba masz rację.

- W tym mieście, a szczególnie na tutejszym uniwersytecie jest wielu awanturników wyzutych z wszelkich zasad. Ich na pewno to by zainteresowało.

- Czy myślisz, że mogą wykraść mi stronicę?

- Bez wątpienia będą próbować. Twoje życie może być narażone na wielkie niebezpieczeństwo.

Cornwall odkroił następny plaster sera i podał go goblinowi.

- Dzięki - rzekł goblin. - Czy mógłbyś poczęstować mnie jeszcze jednym kawałkiem chleba?

Cornwall zabrał się do krojenia kolejnej kromki.

- Oddałeś mi wielką przysługę - powiedział - i jestem ci wdzięczny. Czego oczekujesz w zamian?

- No cóż, myślałem, że to oczywiste - odrzekł goblin. - Chcę ujrzeć, jak ten przeklęty mnich potyka się i pada na twarz.

- Odłożył chleb i ser na stół, sięgnął za pazuchę i wyjął kilka pergaminów. Położył je na stole. -

Sądzę, panie bakałarzu, że władasz biegle gęsim piórem.

- Daję sobie radę.

- A zatem spójrz, mam tu parę starych pergaminów, które z upływem czasu zupełnie wyblakły.

Mam taki pomysł: przepisz na któryś z nich skradzioną stronicę i ukryj pergamin tak, by można go było łatwo znaleźć.

- Nie rozumiem...

- Przepisz ją - rzekł goblin - ale z drobnymi zmianami; sam będziesz wiedział najlepiej, w których miejscach. Z maleńkimi, subtelnymi poprawkami, które zupełnie wyprowadzą wszystkich w pole.

- Z łatwością dałoby się to zrobić - powiedział Cornwall - ale trudno będzie podrobić inkaust tak, by wglądał na wiekowy. Nie będę również potrafił podrobić charakteru pisma - zawsze będzie się różnił i...

- Któż będzie wiedział, że pismo jest inne? Nikt poza tobą nie widział tej stronicy. Pergamin jest stary; nawet jeśli ktoś wykryje poprawki, będzie sądził, że zostały zrobione, gdy pisano na tym pergaminie.

- No, nie wiem.

- Tylko człowiek wyjątkowo biegły w tych sprawach potrafiłby wykryć fałszerstwo. Szansa, że ten pergamin dostanie się w ręce takiej osoby, jest raczej niewielka, a poza tym ciebie tu już dawno nie będzie.

- Mnie tu już dawno nie będzie?

- Oczywiście. Chyba nie myślisz, że będziesz mógł tu pozostać po tym, co się wydarzyło.

- Chyba masz rację. Myślałem już, by gdzieś się przenieść.

- Mam nadzieję, że to, co zawiera stronica, którą zabrałeś, warte jest kłopotów, których ci przysporzyło. A nawet jeśli nie...

- Sądzę, że jednak tak - powiedział Cornwall. Goblin zsunął się z ławy i skierował ku drzwiom.

- Zaczekaj chwilę - rzekł Cornwall. - Nie powiedziałaś mi swego imienia. Czy jeszcze się

spotkamy?

- Mam na imię Oliwer, przynajmniej tak mnie zwać w ludzkim świecie. Jest mało prawdopodobne, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali. Chociaż, zaraz, zaraz... Ile czasu zajmie ci podrobienie stronicy?

- Niewiele.

- No to poczekam. Niedużo mogę zrobić, myślę jednak, że trochę ci pomogę. Mam moc, dzięki której inkaust wyblaknie, a pergamin, po właściwym złożeniu, będzie wyglądał, jakby go nie ruszano przez całe wieki.

- Zaraz zabieram się do roboty - powiedział Cornwall. - Ale ty mnie nawet nie zapytałeś, co jest na tej stronicy. Powiem ci. Jestem ci to winien.

- Możesz mi powiedzieć - odparł goblin - kiedy będziesz pisał.

Lawrence Beckett i jego kompani siedzieli do późna w gospodzie przy winie. Byli już po wieczerzy. Na wielkim odrapanym stole stał półmisek wypełniony kośćmi i resztkami szynki. Obok leżało pół bochenka chleba. Goście rozeszli się już do domów. Karczmarz, wysławszy służbę spać, sam trwał na posterunku. Był śpiący, ale zadowolony, gdyż nieczęsto zdarzali się „Pod Niedźwiedzim Łbem” goście mający tak lekką rękę. Żacy, którzy czasem tu zaglądali, przysparzali więcej kłopotów niż zysku, a miejscowych trudno było oszukać. Karczma „Pod Niedźwiedzim Łbem” nie znajdowała się przy głównej ulicy miasteczka, lecz na jednej z bocznych uliczek i z rzadka zaglądali do niej ludzie w rodzaju Becketta, trudniący się kupiec-twem.

Drzwi otworzyły się i do gospody wszedł mnich. Stał przez chwilę, rozglądając się po mrocznej sali. Tkwiący za kontuarem

karczmarz wzmógł czujność. Instynktownie wyczuł, że ta wizyta nie wróży nic dobrego. Odkąd sięgał pamięcią, noga żadnego duchownego nie przekroczyła progu tego pospolitego miejsca. Po chwili wahania mnich okrył się szczelniej habitem, jakby chciał się w ten sposób ochronić przed skalaniem, i przeszedł przez całą salę aż do kąta, w którym siedział Lawrence Beckett ze swoimi

ludźmi. Zatrzymał się za jednym z krzeseł naprzeciw Becketta. Ten spojrzał na niego pytająco.

Mnich nie odezwał się.

- Albercie - rzekł Beckett - nalej temu nocnemu Markowi. Nieczęsto nadarza się okazja, by wypić z osobą duchowną.

Albert nalał wina i odwrócił się na krzesło, aby podać kielich mnichowi.

- Panie Beckett - powiedział mnich - dowiedziałem się, że jest pan w mieście, i chciałbym zamienić z panem słowo na osobności.

- A jakże - wykrzyknął Beckett - proszę bardzo! Nawet dwa słowa! Ale nie na osobności. Nie mam żadnych tajemnic przed moimi towarzyszami. Albercie, podaj panu mnichowi krzesło, by mógł się do nas przysiąść.

- Chcę rozmawiać z panem w cztery oczy - upierał się mnich.

- W porządku, niech tak będzie. Przesiądźcie się do tamtego stołu, przyjaciele. Możecie sobie wziąć jedną ze świec, jeśli chcecie.

- Odnoszę wrażenie, że mi pan ustępuje.

- Tak, ustępuję ci, bo zachodzę w głowę, cóż tak ważnego masz mi do powiedzenia.

Mnich usiadł na krzesło obok Becketta, postawił kielich wina ostrożnie na stole i czekał, aż pozostali przesiądą się.

- No więc co to za tajemnica?

- Wiem, kim pan jest naprawdę. Wcale nie jest pan zwykłym kupcem, za jakiego pragnie pan uchodzić.

Beckett nie odezwał się słowem, tylko wpatrywał się w mnicha. Widać było, że mina mu zrzedła.

- Wiem również - ciągnął mnich - że masz pan rozmaite

koneksje w Kościele. Za przysługę, którą zamierzam panu wyświadczyć, oczekuję pańskiego wstawiennictwa. Nie powinno to stanowić dla pana specjalnego problemu. Tylko szepnie pan

słowo w odpowiednie ucho.

- A ta przysługa?

- Chodzi o manuskrypt, skradziony z biblioteki uniwersyteckiej godzinę-dwie temu.

- To chyba nic ważnego.

- Może i nie, ale manuskrypt był ukryty w starej i niemal nie znanej księdze.

- Słyszałeś coś o nim? Wiesz, co zawiera?

- Nie wiedziałem, że w ogóle istnieje, dopóki złodziej go nie znalazł. Nie mam zielonego pojęcia, co w nim jest.

- A co to za stara księga?

- Została napisana dawno, dawno temu przez awanturника nazwiskiem Taylor, który wędrował po Utracji. Beckett zmarszczył brwi.

- Słyszałem o Taylorze i o tym, co tam znalazł. Ale nie wiedziałem, że opisał swoje przeżycia w księdze.

- Prawie nikt o tym nie wiedział. Księga została tylko raz przepisana. I tę jedyną kopię mamy w bibliotece.

- Czy ją czytałeś, panie mnichu? Mnich wzruszył ramionami.

- Do tej pory mnie to nie interesowało. Jest wiele wspaniałych ksiąg wartych przeczytania. A opowieści podróżników rzadko można traktować poważnie.

- Myślisz, że ten manuskrypt można?

- Był ukryty tak sprytnie w oprawie księgi, że chyba ma jakąś wartość. W przeciwnym razie po co ktoś zawracałby sobie głowę ukrywaniem go?

- Ciekawe, ciekawe - mruknął pod nosem Beckett. - Bardzo ciekawe. Ale nie ma pewności, że to jest coś warte.

- Jeżeli manuskrypt nie ma żadnej wartości, to nie jest mi pan nic winien. Ale założę się, że tak nie

jest.

- A więc umowa stoi?

- Tak, umowa stoi. Manuskrypt znalazł bakałarz Mark

Cornwall. Mieszka na poddaszu w zajeździe na rogu Królewskiej i Szerokiej. Beckett skrzywił się.

- Ten Cornwall?

- Tak, ten szkodnik, który przybył skądś z Zachodu. Był niezłym żakiem, ale to dość ponury człowiek. Nie ma żadnych przyjaciół. Żyje z dnia na dzień. Został tutaj, podczas gdy wszyscy jego koledzy rozjechali się po świecie, zadowoleni z edukacji, którą odebrali. Myślę, że został tu głównie dlatego, że interesuje się Prastarymi.

- Prastarymi?

- Uważa, że oni nadal istnieją. Studiował pilnie ich język, czy też to, co się za ich język uważa. Jest o tym parę ksiąg. Wszystkie je dokładnie przestudiował.

- A dlaczego Prastarzy tak go interesują? Mnich potrząsnął przecząco głową.

- Nie wiem. Nie znam go. Rozmawiałem z nim raz czy dwa razy. Dociekliwość, pasja badawcza. Może coś innego.

- Może przypuszczał, że Taylor napisał coś ciekawego o Prastarych?

- Być może. Nie czytałem tej księgi Taylora.

- Więc Cornwall ma manuskrypt. Na pewno go już dobrze schował.

- Wątpię. Jeżeli nawet, to nie szukał specjalnej kryjówki. Cornwall nie ma powodów do obaw. Nie wie, że jego kradzież została odkryta. Widziałem wszystko, ponieważ śledziłem go od dłuższego czasu. Pozwoliłem mu niepostrzeżenie wyjść, nie próbowałem go zatrzymać. Nie wiedział, że ja także byłem w bibliotece.

- Czy nie wydaje ci się, panie mnichu, że ten twój gorliwy przyjaciel o lepkich palcach może narazić się na posądzenie o herezję?

- To pan, panie Beckett, może to najlepiej osądzić. Wszystko, co nas otacza, ma znamiona herezji i trudno ocenić, co nią jest, a co nie.

- Chyba nie chcesz przez to powiedzieć, że herezja związana jest z polityką?

- Nigdy coś takiego nie przeszło mi przez głowę.

- To dobrze - rzekł Beckett - gdyż w pewnych określonych warunkach uniwersytet, a w szczególności jego biblioteka może budzić podejrzenia z powodu materiałów znajdujących się na jej półkach.

- Mogę pana zapewnić, że z ksiąg korzysta się bez złych zamiarów. Księgi dają jedynie wskazówki, jak unikać herezji.

- Skoro tak uważasz, to możemy na tym poprzestać. Jeśli chodzi o tę sprawę skradzionego manuskryptu: przypuszczam, że nie jesteś w stanie go odzyskać i nam podzucić.

Mnich aż się wzdrygnął.

- Nie miałbym odwagi. To, że poinformowałem pana, to i tak dużo jak dla mnie.

- Myślisz, że mam lepsze sposoby i więcej śmiałości?

- Tak i dlatego przyszedłem do pana.

- A skąd wiedziałeś, że jesteśmy w mieście?

- W tym mieście ściany mają uszy. Niewiele wydarzeń uchodzi tu uwagi.

- A ty, jak widzę, zawsze starasz się być dobrze poinformowany.

- To stało się już moją drugą naturą.

- Bardzo dobrze - podsumował Beckett. - A więc ustalone. Jeżeli brakujące ogniwo zostanie znalezione i będzie pasowało do całego łańcucha, wstawię się za tobą gdzie trzeba. Czy o to ci chodziło?

Mnich skina/ głową.

- Ale aby wstawić się za tobą, muszę znać twoje imię.

- Jestem brat Oswald.

- Dobrze zapamiętam. Dopij wino i możemy zabierać się do roboty. Róg Królewskiej i Szerokiej, rzekłeś?

Duchowny przytaknął i sięgnął po kielich wina.

Beckett wstał i skierował się do stołu, przy którym siedziała jego kompania. Po chwili wrócił do mnicha.

- Nie będziesz żałował, że przyszedłeś do mnie.

- Mam nadzieję - odparł brat Oswald. Dopił wino i odstawił kielich na stół. - Czy jeszcze się zobaczymy? — zapytał.

- Nie, raczej nie. Chyba że będziesz mnie szukał.

Mnich owinał się szczelniej habitem i wyszedł. Księżyc schował się za drzewami i na wąskiej uliczce prowadzącej do gospody było zupełnie ciemno. Brat Oswald szedł ostrożnie, prawie po omacku odnajdując drogę na śliskim, nierównym bruku.

Cień, który oderwał się od ściany przy wejściu do gospody, podążył za nim. W ciemnościach błysnęło ostrze sztyletu. Mnich upadł; charczał i drapał palcami kamienie. Krew z poderżniętego gardła tryskała strumieniem. Po chwili znieruchomiał.

Nazajutrz o świcie przypadkowy przechodzień odnalazł jego ciało.

Gib z Bagien wstał przed wschodem słońca. Zazwyczaj wstawał wcześniej, ale tego dnia miał wyjątkowo dużo do zrobienia. Na ten właśnie dzień gnomy obiecały mu skończyć nową siekierę. Bardzo jej potrzebował, gdyż stara, zużyta i tępa, nie nadawała się już do naostrzenia i nawet najlepsza osełka nic by nie poradziła.

Zwykle o tej porze roku bagna okrywała poranna mgła, ale tego ranka powietrze było przejrzyste.

Gdzeniegdzie na wyspie, głównie w okolicy lasu, snuł się welon mgły. Równina bagienna, rozciągająca się na wschód i południe, brązowiła się i srebrzyła trzcinami i trawami. W pobliskim

stawie pluskały kaczkę, kanałem płynął powoli piżmak, pozostawiając za sobą na wodzie ślad w kształcie litery V. Z oddali dochodził głos czapli. Na zachodzie i północy pokryte lasami wzgórza wznosiły się ku niebu. Dęby, klony, orzechowce złociły się pierwszymi kolorami jesieni.

Gib stał i patrzył w kierunku wzniesienia. Gdzieś tam, w leśnej gęstwinie, znajdował się dom jego dobrego przyjaciela, Hala z Pustego Drzewa. Prawie codziennie, gdy nie było mgły i widać było wzgórza, Gib stawał przed domem i usiłował wyciąć puste drzewo, lecz nie mógł, gdyż z takiej odległości nie sposób było odróżnić jednego drzewa od drugiego. Wiedział, że dziś nie zdąży odwiedzić Hala, bo musi odebrać siekierę i złożyć wizytę staremu pustelnikowi, żyjącemu w jaskini w wapiennej skale na jednym z odległych wzgórz. Nie był u niego prawie miesiąc.

Zrolował materac z gęsiego puchu i wełniany koc, które służyły mu za posłanie, i schował je w chacie na tratwie. Zwykł sypiać na świeżym powietrzu, z wyjątkiem zimnych i deszczowych nocy. Na metalowej płycie w środkowej części tratwy rozniecił ogień, używając krzesiwa, suchej trawy i hubki ze spróchniałego pnia, które trzymał w rogu skrzyni jako materiał na podpałkę.

Gdy ogień już płonął, zanurzył rękę w sadzuku, przywiązanym do tratwy, i wyciągnął miotającą się rybę. Zabił ją jednym cięciem noża, a następnie szybko oprawił. Ułożył filety na patelni ustawionej na ruszcie nad ogniem i przykucnął, pilnując, by dobrze się usmażyły.

Wokoło panowała cisza, od czasu do czasu słychać było tylko ciche kwakanie kaczkę i pluskanie ryb. „Ale przecież - pomyślał- o tej porze zawsze jest spokojnie. Później, kiedy dzień się będzie budził, kosy zaczną kłócić się w trzcinach, roztrzepo-ce się ptactwo wodne wzbijające się w górę, a mewy z wrzaskiem będą szybowały nad wodą.”

Na wschodzie pojaśniało i bagna, będące wcześniej niewyraźną mieszaniną brązu i srebra, zaczęły przybierać konkretne kształty. Wąska wyniosłość terenu między odległą rzeką a bagnami była oblamowana rzędem rozczapierzonych wierzb. Na skraju zadrzewionego pagórka można było dostrzec kępę leszczyn, poruszających na silnym wietrze grubymi brązowymi gałęziami.

Tratwa zakołysała się łagodnie, gdy jadł prosto z patelni, nie zadawszy sobie trudu, aby przełożyć rybę na talerz. Zaczął się zastanawiać, jak wyglądałoby życie na stałym lądzie, bez ciągłego bujania. Od urodzenia mieszkał na chybotliwej tratwie; była nieruchoma tylko zimą, gdy mróz chwycił ją w swoje okowy.

Pomyślawszy o chłodnej aurze, przebiegł myślą to, co pozostało do zrobienia, aby mógł przygotować się do zimy. Musi uwędzić trochę ryb, zebrać korzonki i nasiona, postarać się upolować parę pizmaków na wierzchnią odzież. I, oczywiście, nagromadzić drewna. Zapasy drewna robi o wiele szybciej, jeśli odbierze nową siekierę od gnomów.

Wyszorował patelnię po rybie, a potem włożył do łódki przycumowanej do tratwy tobołki przygotowane przed udaniem się na spoczynek. Była w nich suszona ryba, paczki dzikiego ryżu oraz prezenty dla gnomów i pustelnika. Na koniec wrzucił też starą siekierę - gnomom mogła się przydać jej metalowa część.

Wiosłował spokojnie, płynąc w dół kanału, rad, że nie zakłóca porannej ciszy. Na wschodzie pojawiło się słońce i powolutku wznosiło się, opromieniając swym blaskiem pierwsze kolory jesieni.

Zatoczył półkole, zbliżając się do brzegu, i wtedy zobaczył tratwę, której przód był schowany w trawie, a pozostała część stała w poprzek kanału. Na rufie siedział stary bagiennik i naprawiał sieć.

Kiedy Gib ukazał się jego oczom, bagiennik podniósł głowę i dostojnie pomachał ręką w geście powitania. Był to Stary Drood. Gib zaczął się zastanawiać, co też on tu porabia. Gdy słyszał o nim ostatnio, Drood mieszkał na tratwie w pobliżu Wierzbowego Brzegu nad rzeką.

Zaczepiając wiosłem, Gib przycumował do tratwy.

- Dużo wody upłynęło od czasu, kiedy cię ostatnio widziałem - powiedział. - Kiedy tu się przeniosłeś?

- Parę dni temu - odparł Drood.

Zostawił naprawianą sieć, podszedł do łódki Giba i kucnął przy jej burcie. Gib zauważył, że Drood mocno się ostatnio postarzał. Jak sięgał pamięcią, wszyscy zwali go Starym Droo-dem, nawet gdy nie był jeszcze stary; upływające lata wycisnęły na nim swoje piętno - siwizna posrebrzyła mu skronie.

- Miałem zamiar zebrać trochę drewna porozrzucanego na brzegu - kontynuował Drood. - Ale nie ma go wiele, tylko same gałęzie wierzby, a one nie najlepiej się palą.

Z chaty na tratwie wyszła kołyszącym krokiem pani Drood. Odezwała się wysokim, piskliwym głosem:

- Tak mi się wydawało, że kogoś słyszę. To młody Gib, nieprawdaż? - Przyglądała się Gibowi, mrużąc słabe oczy.

- Dzień dobry, pani Drood - powitał ją Gib. - Cieszę się, że jesteśmy sąsiadami.

- Chyba nie zatrzymamy się tutaj na dłużej — rzekł Drood. - Zgromadzimy tylko zapas drewna i wyruszamy w dalszą drogę.

- Dużo wam jeszcze zostało?

- Niewiele. Idzie nam niesporo. Nie mamy nikogo do pomocy. Wszystkie dzieci odeszły już z domu. Usamodzieliły się. A ja już nie mogę pracować tak ciężko jak niegdyś.

- Nie odpowiada mi takie życie - rzekła pani Drood. - Ciągle boję się wilków.

- Mam siekiere - powiedział Drood. - Żaden wilk nic nam nie zrobi, póki ją mam.

- Mówicie, że wszystkie dzieci odeszły - rzekł Gib. — Gdy się widzieliśmy ostatnim razem, Dawid i Alicja byli jeszcze w domu.

- Alicja wyszła za mąż trzy miesiące temu - odparł Drood. - Za młodzieńca mieszkającego na południowym krańcu bagien. A Dawid zbudował sobie własną tratwę. Nie dał sobie wiele pomóc.

Powiedział, że chce, by była jego wyłącznym dziełem. Zbudował naprawdę ładną tratwę i przeniósł się na wschód. Teraz widzujemy jego i Alicję tylko od czasu do czasu.

- Mamy świetne ciemne piwo - zaferowała pani Drood. — Może wypijesz kufelek? Zapomniałam cię spytać: jadłeś śniadanie?

- Jadłem śniadanie, pani Drood, bardzo dziękuję. Z przyjemnością natomiast napiję się piwa.

- Przynies i mnie - powiedział Drood. - Nie pozwolę, by Gib pił sarn.

Pani Drood potoczyła się z powrotem do chaty.

- Tak, tak - rzekł Drood - nie jest łatwo uzbierać wystarczającą ilość drewna. Ale jak będę robić to systematycznie, dam sobie radę. Zależy mi na dobrym drewnie, głównie dębowym i klonowym.

Dobrze podsuszonym, od razu do palenia. Z dolnych warstw, którego nikt nie dotykał latami. Od czasu do czasu, gdy noc je zaskoczy, obozują tu w pobliżu karawany kupieckie i wtedy muszą zwałować trochę drewna na ognisko. Ale to żaden uszczerbek. Tam, na wzgórzu, rośnie niski rozłożysty orzechowiec i to jest najlepsze drewno, jakie istnieje. Nie trafia się takie zbyt często. Jest trochę za daleko, bym mógł nazbierać go dużo, ale...

- Dzisiaj jestem zajęty - przerwał mu Gib - ale jutro i pojutrze mogę ci pomóc je zbierać.

- Nie ma potrzeby, Gib. Dam sobie radę.

- Ale ja sam chciałbym trochę tego drewna dla siebie.

- Dobrze, w takim razie zbierzmy je razem. I dziękuję ci serdecznie.

- Nie ma sprawy.

Pani Drood wróciła z trzema kuflami ciemnego piwa.

- Przyniosłam też jeden dla siebie - oświadczyła. - Na ziemię ojców, nieczęsto mamy gości. Usiądę z wami na chwilę i wypijemy piwo.

- Gib pomoże nam jutro przy drewnie - rzekł Drood. - Pójdziemy do tego wielkiego orzechowca.

- Orzech ma dobre drewno - powiedziała pani Drood.

- Właśnie mam odebrać nową siekierę - oznajmił Gib. - Stara jest już całkiem zużyta. Dostałem ją jeszcze od mojego ojca.

- Słyszałem, że twoi rodzice mieszkają w pobliżu Nory Szopa. Gib przytaknął.

- Żyją tam już od jakiegoś czasu. To dobre miejsce - niezłe drewno, dobre potowy, dużo piżmaków, jedno niewielkie bagno z mnóstwem dzikiego ryżu. Myślę, że się stamtąd nie wyprowadzą.

- Tę nową siekierę masz dostać od gnomów?

- Mhm. Już trochę na nią czekam. Rozmawiałem z nimi o niej latem.

- Nieźli robotnicy z tych gnomów - powiedział Drood. -

Mają dobre żelazo. Ale niepotrzebnie robią na sprzedaż z tak świetnego metalu. Gdy przyjeżdża karawana kupiecka, zabiera wszystko jak leci. Świetna marka, żadnych problemów ze sprzedażą.

Czasem tak się zastanawiam, bo słyszy się straszne rzeczy o gnomach i może jest w tym odrobina prawdy. Ale te nasze gnomy są w porządku. Nie wiem, jak dalibyśmy sobie bez nich radę. Zawsze tutaj żyli.

- Można żyć z ludźmi w zgodzie - powiedziała pani Drood -jak się ma dobrą wolę.

- Gnomy to nie ludzie, Matka - przypomniał jej Drood.

- No i co z tego? Są istotami wcale nie tak bardzo różnymi od nas. W wielu sprawach mniej różnią się od nas niż my od ludzi. Mieszkańcy Wzgórz są bardzo podobni do nas.

- Najważniejsze jest to - rzekł Drood - że wszyscy żyjemy w zgodzie. Weź nas i ludzi. Oni są dwa razy więksi od nas i mają gładką skórę, a my sierść. Umieją pisać, a my nie. Mają pieniądze, a my prowadzimy handel wymienny. Mają wiele rzeczy, których my nie posiadamy, ale im nie zazdrościmy, a oni nie patrzą na nas z góry. Dopóki potrafimy żyć w zgodzie, wszystko jest w porządku.

Gib dopił piwo.

- Muszę już iść - powiedział. — Czeka mnie ciężki dzień. Muszę odebrać siekierę, a potem złożyć wizytę pustelnikowi.

- Mówią, że pustelnik jest już słabiutki—rzekł Drood. — Posunął się bardzo w latach.

- Zamierzasz wpaść do pustelnika? - zapytała Giba pani Drood.

- Tak powiedział - rzekł Drood.

- O, to zaczekaj chwilę. Mam coś, co chcę mu posłać. Plaster miodu leśnego. Dostałam go od Mieszkańców Wzgórz.

- Będzie zadowolony - powiedział Gib. Pani Drood pokolebała się do chaty.

- Często zastanawiam się - rzekł Drood - co też pustelnik ma z życia. Siedzi na szczycie wzgórza w tej swojej pieczarze, nigdzie nie wychodzi, nic nie robi.

- Wielu przychodzi do niego - odparł Gib. - Ma wszelkie rodzaje leków; na brzuch, na gardło, na zęby. Ale przychodzą nie tylko po leki. Niektórzy wyłącznie po to, żeby pogadać.

- Tak, myślę, że rzeczywiście spotyka się z wieloma. Pani Drood wróciła z pakunkiem i wręczyła go Gibowi.

- Wpadnij w drodze powrotnej na kolację - powiedziała. - Nawet jak będzie późno. Zostawię trochę jedzenia dla ciebie.

- Dziękuję, pani Drood - odrzekł Gib. Odepchnął łódkę od tratwy i powiosłował w dół krętego kanału.

Wydzierające się na całe gardło kosy wzbily się przed nim w górę. Zaczęły krążyć ciemnoskrzydłym stadem i obsypywać odległe trzciny stekiem wyzwisk.

Dobił do brzegu w miejscu, gdzie teren wznosił się gwałtownie do skraju bagniska. Wielkie drzewa rosnące w pobliżu krańca trzęsawiska sięgały konarami daleko ponad trawę i wodę. Olbrzymi dąb rósł tak blisko linii wody, że część jego korzeni, niegdyś ukryta w ziemi, teraz już wypłukanej, sterczała z brzegu jak szpony drapieznika.

Gib przywiązał łódź do jednego z takich korzeni, przerzucił tobołki i starą siekierę na brzeg i wdrapał się nań. Zrzucił wszystko na plecy i ruszył ostrożnie w górę ledwo widoczną ścieżką,

biegnącą między dwoma pagórkami. Dotarł do drogi, szlaku używanego przez przyjeżdżające tu z rzadka karawany kupieckie, które przechodziły tędy przypadkiem albo zjawiały się, by handlować z gnomami.

Trzęsawisko rozbrzmiewało wrzaskami kosów, jednak w miarę jak zanurzał się w gęstwinę pagórka, hałas stopniowo cichł. Liście szeleściły na wietrze i czasem nawet słyszał ciche pacnięcia spadających na ziemię żołądzi. Gdyby było wcześniej, wiewiórki trajkotałyby na powitanie rannego słońca, ale teraz były zajęte przetrząsaniem lasu w poszukiwaniu pożywienia i przekradały się przez gęstwinę.

Droga prowadziła stromo pod górę. Gib zatrzymał się na chwilę nad omszałymi otoczakami. „Nie lubię lasu” - rzekł do siebie. Już tęsknił za bagniskiem, chociaż rozstał się z nim zaledwie przed chwilą. Ciemny las budził grozę, bagnisko zaś było odsłonięte i bezpieczne. Na nim nie sposób było zmylić drogę.

Gnom, którego zwano Płaksą, odezwał się do Giba:

- A więc przyszedłeś po siekierę.

- Jeśli jest gotowa.

- Oczywiście, że jest. Była gotowa już wczoraj. Ale wejdź i usiądź na chwilę. Wspinanie się tutaj jest męczące, nawet dla młodej osoby.

Wejście do jaskini znajdowało się na stoku wzgórza. Zawalone było do połowy hałdą ziemi i żużlu.

Wzdłuż zwałowiska prowadziła droga, którą wywożono odpady z kopalni. Hałda była tak stara, że na jej zboczach rosły drzewa. Niektóre wychylały się z szeregu, wisząc pod niezwykle kątami.

W głębi jaskini migotał blask od kuźni, który oświetlał część wzgórza, i stamtąd właśnie dochodziły odgłosy dziarskiego kucia.

Płaksą poprowadził Giba do małej bocznej groty, która łączyła się ukośnie z główną, prowadzącą do kopalni.

- Tutaj możemy spokojnie usiąść i odpocząć od hałasów kuźni - rzekł gnom. - Tędy nie będą przejeżdżały taczki. Gib położył jeden pakunek na stole ustawionym przy ścianie.

- Wędzona ryba - powiedział - i parę innych rzeczy. Drugi pakunek jest dla pustelnika.

- Nie widziałem pustelnika od lat - powiedział Płaksa. — Proszę, siadaj na tym krześle. Niedawno pokryłem je nową skórą baranią. Teraz jest bardzo wygodne.

Gib usiadł, a gnom zajął drugie krzesło, przesunawszy je tak, by dobrze widzieć gościa.

- Prawdę mówiąc, byłem u pustelnika tylko raz - z sąsiedzką wizytą, gdy tu zamieszkałem -

powiedział gnom. - Zaniósłem mu w prezencie parę przepięknych srebrnych świeczników. Potem już się nigdy do niego nie wybrałem. Obawiam się, że go wprowadziłem w zakłopotanie. Sam czułem się przy tym skrępowany. On oczywiście nic nie powiedział...

- Nigdy by nie powiedział - rzekł Gib. - To bardzo delikatny człowiek.

- Nie powinienem był go odwiedzać - powiedział gnom. - Już tak długo żyję wśród ludzi i ciągle mam z nimi do czynienia, że zaczynam zatracać dystans w stosunku do nich. Ale dla pustelnika i, przypuszczam, wielu innych jestem tylko przypomnieniem innego świata, do którego całkowicie należę. Świat ten jest przez nich znienawidzony i napawa ich odrazą. Wydaje mi się, że nie bez przyczyny. Przez całe wieki ludzie i moi współplemieńcy walczyli zawzięcie ze sobą, bezlitośnie i bez poczucia godności. To właśnie spowodowało, że pustelnik, który jest -jak powiedziałeś - najlepszym z ludzi, nie za bardzo wiedział, jak się do mnie odnosić. Na pewno miał świadomość, że nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia, a jednak czuł się nieswojo. Gdybym, założmy, był diabłem albo demonem, wiedziałby, jak należy się zachować. W ruch poszłaby woda święcona i religijne zaklęcia. Ale ja nie byłem diabłem, a mimo to w jakiś niewytłumaczalny sposób kojarzyłem się mu z pojęciem diabła. Przez te wszystkie lata żałowałem, że złożyłem mu wizytę.

- A jednak przyjął świeczniki.

- Tak, przyjął łaskawie i bardzo uprzejmie mi za nie podziękował. Jest zbyt dobrze wychowany, by

mi je rzucić w twarz. W zamian za to ofiarował mi sztukę złotego materiału. Pewnie podarował mu go jakiś szlachetny gość, bo przecież pustelnik nie miałby pieniędzy, aby kupić taki królewski dar. Ale często sobie myślę, że powinien był go zatrzymać, a mnie dać coś mniej cennego. Przez lata zastanawiałem się, cóż mógłbym zrobić z tym złotym materiałem. Trzymam go w skrzyni, czasami wyjmuję i oglądam, ale to wszystko. Przypuszczam, że mógłbym wymienić go na coś bardziej użytecznego, ale zawsze się waham, bo to przecież dar od pustelnika i z tej przyczyny chyba ma dla mnie wartość. Przecież nie sprzedaje się prezentów, a w szczególności otrzymanych do dobrych ludzi.

- dyba zbyt wiele sobie wydumałeś - powiedział Gib. - Chodzi mi o zażenowanie pustelnika. Ja na przykład nie mam takich uczuć w stosunku do ciebie. Chociaż, prawdę powiedziawszy, muszę przyznać, że nie jestem człowiekiem.

- Tobie o wiele bliżej do człowieka niż mnie - rzekł gnom - i na tym może polegać różnica. - Wstał.

- Pójdę po twoją siekierę. Mam jeszcze coś, co chcę ci pokazać. - Poklepał pakunek przyniesiony przez Giba. - Zapiszę to na twoje konto. I bez tego masz na nim nadwyżkę, nawet po potrąceniu za siekierę.

- Od dawna chciałem cię właśnie o to zapytać - powiedział Gib - ale nie miałem odwagi. Wszyscy Mieszkańcy Bagien, wszyscy Mieszkańcy Wzgórz, a nawet wielu ludzi, którzy nie umieją pisać, przynoszą ci towary, a ty prowadzisz ich rachunki. To znaczy, że musisz umieć pisać.

- Nie, nie umiem. Niewielu gnomów umie. Być może kilka goblinów. Głównie tych, co siedzą na uniwersytetach. Więc dla potrzeb handlu wypracowaliśmy system symboli, za pomocą którego prowadzimy rachunki. Jest on bardzo rzetelny.

- Tak - potwierdził Gib - wyjątkowo uczciwy. I skrupulatny.

Płaksa poszedł do pomieszczenia i przez chwilę szukał czegoś na półce. Wrócił z siekierą osadzoną na trzonku z hi-kory.

- Myślę, że jest dobrze wyważona. Jeśli nie, to ją przyniesiesz. Poprawimy.

Gib podniósł siekiere z podziwem.

- Jest bardzo dobra. Jeżeli trzeba będzie zrobić jakąś niewielką poprawkę, dam sobie radę. - Ujął ostrze w dłonie i potarł błyszczący metal kciukiem. - Piękna - stwierdził. - Naprawdę piękna. Jeśli będę o nią dbał, będzie mi służyła do końca życia.

Płaksa był wyraźnie zadowolony.

- Podoba ci się?

- To mistrzowska robota. Wiedziałem, że tak będzie.

- Przekonasz się, że ma świetne ostrze. Nie stępi się prędko. Uważaj tylko na kamienie. Żadna siekiera nie lubi kamieni.

- Będę uważał. Siekiera jest zbyt cennym narzędziem, by jej nie szanować.

- A teraz - powiedział gnom - mam jeszcze coś. Usiadł i położył sobie na kolanach jakiś przedmiot dokładnie owinięty baranią skórą. Zaczął go z pieczołowitością odwijać.

Gdy barania skóra opadła, przedmiot zajaśniał blaskiem. Gib pochylił się i przyglądał z zachwytem.

- Miecz!

- Tak. Miecz dla człowieka - rzekł Płaksa. - Zbyt duży, zbyt długi, zbyt ciężki dla takich jak ty czyja. Miecz dla wojownika. Bez połyskliwych klejnotów, bez wyszukanych błyskotek. Narzędzie, tak jak siekiera. Wspaniałe ostrze. Możesz policzyć miecze, które zrobiliśmy, na palcach jednej ręki. A ten jest o wiele lepszy od każdego z nich.

Gib wyciągnął rękę i dotknął ostrza.

- Ma osobowość. To taka broń, której można dać imię. Stare legendy mówią, że ludzie w dawnych czasach często nadawali mieczom imiona, tak jak na przykład koniom.

- Znaleźliśmy niewielkie gniazdo z przebogatą rudą. Z wielką ostrożnością wydobyliśmy ją i

dobrze ukryliśmy. Takiej rudy nie znajduje się często. Będzie użyta do specjalnych wyrobów, takich jak ten miecz i twoja siekiera.

- To znaczy, że moja siekiera...

- Ten miecz i ta siekiera to brat i siostra.

- Miejmy nadzieję, że miecz trafi w odpowiednie ręce.

- Zadbamy, żeby tak się stało.

- Przyniosłem ci starą siekierę. Metal jest nadal dobry, ale ostrze tak zużyte, że nie można go zadowalająco naostrzyć. Pomyślałem sobie, że może będziesz chciał do czegoś wykorzystać tę siekierę. Nie chcę za nią zapłaty.

Podniósł siekierę z podłogi i wręczył ją gnomowi.

- To była niezła siekiera— rzekł Płaksa. - Dostałeś ją od ojca?

- Tak, dał mi ją, gdy zacząłem budować swoją tratwę.

- Zrobiliśmy mu ją. To była dobra siekiera. Ale nie taka świetna jak twoja.

- Ojciec przesyła ci pozdrowienia. I matka też. Powiedziałem im, że będę się z tobą widział.

- Prowadzicie niezłe życie na tym waszym bagnisku. Przez tyle długich lat. Ale nie wiecie przez ile. Nie macie historii, prawda?

- Nie mamy spisanych wydarzeń. Mamy tylko legendy

przechodzące z ojca na syna. Na pewno jest w nich moc prawdy, ale -jak powiedziałeś - nie wiem, jak długo to wszystko trwa.

- Gnomy są na wzgórzach tak długo, jak długo twoi współ-plemieńcy zamieszkują bagniska.

Gnomy były chyba tam, zanim my przybyliśmy. My też mamy swoje legendy. O tym, kto odkrył tu złoża rudy i o rozbudowie kopalni. Ale tak samo jak wy nie umiemy ocenić, jak dużo w nich jest prawdy.

Gib zarzucił na plecy tobolek z rzeczami dla pustelnika.

- Muszę iść. Czekam na jeszcze długą wspinaczkę do pieczary pustelnika. Chciałbym tam dotrzeć, nim zapadnie noc. Płaksa pokiwał głową.

- Komu w drogę, temu czas. W tym roku jest dużo wilków. Więcej niż kiedykolwiek. Jeśli będziesz spóźniony, przenocuj u nas. Zawsze jesteś tutaj mile widziany.

Z początku Gib pomyślał, że pustelnika nie ma w domu, choć to wydało mu się raczej dziwne.

Pustelnik w ostatnich latach, odkąd poczuł się słabiej, nie opuszczał pieczary; czasem tylko wyprawiał się po zioła, korzonki, liście i korę, które stanowiły składniki jego leków.

Ogień w pieczarze wygasł, nie czuć było nawet dymu. To mogło oznaczać, że pustelnika nie ma tu od dawna. Wysuszone żółtko jajka przywarło do talerza, który stał samotnie na prostym krzyżakowym stole.

Gib usiłował przebić wzrokiem ciemność.

- Pustelniku - zawołał cicho, podświadomie bojąc się odezwać głośniejszym głosem. Poczł nagły lęk, którego przyczyny nie pojmował. - Pustelniku, jesteś tam?

Z kąta izby dobiegł słaby dźwięk. Mogła to być mysz.

- Pustelniku - powiedział Gib raz jeszcze.

Dźwięk powtórzył się. Gib zbliżył się ostrożnie do kąta i przykucnął, aby lepiej widzieć.

- TU jestem - szepnął słabo pustelnik. Jego głos był nie głośniejszy niż szelest liścia na wietrze.

Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, Gib w końcu go dojrzał. Mały, ciemny wzniesienie na posłaniu w rogu, bladość twarzy.

- Pustelniku, co się dzieje? - Gib pochylił się nad siennikiem i ujrzał wycieńczoną postać, przykrytą kocem aż po sam nos.

- Nachyl się bardziej - usłyszał. - Ledwo mogę mówić.

- Czy jesteś chory?

Blade wargi ledwie się poruszyły.

- Umieram. Dzięki Bogu, przyszedłeś.
- Czy potrzebujesz czegoś? Wody? Zupy? Mogę ci ugotować zupę.
- Słuchaj. Nic nie mów, tylko słuchaj.
- Słucham.
- Komoda, tam przy ścianie.
- Widzę.
- Klucz mam na szyi. Na sznurku na szyi. Gib wyciągnął rękę.
- Nie, zaczekaj.

- Tak.

- W komodzie, w komodzie... — Pustelnik mówił z trudem. - Księga, oprawiona w skórę. I topór.

Kamienny topór. Zanieś obie te rzeczy biskupowi.

- Jakiemu biskupowi?

- Biskupowi z Wieży. W górę rzeki, na północ i na wschód. Zapytaj. Ludzie ci wskażą drogę.

Gib czekał. Pustelnik milczał. Nie próbował nawet mówić. Gib wyciągnął delikatnie rękę i namacał sznur na szyi pustelnika. Uniósł pustelnikowi głowę, by móc zdjąć sznur, na którego końcu wisiał kluczyk. Głowa pustelnika opadła na poduszkę. Gib czekał przez chwilę, ale pustelnik nie poruszył się. Powstał więc i skierował się do komody. Znalazł małą księgę w skórzanej oprawie. Obok leżał topór. Nie był podobny do żadnego z tych, które Gib widział w życiu. Cały z kamienia, mimo to tak

gładki, jakby zrobiono go ze szlachetnego metalu. Dopiero po dokładnym przyjrzeniu się można było zobaczyć, w których miejscach zdjęto kolejne warstwy kamienia dla nadania mu właściwego kształtu. W komodzie znajdowało się także parę innych przedmiotów: brzytwa, grzebień i mała buteleczka, wypełniona niebieskim płynem.

Gib wyjął księgę i topór i powrócił do posłania. Pustelnik otworzył zamglone oczy i spojrzał na

niego.

- Znalazłeś? Dobrze.

- Zawiozę je do biskupa.

- Ty jesteś Gib. Byłeś tu przedtem. Gib potaknął.

- Zaczekasz?

- Oczywiście. Czy mogę ci pomóc? Może wody? Pustelnik pokręcił głową.

- Nie-szepnął.

Gib czekał, klęcząc przy posłaniu. Pustelnik miał słaby oddech, jego pierś ledwie się unosiła.

Rzadkie wąsy drżały lekko, gdy wydychał przez nos powietrze. Wreszcie przemówił:

- Jestem stary. Już nadszedł mój czas. Nawet przeszedł.

Znowu zapadło milczenie i słychać było tylko oddech pustelnika. Dwa razy wydawało się Gibowi, że starzec przestał w ogóle oddychać. Ale to było tylko złudzenie.

- Gib...

- Tak?

- Zostaw mnie tutaj. Gdy będzie już po wszystkim, chciałbym tu pozostać.

Gib nie odpowiedział. Cisza aż dzwoniła w uszach. A potem:

- Chcę, żebyś przywalił wejście do jaskini głazem. Zrobisz to dla mnie?

- Tak. Oczywiście.

- Nie chciałbym, żeby wilki...

Nie dokończył. Gib wciąż siedział przyposłaniu. Po pewnym czasie podszedł do wyjścia i wyjrzał na zewnątrz. Minęło już południe i słońce skłaniało się ku zachodowi. Z wysokości, na której znajdowała się pieczara, Gib widział tę część mokradeł,

z której wyruszył dzisiejszego ranka, i dalej, aż do rzeki. Wrócił do pieczary i podjął czuwanie.

Usiłował rozmyślać, ale poczuł, że nie może. Miał zbyt wiele spraw na głowie, zbyt wiele tematów

do przemyslenia. Nie mógł ich sobie poukładać, miał zamęt w głowie.

Przez jakiś czas nie patrzył na pustelnika, po prostu siedział. Gdy w końcu na niego spojrział, nie dostrzegł, by starzec oddychał. Czekał, pamiętając, że wcześniej też mu się wydawało, że pustelnik leży bez najmniejszego ruchu. Ale czas upływał i nawet wąsy nie ruszały się od oddechu. Nie było żadnej oznaki życia. Gib przyłożył ucho do piersi pustelnika i nie usłyszał bicia serca. Podniósł powieki leżącego - ujrzał szkliste gałki oczne, zapatrzone w niebyt.

Zrozumiał, że pustelnik nie żyje. Ale nadal siedział przy nim, jakby czuwaniem mógł odwrócić to, co się stało. Czy był w stanie coś zrobić? Przypomniawszy sobie ku swojemu przerażeniu, że nawet nie próbował podać pustelnikowi wody. Zapytał go tylko, czy ma mu ją przynieść, ale on odmówił.

Czy mimo to nie powinien był spróbować dać mu pić? Czy nie powinien był próbować sprowadzić pomoc? Ale dokąd miałby iść po pomoc? I kto mógłby pomóc? Nie znalazłby poza tym dość siły, by zostawić konającego człowieka, pozwolić mu umrzeć w samotności.

Pustelnik był starym człowiekiem i nie bał się śmierci. Być może czasem wyglądał jej jak mile widzianego przyjaciela. Rankiem Drood zastanawiał się, co też pustelnik ma z życia, i oczywiście pytanie to pozostało bez odpowiedzi. Gib doszedł do wniosku, że musiał jednak coś z tego życia mieć, może nawet bardzo dużo, skoro wyszedł na spotkanie śmierci z takim spokojem.

Trzeba było załatwić parę spraw, a dnia ubywało. Gib podniósł koc, skrzyżował ręce pustelnika na piersi, po czym naciągnął przykrycie na całą postać. Zrobiwszy to, wyszedł i zaczął szukać odpowiednio wielkiego głazu, którym mógłby przywalić wejście do pieczary.

Hal z Pustego Drzewa przeszedł przez płot z trzciny i znalazł się na polu kukurydzy. Wiedział, że jest bezpieczny. Kłusownik i jego synowie młócili z drugiej strony domu, a ich psy spały jak zabite pod sąsiedkiem, umordowane nocnym polowaniem.

Były to długie łowy i najwidoczniej nieudane. Hal i Szop spędzili wiele godzin przed swoim Drzewem i nasłuchiwali, jak rozwijała się akcja. Tylko raz psy dały znać szczekaniem, że

zwierzyna została zapędzona na drzewo, ale szop musiał im uciec, gdyż zaraz potem rzuciły się ponownie do tropienia. Parokrotnie widzieli też wędrujące światełka latarń, gdy kłusownik i jego synowie szli śladem psów.

Kukurydza obrodziła pięknie tego roku. Nie było to wynikiem gospodarności kłusownika i jego nieokrzesanej rodziny. Nic z tych rzeczy. Chwasty pielono tylko dwa czy trzy razy, i to tuż po zasianiu, w rezultacie czego aż zieleniło się od nich między rzędami. Kolby jednak były ciężkie i wyglądało na to, że jest ich więcej niż zazwyczaj.

Hal dał nura w kukurydzę i zatrzymał się między czwartym a piątym rzędem. Choć trudno było poznać, wiedział, że w pierwszych rzędach pola grasowały wiewiórki i szopy. Dlatego właśnie kłusownik polował na szopy (lub przynajmniej twierdził, że z tej przyczyny je zwalcza). Ale nie pokrywało się to dokładnie z prawdą. W rzeczywistości futra szopów miały wartość handlową i można je było nieźle sprzedać. Kłusowanie, handel futrami i mięsem stanowiły domenę gospodarza i podstawowe źródło utrzymania całej jego rodziny.

Hal zaczął zbierać kukurydzę. Poruszał się szybko, nie chcąc pozostawać na polu dłużej, niż to było konieczne. Chociaż wiedział z wcześniejszego rozpoznania, gdzie są wszyscy członkowie rodziny, nie miał najmniejszej ochoty być przypadkowo nakrytym. Wybierał najlepsze kolby, obrywał od razu łupiny, sprawnie ułamywał kaczany i wrzucał je do przyniesionego wora.

Na skraju pola przekomarzały się sójki w jesiennym słońcu.

W pobliskim gaju złote liście orzechowców kontrastowały z ciemnym brązem dębów, a wiewiórki przechwalały się dopiero co zrobionymi zapasami.

Hal lubił jesień, uważał ją za najlepszą porę. W te łagodne, złocistobrązowe, lekko zamglone i ciepłe dni ziemia owocowała i było to malownicze uwieńczenie długich miesięcy wzrostu. Była to chwila wytchnienia, zanim znów zrobi się zimno i nastaną głębokie śniegi. W tym roku Hal będzie dobrze zaopatrzony na zimę. W skrzyni miał orzechy, kukurydzę, suszone jagody, niezgorszy zapas

korzeni i ziaren. Któregoś dnia będzie musiał wybrać się na trzęsawisko do Giba, Drooda lub jakiegoś innego mieszkańca bagniska i spróbować wymienić część z tych zapasów na suszone ryby. Gdy o tym pomyślał, uświadomił sobie, że dawno już nie widział Giba i właściwie tęsknił za tym, aby móc z nim pogawędzić.

Zważył w ręku worek; był cięższy, niż przypuszczał. „Przesadziłem trochę z tą kukurydzą” - pomyślał. Mocował się przez chwilę z workiem, zanim z trudem zarzucił go na plecy. Oceniał, że da radę go zanieść. Gdy doszedł do skraju pola, zatrzymał się i rozejrzał nasłuchując. Wyglądało na to, że w pobliżu nie ma nikogo. Przerzucił worek przez trzciniowy płot, po czym sam przeskoczył przez płot, porwał worek i popędził do lasu.

Teraz już nic mu nie zagrażało. Nie było takiej siły, która mogłaby go pojmać w lesie. Las był dla niego domem. Znał każdą jego milę, każdą piędź. Idąc szybko w dół krętą dróżką, zmierzał ku olbrzymiemu pustemu dębowi. Podczas drogi rejestrował, nie natężając zbytnio uwagi, wiele różnych szczegółów: płomienną purpurę dojrzałych jagód czermieni błotnej; fakt, że mała kępa czarnego głogu była obsypana owocami, które staną się jadalne, gdy tylko chwyci pierwszy mróz; winorośl uginającą się pod ciężarem gron, przysłaniającą drzewa, po których się pięła; srebrzysty błysk zrzuconej przez węża skóry, pozostałej od lata, a teraz na pół przykrytej opadającymi liśćmi. Po półgodzinie dotarł do dębu-giganta, którego pień z trudnością objęłoby czterech dorosłych mężczyzn. Na wysokości drugiego piętra znajdował się szeroki na dwie stopy otwór. Długi szereg kołków wbitych w drzewo tworzył drabinę, po której można się było dostać na górę. Nigdzie nie było widać Szopa. Prawdopodobnie myszkował gdzieś w okolicy. Było mało prawdopodobne, aby o tej porze dnia jeszcze spał.

Hal oparł worek z kukurydzą o drzewo, po czym wdrapał się po drabinie na górę. Przeczółgał się przez otwór i zszedł w dół po następnym szeregu kołków.

Całe wnętrze dębu było spróchniałe. Ściana drzewa otaczająca wydrążenie była gruba na mniej

więcej stopę.

Hal zdawał sobie sprawę, że pewnego dnia wiatr może złamać dąb w tym miejscu i trzeba będzie poszukać sobie nowego domu. Na szczęście w głębi lasu wiele drzew powstrzymywało wiatr, a ponadto dąb był osłaniany przez wysokie kamienne pasmo wzgórz, które osłabiało podmuchy przeważających tu wiatrów zachodnich.

Wydrążenie rozszerzało się od wejścia i osiągało dwadzieścia stóp w najszerszym miejscu. Tu i ówdzie widniały dziury na wylot, wpuszczające światło. Podłogę stanowiło wysuszone, spróchniałe drewno, które przez stulecia odpadało od ścian. Z jednej strony znajdowało się palenisko, pośrodku stały stół i krzesła, a pod przeciwną ścianą - skrzynie i szafki.

- Cześć - odezwał się za Halem głos.

Hal obrócił się na pięcie, jego ręka powędrowała do sztyletu u pasa. Na łóżku siedział pomarszczony stwór z dużymi uszami. Miał na sobie skórzane pantalone i stary ciemnozielony żakiet na szkarłatnej koszuli, na głowie zaś spiczastą czapkę.

- Kim, u diabła, jesteś? - zapytał Hal. - Ależ masz tupet!

- Jestem goblin zza krokwi z Uniwersytetu Wyalusing, a na imię mi Oliwer.

- Dobrze, dobrze. - Hal odprężył się. - Ale wyjaśnij mi, co tu robisz.

- Przyszedłem, aby się z tobą spotkać i nie zastałem cię w domu. Na zewnątrz bardzo się denerwowałem. Widzisz, goblin zza krokwi...

- A więc wszedłeś do środka, by na mnie poczekać. Miałeś szczęście, że Szopa nie było w domu.

Przepędziłby cię stąd.

- Szopa?

- Wielkiego szopa. On i ja przyjaźnimy się. Mieszka tu ze mną.

- Ach, ulubione zwierzątko!

- Nie, nie ulubione zwierzątko. Przyjaciel.

- Zamierzasz mnie stąd wyrzucić?

- Nie, skądże. Po prostu zaskoczyłeś mnie. Jesteś głodny?

- Trochę. Nie masz kawałka sera?

- Nie, sera nie mam. Co byś powiedział na kaszkę z mąki kukurydzianej albo jabłka w cieście?

- Uwielbiam kaszkę.

- W porządku, więc zjemy ją na kolację. Chyba jest jeszcze mleko. W mleko zaopatrujemy się u drwala. To trochę daleko, jednak to najbliższa zagroda, gdzie mają krowę. Osłodziemy syropem klonowym.

Goblin wywrócił oczy z zachwytu.

- Brzmi wspaniale!

- Poruszę węgle w piecu. Chyba jeszcze nie wygasły. Masz stąd kawałek drogi do domu, panie Goblinie.

- Jechałem długo i przebyłem szmat drogi. Bolą mnie nogi i jestem w nie najlepszej formie. Tu jest taka olbrzymia odkryta przestrzeń, a ja nie jestem przyzwyczajony do tego.

Hal podszedł do pieca i pogrzebał w popiele. W środku rozbłysnął żar. Dołożył kilka szczap i pochyliwszy się, delikatnie dmuchał w ogień. Małeńkie płomyczki zaczęły lizać drewno, na chwilę zniknęły, po czym rozpały się na dobre. Dorzucił jeszcze kilka gałązek i przysiadł obok na piętach.

- Oto mamy ogień — powiedział. - Z dołu trzeba przynieść kukurydzę, ale z tym się nie spieszy.

Pomożesz mi?

- Z miłą chęcią - odparł Oliwer.

Hal podszedł do szafki, wyjął z niej miskę i drewnianą łyżkę. Ze skrzyni stojącej pod szafką nałożył parę łyżek mączki kukurydzianej do miski.

- Więc mówisz, że przyszedłeś tu, aby się ze mną zobaczyć?

- Tak mi poradzili ludzie. „Idź do Hala z Pustego Drzewa, on zawsze wie, co w trawie piszczy. Zna świetnie las i wie o wszystkim, co się w nim dzieje.” Drwał wytłumaczył mi, jak odnaleźć twoje drzewo. Może to ten, co ma krowę, chociaż jej nie widziałem.

- O co chciałeś mnie zapytać?

- Poszukuję człowieka. Bakałarza nazwiskiem Cornwall. Doszły mnie słuchy, że podróżuje z karawaną kupiecką w kierunku północnym. Muszę go znaleźć. To bardzo ważne.

- Dlaczego to takie ważne?

- Bo grozi mu niebezpieczeństwo. I jest ono o wiele poważniejsze, niż mi się to na początku wydawało.

Słońce już zaszło, ale nawet tu, między drzewami, nie zapadła jeszcze ciemność. Niebo na zachodzie było jasne. Zmrok pomału skradał się, lecz wciąż jeszcze było widno.

Gib śpieszył się. Miał jeszcze milę do przebycia, a o tej porze roku noc nadchodziła szybko.

Ścieżka wiodła w dół; musiał iść ostrożnie, uważając na kamienie i wystające korzenie, o które łatwo się potknąć.

Zatrzymał się na krótko w kopalni gnomów, by powiadomić Płaksę o śmierci pustelnika. Nie skorzystał z jego propozycji, by przenocować tam, gdyż śpieszyło mu się do domu. Wiedział, że gnomy szybko przekażą innym wiadomość o tym, że pustelnik nie żyje, i przestrzegą przed otwarciem pieczary zamienionej w grobowiec.

Zmrok gęstniał, gdy Gib pokonywał ostatni odcinek drogi dzielący go od szlaku karawan kupieckich. Schodząc w dół szlaku, Gib uświadomił sobie, że słyszy warczenie. Przeszył go dreszcz strachu; stanął i wytężył wzrok. Teraz, gdy znów zapanowała cisza, nie był pewny, czy się nie przesłyszał. Po chwili rozległ się ponownie przeciągły zwierzęcy głos - ni to warczenie, ni to pomruk - a następnie upiorne odgłosy, jakby jakieś zęby szarpały coś i rozdzierały.

„Wilki! - pomyślał. - Wilki w morderczej akcji!” Prawie instynktownie wydał z siebie dziki wrzask

i ruszył w dół ścieżką, wymachując siekierą. Jak się później zorientował, była to jedyna rzecz, którą mógł zrobić. Próba wycofania się czy też obejścia łukiem wilków na pewno nie powiodłaby się. Ale w tamtej chwili nie myślał o tym, po prostu wrzasnął i ruszył przed siebie.

Wyskoczył na szlak z gęstego poszycia otulającego ścieżkę. Wystarczyło jedno spojrzenie. Ciało ludzi i koni na bezładnej kupie, a wokoło zgraja wilków, pastwiąca się nad nim i wyrywająca sobie wzajemnie łup. Z pysków olbrzymich bestii toczyła się piana.

I zobaczył coś jeszcze - samotnego człowieka, na kolanach, z rękami zaciśniętymi na gardle wielkiego basiora, usiłującego powstrzymać atakującą bestię.

Z okrzykiem wściekłości i uniesioną siekierą Gib skoczył na wilka. Ten usiłował się wyrwać, ale śmiertelny uścisk klęczącego mężczyzny przytrzymał go na chwilę wystarczająco długą, by siekiera rozplatała łeb bestii, wbijając się głęboko w czaszkę. Wilk padł, wierzgając nogami w konwulsyjnych drgawkach. Człowiek osunął się na twarz.

Gib odwrócił się, by stawić czoło zgrai. Wilki cofnęły się, ale nie zamierzały oddać pola. Warczały na Giba, a jeden z nich, stojący najbardziej z boku, zaczął się powoli do niego skradać. Gib skierował się w jego stronę, wymachując siekierą i wilk wycofał się, dołączając do reszty. Wilków było razem osiem czy dziesięć. Nie ustępowały wzrostem Gibowi. Gib wiedział, że nie zdoła długo trzymać ich na dystans. Oceniały właśnie sytuację i szacowały siły przeciwnika. Gdyby zdecydowały się zaatakować, zmiotłyby Giba z powierzchni ziemi. Ucieczka nie wchodziła w grę - natychmiast by go dopadły. Gib zrobił więc jedyną rzecz, jaka mu pozostała: z okrzykiem wojennym ruszył na jednego z wilków, większego od innych i lekko posiwiatego, który wyglądał na przywódcę stada.

Wielki wilk, zaskoczony, odwrócił się i odskoczył, ale siekiera dosięgła jego grzbietu, rozcinając go. Inny basior usiłował zająć Giba od tyłu, lecz ten odwrócił się w porę, zataczając siekierą łuk. Ostrze uderzyło szarżującą bestię w pysk i wilk runął na ziemię.

Zgraja rozpierschła się i wtopiła się w ciemne podszycie lasu. Po chwili nie było już ani jednego wilka.

Ściskając ciągle siekiere, Gib podszedł do człowieka. Chwycił go za ramiona i podniósł, a następnie odciągnął na ścieżkę wiodącą w kierunku bagniska. Człowiek ledwo żył, ale najgorsze było już za nim. Ścieżka opadała stromo w dół i Gib miał szansę dotrzeć z mężczyzną do wody, jeśli, oczywiście, nie wróciłyby prędko wilki. Gib był pewien, że wilki wrócą.

Dociągnął człowieka do stromego spadku prowadzącego do wody, po czym wykonał potężne dźwignięcie. Ciało mężczyzny stoczyło się i wpadło z pluskiem do wody. Gib pokonał stromiznę, podszedł do człowieka i posadził go. Tu, przynajmniej przez chwilę, byli bezpieczni. Było mało prawdopodobne, aby wilki, mając taką ucztę na szlaku, podążyły za nimi. A jeśli nawet, to z pewnością zawałałyby się przed wejściem do wody.

Odzyskujący przytomność człowiek podniósł ręce w obronnym geście, jakby próbował odepchnąć niewidzialnego wroga. Gib złapał go za ramię i mocno potrząsnął.

- Spróbuj utrzymać się w pozycji siedzącej - powiedział. - Nie przewracaj się i nie poruszaj. Czekaj. Idę po łódkę.

Zdawał sobie sprawę, że łódka, długa zaledwie na sześć stóp, nie będzie w stanie przewieźć dorosłego człowieka. Ale zamierzał użyć jej jako koła ratunkowego, które nie pozwoli tamtemu utonąć, kiedy wypłyną na głęboką wodę. Zresztą, nie będą musieli daleko płynąć, jeśli tratwa Drodów nadal była w miejscu, w którym Gib natrafił na nią rankiem.

Nie widział jeszcze w życiu takiego błękitu; niebo nad nim było czyste, nie przysłaniała go żadna chmurka. Gdzie nie spojrzeć - wszędzie niebo. Leżał na czymś miękkim, co kołysało się delikatnie. Dochodził go dźwięk podobny do rytmicznego, cichego pluskania wody. Odruchowo chciał odwrócić głowę, podnieść rękę czy w jakiś inny sposób sprawdzić, gdzie się znajduje, ale przezorność, odzywająca się gdzieś w głębi mózgu, nakazywała mu nie robić tego, nie wykonywać

najmniejszego ruchu, nie ryzykować niczym możliwością zwrócenia na siebie uwagi.

Sięgnął pamięcią wstecz; wróciły warczące pyski i kłające zębiska. Ciągłe czuł szorstkość sztywnej sierści, w którą zanurzył ręce i zacisnął je kurczowo, by za wszelką cenę powstrzymać potwora. Wspomnienie to było jednak niewyraźne jak koszmar senny; właściwie nie wiedział, czy była to jawa, czy sen.

Leżał, usiłując odprężyć się i zastanowić. Był pewien, że nie znajduje się w tym samym miejscu, w którym, we śnie czy na jawie, walczył z wilkiem. Przede wszystkim tam były wszędzie drzewa, dookoła i nad nimi, a tu nie widział ani jednego.

Z boku rozległ się skrzeczący dźwięk. Gdy odwrócił głowę, zobaczył czerwonoskrzydłego kosa, huśtającego się na bazi i usiłującego utrzymać równowagę. Ptak, rozłożywszy skrzydła, skrzeczał do niego, machając ogonkiem i wybałuszając pa-ciorkowate oczka.

Ktoś zbliżał się do niego. Podniósł głowę i zobaczył małą istotę płci żeńskiej, przysadzistą i pękata, w kraciastej sukience. Wyglądała jak proporcjonalnie zbudowana kobieta, ale miała wzrost dziecka, a do tego porośniętą puszką twarz.

Podeszła bliżej i stanęła nad nim. Położył głowę na poduszce i patrzył na istotę.

- Mam dla ciebie zupę - rzekła. - Teraz, gdy już się ocknąłeś, przyniosę ci ją.

- Proszę pani, ja nie wiem...

- Jestem pani Drood i kiedy ci przyniosę zupę, musisz ją koniecznie zjeść. Straciłeś dużo sił.

- Gdzie ja jestem?

- Na tratwie, pośrodku bagniska. Tutaj jesteś bezpieczny. Nikt nie dotrze tu do ciebie. Jesteś u

Mieszkańców Bagniska. Znasz nas?

- Słyszałem o was - rzekł Cornwall. - Pamiętam wilki...

- Gib cię ocalił od wilków. Miał ze sobą nowiuteńką siekierę, wiesz. Dostał ją od gnomów.

- Jest tutaj?

- Nie, poszedł po mięczaki, aby ci je ugotować. Zaraz przyniosę ci zupy z kaczki. Zjesz ją? Są w niej duże kawałki mięsa.

Odeszła, szurając nogami.

Cornwall uniósł się na prawym łokciu i zobaczył, że lewe ramię ma na temblaku. Usiadł z trudnością; dotknął głowy i poczuł pod palcami opatrunek. Mozaika w głowie układała się powolutku w całość, wiedział, że niedługo przypomni sobie wszystkie szczegóły ostatniej nocy.

Patrzył na trzęsawisko. Z położenia słońca domyślił się, że jest jeszcze przed południem. Bagnisko rozciągało się szeroko. TU i ówdzie kępy skarłowaciałych drzew, zakorzenionych na wysepkach, urozmaicały jego monotnię. W oddali stado ptaków poderwało się z traw i trzciny; wzbiły się w niebo i krążyły jak eskadra lotnicza - z rzadka siadały, by odpocząć.

Zza zakrętu wychyłała łódź i płynęła w dół kanału w kierunku tratwy. Za sterem siedział szpakowaty mieszkaniec trzęsawiska. Jednym ruchem wiosła ustawił łódź wzdłuż tratwy.

- Jestem Drood - przedstawił się Corawallowi. - Wygląda na to, że przyszedłeś do siebie po wydarzeniach ostatniej nocy.

- Czuję się już prawie dobrze - rzekł Cornwall.

- Masz dużą ranę na głowie. A na ręce głębokie rozcięcie, prawie aż do kości.

Wydostał się z łodzi i przywiązał ją do tratwy. Ciężko podszedł do Cornwalla i przykucnął naprzeciw niego.

- Miałeś trochę szczęścia, no nie? Wszyscy inni nie żyją. Byliśmy tam dziś rano i przeszukaliśmy las. Wygląda na to, że nikt inny się nie uratował. To chyba byli bandyci. Musieli przebyć kawał drogi. Kiedyś grasowali na tych wzgórzach, ale potem zniknęli. Nie ma ich tu od lat. Co to za towar wieźliście?

Cornwall pokręcił głową.

- Nie jestem pewien. Rozmaite rzeczy na sprzedaż. Głównie

ubrania, tak sądzę. Nie należałem do karawany kupieckiej. Po prostu z nimi jechałem.

Pani Drood wytoczyła się zza chatki z miską w rękę.

- To Mamuśka - rzekł Drood. - Przyniosła ci trochę zupy. Jedz, ile możesz. Potrzebujesz sił.

Pani Drood wręczyła Cornwallowi łyżkę i stanęła obok, trzymając miskę.

- Jedz. Jedną ręką nie dasz rady - powiedziała.

Zupa była gorąca i smakowita. Po pierwszej łyżce Górowali poczuł, jaki jest głodny. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy jadł ostatni posiłek, ale nie mógł.

- Serce się raduje - powiedział Drood - gdy ktoś je z takim apetytem.

Cornwall skończył jeść zupę.

- Jeszcze trochę? - spytała Mamuśka. — Jest cały garnek.

- Nie, dziękuję - rzekł Cornwall. - Miło z pani strony.

- Teraz połóż się. Już się dość nasiedziałeś. Możesz rozmawiać z Tatuskiem na leżąco.

- Nie chcę być ciężarem. I tak sprawiłem dość kłopotu. Muszę jechać dalej. Poczekać tylko na Giba, żeby mu podziękować.

Tatusiek zaproponował:

- Nigdzie nie pojedziesz. Nie jesteś w stanie. Jesteśmy dumni, że możemy ci pomóc. I wiedz, że nie stanowi to dla nas żadnego problemu.

Cornwall leżał na wznak, z głową odwróconą w stronę przycupniętego bagiennika.

- Ładnie tu. Od dawna tutaj mieszkacie?

- Od zawsze. Tak jak mój ojciec i ojciec mojego ojca, i tak dalej. My, bagiennicy, nie przeprowadzamy się często. Ale mówmy o tobie. Daleko masz do domu?

- Bardzo. Przywędrowałem tu z zachodu.

- Tam to jest dziki kraj!

- Prawda, rzeczywiście dziki.

- I zamierzasz tam powrócić?

- Chyba tak.

- Nie jesteś zbyt rozmowny - stwierdził Drood. - Odpowiadasz mi, a jednak niczego nie mówisz.

- Może dlatego, że nie mam wiele do powiedzenia.

- W porządku. Nie miałem zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy. Odpocznij teraz. Gib może wrócić w każdej chwili. Wstał i odwrócił się, by odejść.

- Chwileczkę, panie Drood - powiedział Cornwall. - Zanim pan odejdzie — dzięki za wszystko.

Drood pokiwał głową i uśmiechnął się, mrużąc oczy.

- W porządku, młody przyjacielu. Czuj się jak u siebie w domu.

Słońce stało już wysoko na niebie i nieźle grzało. Cornwall zamknął oczy. To wystarczyło, by powrócił koszmarny obraz -nagle pojawienie się ludzi, świst strzał, błyski ostrzy. Wszystko odbyło się po cichu -bez wrzasków i krzyków, tylko ciche jęki ranionych, a tych było niewielu, bo większość umarła szybko i bezgłośnie, gdy strzały przeszły ich serca.

„Jak to możliwe - zastanawiał się Cornwall - że przeżyłem?" Pamiętał tak niewiele: opadający na jego szyję nóż i instynktowne zasłonięcie się rękami, potem upadek. Przypominał sobie, jak leciał z konia w dół - ale tylko jak leciał, nie zaś jak padał na ziemię. Być może upadł na wyjątkowo grubą ściółkę. Zarośla wzdłuż szlaku były gęste i tworzyły zwarty szpaler. Mógł spaść na nie i uznano go za zabitego, a potem nikt tego nie sprawdził.

Usłyszał zgrzyt i otworzył oczy. Wzdłuż tratwy płynęła druga łódka. Siedział w niej młody mieszkaniec bagniska, a przed nim, pośrodku pokładu, stał koszyk pełen mięczaków. Cornwall usiadł.

- Ty musisz być Gib - powiedział.

- Tak jest. Cieszę się, że dobrze się czujesz.

- Nazywam się Mark Cornwall. Powiedziano mi, że to ty uratowałeś mi życie.

- Cieszę się, że mogłem. Przybyłem w samą porę. Walczyłeś z wilkiem gołymi rękami. Trzeba nie lada odwagi, aby się na coś takiego porwać. Czy coś sobie przypominasz?

- Bardzo niewyraźnie. Tylko jakieś fragmenty.

Gib wysiadł z łódki i przeniósł kosz z mięczakami na tratwę. Wskazując na mięczaki, powiedział:

- Będzie dużo wspaniałej zupy. Lubisz taką zupę?

- Tak, bardzo.

- Pani Drood robi zupę, jakiej nigdy nie jadłeś. - Podeszedł bliżej i stanął obok Corawalla. -

Poszliśmy tam rano z Droo-dem. Znaleźliśmy siedem ciał. Były obrabowane ze wszystkiego, co miało jakąkolwiek wartość. Żadnej sakiewki, żadnego noża. Wszystkie towary znikły. Nawet siodła z koni. To robota bandytów.

- Nie jestem tego taki pewien.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Słuchaj, ocaliłeś mi życie i wiele ci zawdzięczam. Powiem ci całą prawdę. Drood mnie wypytywał, ale nic mu nie powiedziałem.

- Możesz mu zaufać. On jest bardzo porządny. Możesz zaufać każdemu bagiennikowi. I nie musisz mi nic mówić. Nie muszę wiedzieć.

- Czuję, że powinienem. Nie jestem kupcem. Jestem, a raczej byłem żakiem Uniwersytetu Wyalusing. Skradłem pewien dokument z biblioteki uniwersyteckiej i zaprzyjaźniony goblin ostrzegł mnie, żebym uciekał, gdyż inni mogą szukać tego dokumentu. Więc znalazłem odpowiedniego kupca i zapłaciłem mu, by móc z nim podróżować.

- Myślisz, że jacyś ludzie zaatakowali całą grupę kupców, aby pozbyć się ciebie i zdobyć dokument? Że zabili wszystkich, by pozbyć się ciebie jednego? Czy znaleźli ten dokument?

- Chyba nie. Pomóż mi zdjąć trzewik, dobrze? Prawy. Jedną ręką nie dam rady.

Gib schylił się i ściągnął but.

- Sięgnij do środka. Gib uczynił to.
- O, coś tu jest!- powiedział. Wyciągnął złożoną stronicę.
- Oto on - rzekł Cornwall. Niezręcznie rozwinął stronicę i podał ją Gibowi.
- Nie umiem czytać - powiedział Gib. - Żaden bagiennik nie potrafi.
- To i tak po łacinie.
- Nie rozumiem, dlaczego ci tego nie zabrali. Powinni byli cię przeszukać.
- Wcale nie. Myślę, że są w posiadaniu tego dokumentu. Widzisz, zrobiłem jego kopię i ukryłem w miejscu łatwym do odnalezienia.
- Ale jeśli mają kopię...
- Zmieniłem trochę treść kopii. Nieznacznie. Tylko parę dość istotnych szczegółów. Gdybym zmienił zbyt wiele, mogliby nabrać podejrzeń. Ktoś mógłby domyślić się, o co chodzi. To mało prawdopodobne, ale możliwe. Oni nie szukali dokumentu, chcieli dostać mnie. Ktoś chciał, żebym nie żył.
- Widzę, że mi ufasz, a chyba nie powinieneś. Nie musisz mi tego wszystkiego mówić.
- Dzięki tobie żyję. A przetrzymywanie mnie może być dla ciebie niebezpieczne. Pomóż mi dostać się na brzeg i tam zniknę. Gdyby ktoś o mnie pytał, nigdy mnie nie widziałeś. Muszę być w porządku w stosunku do ciebie i uprzedzić cię, że przez mnie możesz znaleźć się w kłopotach.
- Nie - odparł Gib.
- Co nie?
- Nie, nie zawiozę cię na brzeg. Nikt nie wie, że tu jesteś. Nikt cię nie widział i nikomu nic nie mówiłem. Zresztą i tak myślą, że już nie żyjesz.
- Chyba tak.
- A więc załatwione; zostajesz tu, póki nie wydobrzejesz. A wtedy pójdziesz, gdzie zechcesz, i zrobisz, na co będziesz miał ochotę.

- Nie mogę długo czekać. Mam przed sobą długą podróż.
- Ja też - powiedział Gib.
- Ty też? Myślałem, że wy nigdy nie opuszczacie trzęsawiska. Drood powiedział mi...
- Zwykle tak jest. Na wzgórzach żył pewien stary pustelnik, który przed śmiercią dał mi księgę i kamienny topór. Prosił mnie, bym dostarczył je komuś, kogo zwa Biskupem z Wieży.
- Na północ i na wschód stąd?
- Tak powiedział. W górę rzeki, na północ i na wschód. Znasz Biskupa z Wieży?
- Słyszałem o nim. To na granicy z Utracją.
- Z Utracją? Z zaklętym światem?
- Tak. Tam właśnie zamierzam się udać.
- A może pojedziemy razem? Cornwall kiwnął głową.
- Aż do samej Wieży możemy podróżować razem. Dalej powędruję sam.
- Znasz drogę?
- Do Wieży? Nie, wiem tylko, w którym to kierunku. Istnieją mapy, ale na nich nie można polegać.
- Mój przyjaciel, Hal z Pustego Drzewa podróżował dużo. Może będzie znał drogę i zechce pojechać z nami, by nam ją wskazać.
- Zastanów się, zanim zdecydujesz, że powinniśmy jechać razem. Już raz próbowano mnie zabić, mogą być i następne próby.
- Ale przecież ten, którego się obawiasz, myśli, że już cię nie ma wśród żywych.
- Tak, oczywiście. Teraz tak myśli. Ale podczas naszej podróży wiele oczu nas zobaczy i wiele języków obgada. Podróżników się zauważa i o nich się opowiada.
- Jeśli Hal wybierze się z nami, nie będziemy podróżować traktami ani utartymi szlakami. Pojedziemy lasami. Mało kto będzie nas widział.

- Mówisz, jakbyś mimo wszystko chciał wyruszyć ze mną.
 - My z bagien jesteśmy nieśmiałym ludem. Czujemy się niepewnie, gdy zbyt oddalamy się od domu. Na samą myśl o podróży ciarki mnie przechodzą. Ale razem z tobą i Halem...
 - Jesteście dobrymi przyjaciółmi?
 - To mój najlepszy druh. Odwiedzamy się. Jesteśmy rówieś-
n i karni. On jest silniejszy i zna świetnie las. Nie wie, co to strach. Podkrada kukurydzę z pól, plądruje ogródki.
 - Dobrze byłoby z kimś takim podróżować.
 - Też tak myślę.
 - Sądzisz, że zechce wybrać się z nami?
 - Przypuszczam, że tak. On nie jest z takich, co przepuszczają okazję przeżycia przygody.
 - No tak, więc chcesz kupić ode mnie miecz - powiedział Płaksa. - Po co ci miecz? To nie jest broń dla takich jak ty. Ledwo byś go udźwignął. To miecz dla człowieka. Nie dzieło sztuki płatnerskiej do kolekcji, lecz miecz dla prawdziwego wojownika.
 - Znam cię od lat - odparł Gib. - I ty dobrze znasz mój lud, a także Mieszkańców Wzgórz. Czy nasza rozmowa może pozostać w tajemnicy?
- Płaksa nastawił uszu, drapiąc się w głowę.
- Chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że my, gnomy, nie jesteśmy gadułami. Pilnujemy swoich spraw i nie zajmujemy się plotkami. Wiele wieści do nas dociera, ale nie przekazujemy ich dalej. Gadulstwo może być źródłem kłopotów, a tych chcemy za wszelką cenę uniknąć. Wiesz doskonale, że my, gobliny, elfy i cała reszta Bractwa jesteśmy tolerowani w świecie ludzi. Dzieje się tak dlatego, że pilnujemy własnego nosa i trzymamy się z dala od spraw, które nas nie dotyczą. To pozwala nam przetrwać. Inkwizycja nieustannie węszy wokoło, ale rzadko działa przeciw nam, jeśli pozostajemy w ukryciu. Gdybyśmy jednak stali się choć trochę uciążliwi i gdyby jakiś

nadgorliwy człowiek doniósł na nas, gorzko byśmy tego pożałowali. Powiniennem cię zapytać, czy ta tajemnicza sprawa, o której chcesz mówić, może być dla nas źródłem kłopotów.

- Nie wydaje mi się. Gdybym myślał inaczej, nie przyszedł-

bym do ciebie. My, bagiennicy, potrzebowaliśmy was i nadal potrzebujemy. Przez całe lata zachowywaliście się w stosunku do nas uczciwie i nigdy nie narazilibyśmy was świadomie na niebezpieczeństwo. Zapewne słyszałeś o masakrze karawany kupieckiej zeszłej nocy? Płaksa pokiwał głową.

- Ohydna zbrodnia. Wasi ludzie ich pochowali?

- Pogrzebaliśmy to, co z nich zostało. Zamaskowaliśmy groby i wyrównaliśmy ziemię.

Odciągnęliśmy martwe zwierzęta daleko na trzęsawisko. Nie zostawiliśmy żadnego śladu po tym, co tam zaszło.

- To dobrze. Zniknięcie karawany na pewno zostanie zauważone. Władze mogą wszcząć

dochodzenie. Niezbyt dociekliwe, myślę, bo to jest ciągle strefa przygraniczna i machina

urzędnicza nie działa tu zbyt sprawnie. Gdyby mieli niezbite dowody, musieliby rozpocząć

śledztwo. I to byłoby najgorsze. Nikt z nas - ani ludzie, ani wy, ani Mieszkańcy Wzgórz, ani inni

członkowie Bractwa - nie chce, aby szpicle Inkwizycji węszyli na naszych podwórkach.

- Jedna rzecz nie daje mi spokoju - rzekł Gib. - Nie mogliśmy pomodlić się nad ich grobami. Nie

znaliśmy słów ich modlitwy. Nawet gdybyśmy je znali, nie byłibyśmy właściwymi osobami, aby je

odmówić. Pochowaliśmy ich bez spowiedzi.

- Umarli nie wyspowiadawszy się - rzekł ze smutkiem Płaksa - i to jest właśnie głupota.

- Może i głupota, ale nie większa niż wiele naszych zasad postępowania.

- I to nas sprowadza do pytania, jak się to wszystko ma do twojej prośby o miecz?

- Nie wszyscy członkowie karawany kupieckiej zostali zabici. Natknąłem się przypadkiem w nocy

na pobożowisko i znalazłem jednego, który wciąż żył. To on potrzebuje tego miecza.

- Czy bandyci zrabowali mu jego miecz?
- Miecz, nóż i sakiewkę. Zabrali towar, który wieźli kupcy, i okradli zabitych. Wydaje mi się, że ten człowiek nie miał naj-
lepszego miecza. Odziedziczył go po dziadku. Teraz potrzebuje naprawdę dobrej broni.
- Mamy inne miecze.
- Gib potrząsnął przecząco głową.
- Potrzeba mu najlepszego. Udajesiędo Utracji, by odnaleźć Prastarych.
- To czyste szaleństwo. Nie wiadomo, czy Prastarzy w ogóle istnieją. Słyszeliśmy legendy o nich, ale to tylko legendy. Nawet jeśli ich odnajdzie, jaki będzie miał z tego pożytek?
- Chce z nimi porozmawiać. Jest bakałarzem i...
- Nikt nie może z nimi rozmawiać, bo nikt nie zna ich języka.
- Wiele lat temu - może setki - pewien człowiek żył wśród nich przez jakiś czas i spisał ich język, a przynajmniej niektóre jego słowa.
- Następna bajda. Gdyby Prastarzy napotkali człowieka, rozerwaliby go na kawałki.
- Trudno mi cokolwiek powiedzieć. Wiem tylko to, co powiedział mi Mark.
- Mark? To ten twój człowiek?
- Mark Cornwall. Pochodzi z zachodu. Spędził ostatnie sześć lat na Uniwersytecie Wyalusing. Wykradł stamtąd manuskrypt.
- Och, a więc jest też złodziejem!
- Nie tyle złodziejem, ile poszukiwaczem. Manuskrypt był ukryty od wieków. Nikt o nim nie wiedział. I dalej by tak było, gdyby Mark nie natrafił na niego.
- Uświadomiłem sobie właśnie jedną rzecz. Pokazałeś mi księgę i topór, zostawione ci przez konającego pustelnika, abyś je dostarczył jakiemuś biskupowi. Czy to możliwe, żebyście ty i ten Mark udawali się we wspólną podróż?

- Taki mamy zamiar. Chcemy razem dotrzeć do Biskupa z Wieży, a potem Mark pojedzie do Utracji.

- Czy nie myślałeś o tym, by towarzyszyć mu w dalszej drodze?

- Myślałem. Ale on mi nie pozwoli.

- Też tak sędzę. Czy wiesz, co to Utracja?

- Zaczarowana kraina.

- To ostatni bastion Bractwa.

- Ale wy...

- Tak, my należymy do Bractwa. Układa nam się dobrze z innymi, bo to jest Pogranicze. Są tu oczywiście ludzie, ale nieliczni - młynarze, drwale, węglarze, wieśniacy. Ludzkie instytucje, takie jak rząd czy Kościół, nie wtrącają się do nas. Nigdy nie byłeś na południowym wschodzie, prawda?

- Mhm.

- Tam jest niewielu naszych. Żyją w ukryciu, nie tak jak my tutaj. Ci, którzy niegdyś tam żyli, zostali wypędzeni. Wycofali się do Utracji. Jak zapewne się domyślasz, żywią w sercu nienawiść do ludzi. W Utracji żyją ci, którzy musieli się tam osiedlić, i ci, którzy nigdy jej nie opuszczali i nadal kultywują stare tradycje.

- Ale ty wyjechałeś.

- Wieki temu ekipa gnomów-poszukiwaczy znalazła złoża metalu, tu pod tymi wzgórzami.

Ponieważ przez niezliczone tysiąclecia gnomy były górnikami i kowalami, przenieśliśmy się tutaj małą grupką. I nie żałujemy tego. Ale jeśli tak zwana ludzka cywilizacja rozpanoszy się tutaj na dobre, na pewno wyprze nas stąd.

- O ile mi wiadomo, ludzie podróżowali do Utracji. Był tam przecież ten wędrowiec, autor opowieści, którą czytał Mark.

- Musiał mieć ze sobą jakiś potężny talizman. Czy ten twój przyjaciel ma talizman?

- Chyba nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wspominał.
 - To on naprawdę nie jest przy zdrowych zmysłach. Nawet nie stara się sprawiać wrażenia, że poszukuje skarbu. Jedyne, czego szuka, to Prastarzy. Powiedz mi, co zrobi, jak ich znajdzie?
 - Ten dawny wędrowiec też nie poszukiwał skarbu. Wyruszył do Utracji z czystej ciekawości.
 - To on też nie był normalny. Jesteś pewien, że nie ma sposobu, by odwieść twojego przyjaciela od tego zwariowanego zamiaru?
 - Chyba nie. Myślę, że nikt go nie powstrzyma.
 - W takiej sytuacji - powiedział Płaksa - on rzeczywiście potrzebuje tego miecza.
 - To znaczy, że mi go sprzedasz?
 - Sprzedam? Czy ty znasz jego wartość?
 - Mam nadwyżkę na koncie w handlu z tobą. I Drood też. I są jeszcze inni bagiennicy, którzy chętnie...
 - Trzeba by trzech takich bagnisk jak to tutaj i nie wiem, czy wszystko, co by się na nich znalazło, wystarczyłoby, by zapłacić za ten miecz. Czy wiesz, ile wysiłku w niego włożono, staranności, mistrzostwa i magii?
 - Magii?
 - Tak, magii. Myślisz, że taką broń można wykonać wyłącznie za pomocą rąk i ognia, młota i kowadła?
 - Ale moja siekiera...
 - Twoja siekiera to tylko rzemiosło. Nie ma w niej nic magicznego.
 - No to bardzo przepraszam, że ośmieliłem się zawracać ci głowę.
- Płaksa parsknął i zastrzygł uszami.
- Nie zawracasz mi głowy. Jesteśmy starymi przyjaciółmi, mimo to nie sprzedam ci miecza. Ja ci go podaruję. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Ja ci go dam. Dołożę pas i pochwę, bo, jak

przypuszczam, ten ludzki biedaczyna niczego nie ma. No i tarczę. Będzie jej potrzebował. Pewnie jej również nie ma.

- Nie ma. Mówiłem ci, że nic nie ma. Nie rozumiem jednak. ..

- Zbyt nisko cenisz moje uczucie przyjaźni dla Mieszkańców Bagniska. Urażasz moją dumę, sądząc, że boję się przeciwstawić miecz będący dziełem moich rąk niebywałym okropnościom Utracji. Nie doceniasz chyba, ile mam podziwu dla tego słabego człowieczka, który wiedząc ze swych studiów, czym może być Utracja, chce stawić czoło jej i jej mieszkańcom, by urzeczywistnić jakieś nierealne marzenie.

- Nadal nie do końca cię rozumiem, niemniej jednak serdecznie ci dziękuję.

- Pójdę po miecz - rzekł Płaksa, podnosząc się z krzesła.

W tej właśnie chwili do izby wpadł gnom ubrany w ciężki gumowy fartuch. Sadza na jego rękach i twarzy wskazywała na to, że pracował w kuźni.

- Mamy gości! - krzyknął gnom.

- Dlaczego podnosisz wrzawę z tego powodu? - rzekł z oburzeniem Płaksa. - Goście nie są dla nas niczym niezwykłym.

- Ale jeden z nich to goblin!

- No i co z tego?

- Przecież gobliny nie mieszkają bliżej niż na Cyplu Kociej Jaskini, a to jest ponad dwadzieścia mil stąd!

- Cześć, witam wszystkich - powiedział Hal z Pustego Drzewa. - Co to za raban?

- Cześć, Hal - odparł Gib. - Właśnie miałem wpaść do ciebie.

- Możemy razem wrócić. Jak się masz, Płakso? Przyprowadziłem ze sobą podróżnika. Oto Oliwer. To goblin zza krokwi.

- Witaj, Oliwerze - powiedział Płaksa. - Czy mógłbyś mi łaskawie wyjaśnić, co to, u diaska, znaczy

„goblin z za krokwi”? Słyszałem o wielu rodzajach goblinów, ale...

- Moim miejscem zamieszkania są krokwie dachu nad biblioteką Uniwersytetu Wyalusing. A przybywam tu w poszukiwaniu pewnego człowieka...

Szop, którego nikt nie zauważył, gdyż wsunął się tuż za Ha-lem, podbiegł do Giba i wskoczył mu na kolana. Obwąchiwał jego szyję i usiłował skubnąć go w uszy. Gib patrzył na zwierzę, mrugając szybko.

- Przestań! - powiedział. - Twoje wąsy łaskoczą mnie i masz ostre zęby.

Szop nadal nie dawał spokoju jego uszom.

- On cię lubi - rzekł Hal. - On zawsze cię lubił.

- Właśnie dowiedzieliśmy się o zamordowaniu wszystkich

kupców z karawany - zaczął Oliwer. - Wieść o tym mnie wystraszyła porządnie. Przyszliśmy zapytać, czy może znacie jakieś szczegóły? Płaksa wskazał kciukiem na Giba.

- On może wam wszystko dokładnie opowiedzieć. Był tam tuż po fakcie. Znalazł jednego żywego człowieka. Oliwer doskoczył do Giba.

- Jeden żył? Nadal żyje? Jak się nazywa?

- Żyje, żyje. Nazywa się Mark Cornwall. Oliwer siadł powoli na podłodze.

- Opatrzności niech będą dzięki - mruknął. - Żyje i czuje się dobrze?

- Oberwał mocno w głowę - wyjaśnił Gib - i ma rozwaloną rękę, ale obie rany dobrze się goją. Czy jesteś tym goblinem, o którym mi opowiadał?

- Tak, to ja. Poradziłem mu, żeby przyłączył się do grupy kupców i wyjechał z nimi. Ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, komu ten przeklęty mnich sprzedał informacje. I tyle z tego miał, że mu w zamian poderżnęli gardło.

- O co chodzi? - zaskrzeczał Płaksa. — Co to za gadanie o poderżniętych gardłach i jakichś ucieczkach? Nie podoba mi się to wszystko!

Oliwer streścił mu pokrótce całą historię.

- Czułem się odpowiedzialny za tego chłopaka. Ostatecznie też się w to wszystko wplątałem...

- Mówiłeś o człowieku - wtrącił Gib — któremu mnich sprzedał informację.

- Trafiłeś w sedno. Człowiek ten twierdzi, że nazywa się Lawrence Beckett, i udaje kupca. Nie wiem, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko - myślę, że to nawet nie ma znaczenia -jestem jednak pewien, że kupcem nie jest. Jest szpiegiem Inkwizycji, a także najbardziej bezwzględnym łotrem na Pograniczu.

- Ale Inkwizycja - powiedział Płaksa. - Przecież jest...

- Oczywiście - podjął Oliwer. - Wiesz, czym powinna być - zbrojnym ramieniem Kościoła, z misją wykorzenia here-

zji. Mianem herezji określa się jednak w wielu przypadkach rzeczy, które nie mają z nią nic wspólnego. Gdy szpiegzy Inkwizycji zmieniają się w złych ludzi, a z większością z nich tak się dzieje, stają się sami dla siebie prawem. Nikt nie jest bezpieczny w ich obecności, są perfidni i wiarołomni.

- Myślisz - zapytał Gib - że ten Beckett i jego ludzie zmasakrowali członków karawany kupieckiej?

- Wątpię, aby zrobili to własnymi rękami. Ale jestem pewien, że to dzieło Becketta. Musiał szepnąć słówko komuś odpowiedniemu.

- W nadziei, że Mark zginie?

- Mając pewność, że Mark zginie. To był cel ataku. Zginąć mieli wszyscy. Tak jak opowiadałeś, rozebrali Marka i zabrali mu wszystko, co miał. Uważali go za nieżywego; prawdopodobnie nie wiedzieli, że miał zginąć przede wszystkim on.

- Nie znaleźli manuskryptu. Miał go w cholewie.

- W ogóle go nie szukali. Beckett myśli, że manuskrypt jest w jego posiadaniu. Wykradł go z komnaty Marka.

- Podróbkę - rzekł Hal. - Kopię.

- Właśnie - potaknął Oliwer.

- A ty przebyłeś całą drogę - powiedział Gib - aby go ostrzec przed Beckettem, zanim będzie za późno.

- Czułem się za niego odpowiedzialny. Ale spóźniłem się. Nie mnie zawdzięcza życie.

- Wydaje mi się - powiedział Płaksa poważnym tonem - że klucz do wszystkiego leży w tym, co zostało napisane w podrobionym manuskrypcie, który posiada Beckett. Czy możesz nam wyjaśnić, co tam napisałeś?

- Chętnie - odrzekł Oliwer. - Opracowaliśmy to razem i -jak sobie przypominam -byliśmy zadowoleni, że nam to wyszło tak dobrze. Część tekstu pozostawiliśmy bez zmian, aby mnich mógł powiedzieć temu, komu sprzedał informację, gdzie pergamin został znaleziony, w której księdze był ukryty. Manuskrypt ukryto w księdze, w której Taylor opisuje swe podróże do Utracji.

Większość tego, co w niej zawarł, to stek kłamstw. Zaczynam nawet wątpić, czy on w ogóle odwiedził Utrację. Ale

założyliśmy, że tak było, i pozostawiliśmy większą część jego opowieści, a wykreśliliśmy wszelkie wzmianki o Prastarych. W ich miejsce wstawiliśmy historyjkę opartą na legendzie, bardzo mrocznej legendzie, którą Mark napotkał, czytając jakiś stary wolumen. Legenda ta mówi o uniwersytecie, w którym zgromadzone są stare księgi oraz wiele skarbów. Zasugerowaliśmy, że uniwersytet znajduje się w Utracji, ale dokładnie nie wiadomo, gdzie...

- Czy wy zupełnie zwariowaliście?! - zawył Płaksa. - Czy wiecie, coście narobili?! To chyba najgłupszy pomysł...

- O co chodzi? - przerwał Oliwer. — Co masz na myśli?

- Ty kretynie! - ryknął Płaksa. - Ty matole! Powinieneś wiedzieć, że ten uniwersytet naprawdę istnieje! — Przerwał. Utkwił spojrzenie w Gibie, potem przeniósł je na Hala. - Wy obaj nie

powinniście o tym wiedzieć. Nikt spoza Bractwa nie powinien. To stara tajemnica. Jest dla nas świętością. — Złapał Oliwera za ramię i szarpnął tak mocno, że go prawie uniósł. — Jakim cudem ty o tym nie wiedziałeś?!

Oliwer skulił się ze strachu.

- Nigdy nie słyszałem o tym. Jestem skromnym goblinem z za krokwi. Kto miał mi o tym powiedzieć? Potraktowaliśmy to jako bajdę.

Płaksa puścił Oliwera. Szop przycupnął na kolanach Giba, skomląc cichutko.

Hal rzekł do Płaksy:

- Nigdy w życiu nie widziałem cię tak zdenerwowanym.

- Mam prawo być wściekły. Kupa głupków, durniów, którzy pakują się w coś, od czego winni trzymać się jak najdalej. Ale, co gorsza, szpicel Inkwizycji dostaje wiadomość, sfabrykowaną wiadomość, która przypadkiem jest prawdziwa. I jak myślicie, co robi? Pędzi co sił do Utracji. Nie po te skarby, o których bzdurzyliście, ale po starodawne księgi! Wyobraźcie sobie glorię, która spłynie na tego świętoszka, kiedy znajdzie stare pogańskie księgi i odda je płomieniom.

- Może ich nie znajdzie - rzekł Gib z nadzieją. - Może nie uda mu się do nich dotrzeć?

- Oczywiście, że ich nie znajdzie; nie ma na to najmniejszych szans. Wszystkie diabły wcielone zapolują na niego. Istota ludzka, aby wydostać się z Utracji żywą, musi mieć niesamowite szczęście. Od wieków pomimo wzajemnej niechęci panuje tam pokój między ludźmi a członkami Bractwa. Przybycie tego człowieka będzie zarzewiem wojny. Pogranicze stanie się znowu niebezpieczne.

- Jest jedna rzecz, która mnie zastanawia - rzekł Gib. - Nie widziałeś większych przeszkód, aby Cornwall wybrał się do Utracji. Uważałeś to za nierozważne, ale nie sprzeciwiałeś się. Wyglądało mi na to, że raczej podziwiałeś jego odwagę. Chciałeś nawet dać mi miecz dla niego...

- Zaraz, zaraz, przyjacielu - zaproponował Płaksa. - Istnieje drobna różnica między skromnym

bakałarzem, wyprawiającym się do Utracji w celu badań naukowych, a sługusem Kościoła, sposobiącym się do walki ogniem i mieczem. Bakałarz występujący w swojej roli ma nawet szansę wyjść cało z takiej wyprawy. Oczywiście, nie będzie zupełnie bezpieczny; w Utracji jest parę indywiduów, do których nie czuję sympatii. Ale ogólnie rzecz biorąc, może być tam tolerowany i nie stanowić zagrożenia dla naszych. Nie rozpęta wojny. Jeżeli go nawet zabiją, to po cichutku i nikt nigdy się nie dowie, w jaki sposób i kiedy. W rzeczywistości niewielu zauważy tam jego obecność, więc mógłby nawet stamtąd powrócić. Czy teraz widzisz różnicę?

- Chyba tak...

- A więc sytuacja wygląda następująco: masz przed sobą podróż, którą jesteś zobowiązany odbyć, aby dostarczyć Biskupowi z Wieży księgę i topór, otrzymane od pustelnika. W tej podróży będzie ci towarzyszył twój wspaniały bakałarz, który dalej pojedzie do Utracji. Czy dobrze zrozumiałem?

- Tak, bardzo dobrze.

- I nie masz zamiaru pojechać z nim do Utracji?

- Chyba nie.

- Ale ja mam taki zamiar - odezwał się niespodziewanie goblin zza krokwi. - Skoro jestem w to zamieszany od samego

początku, równie dobrze mogę wziąć udział w zakończeniu. Bez względu na to, jakie będzie.

Zrobiłem już taki szmat drogi, że nie mam najmniejszego zamiaru wycofywać się.

- Ale przecież mówiłeś mi - wykrzyknął Hal - że boisz się otwartych przestrzeni! Nawet to jakoś nazwałeś.

- Agorafobia. Ciągłe na nią cierpię. Trzęsie mnie, gdy oddycham świeżym powietrzem. Deprymuje mnie otwarte niebo. Ale mimo to wyruszę. Rozpocząłem całą sprawę na poddaszu w Wyalusing i nie mogę się teraz wycofać.

- Będiesz tam zupełnie obcy - zauważył Płaksa. - Częściowo w Bractwie, częściowo poza nim.

TWoja sytuacja będzie niewesoła. Znajdziesz się w prawie takim samym niebezpieczeństwie jak ludzie.

- Wiem, lecz mimo to pojedę.

- A co to za historia z dostarczeniem czegoś Biskupowi z Wieży? - zapytał Hal Giba. - Nic o tym nie mówiłeś.

- Miałem właśnie zamiar poprosić cię, żebyś nas poprowadził. Chcemy podróżować lądem i obawiamy się, że możemy zablądzić. Ty na pewno znasz drogę.

- Nigdy tam nie byłem, ale znam te wzgórza. Zgoda. Będziemy musieli jechać z dala od dróg i szlaków, tym bardziej że ten szpieg Inkwizycji podąża w tym samym kierunku.

Najprawdopodobniej będzie podróżował przez Pogranicze. Jak do tej pory nic nie było o nim słychać.

- Jeżeli już przejeżdżał - powiedział Płaksa - to mi o tym powiedzą.

- No to na kiedy trzeba być gotowym? - spytał Hal.

- Za kilka dni - odparł Gib. - Mark musi się podleczyć, a ja obiecałem Droodowi, że pomogę mu zebrać drewno. Płaksa skrzywił się.

- Nie podoba mi się to wszystko. Będą problemy, czuję to. Ale jeśli bakałarz uparł się jechać, musi mieć miecz. Obiecałem mu. Będzie to żalony dzień, kiedy gnom wycofa się z raz danego słowa.

Wędrowali już pięć dni przy słonecznej jesiennej pogodzie, przy której liście powolutku zmieniają kolor na ciemnozłoty, głęboką czerwień, lśniący brąz, na róż w takim odcieniu, że jego piękno aż zapiera dech w piersi.

Podczas wędrówki Mark Cronwall raz po raz wspominał minione sześć lat i powoli dochodził do wniosku, że stracił coś z życia w tym okresie. Zamknięty w zimnych kamiennych ścianach uniwersytetu, nie wiedział nic o kolorach, zapachu i ciepłe jesiennego lasu, a co gorsza wcale nie odczuwał, że to traci.

Prowadził ich Hal. Przez większą część dnia podążali grzbietami wzgórz, czasem jednak musieli przedostawać się z jednego wzniesienia na drugie lub schodzić niżej, by nie dać się zauważyć ze szczytów wyrębów pracującym drwalom lub wieśniakom zarabiającym na nędzną egzystencję. Wyręby nie były niebezpiecznymi miejscami i można tam nawet spodziewać się przyjaznego przyjęcia, ale już wcześniej zdecydowali robić wszystko, by nikt ich nie dostrzegł. Wieść o wędrowce grupy złożonej z tak różnorodnych i barwnych postaci rozeszła się lotem błyskawicy i z tego powodu należało spodziewać się jedynie kłopotów.

Gdy schodzili w doliny wijące się między wzgórzami, wkraczali jakby w inny świat - tajemniczy, zaciszny i ustronny. Trawy były tu gęstsze i wyższe, ze stromych zboczy sterczały skalne półki, a w korytach szemrzących strumyków leżały olbrzymie otoczaki. Wysoko nad głowami szumiał wiatr szalejący na wierzchołkach wzgórz, ale w dole, poniżej urwistych nawisów, nie czuło się nawet lekkiego powiewu. W ciszy tego nieprzebitego lasu raptowny skok spłoszonej wiewiórki, buszującej w jesiennych liściach, powodował, że wzdrygali się przestraszeni. Podobnie jak niespodziewany łopot skrzydeł, gdy głuszczał przelatywał jak poranny duch pośród płataniny drzew. Hal, przeprowadzając rekonesans, wyszukiwał zawsze na nocleg jaskinie, których wejście na ścianie urwiska było osłonięte przez nawis skalny, co dawało pewne zabezpieczenie.

Pod koniec dnia wędrowki zeszli w jedną z głębokich dolin między wzgórzami, by znaleźć miejsce na obóz. Rozpalone ognisko nie było duże, ale chłodną nocą można się było przy nim ogrzać, rozpraszało poza tym mrok, tworząc niewielką oazę bezpieczeństwa wśród lasów, które z nadejściem nocy stawały się wrogie.

Nie brakowało im nigdy mięsa, gdyż Hal, doskonale poruszający się w gęstwinie i mistrz w strzelaniu z łuku, przynosił upolowane wiewiórki i króliki - drugiego dnia nawet sarnę, a potem cietrzewia. Dzięki temu ubywało im mniej prowiantu; nieśli ze sobą dziki ryż, wędzoną rybę, mąkę kukurydzianą—nie najsmaczniejsze pożywienie, ale trwałe i stosunkowo lekkie, co miało

znaczenie w trakcie wędrówki.

Siedząc w nocy przy ogniu, Cornwall przypomniał sobie rozczarowanie pani Drood, gdy wyperswadowali jej wydanie pożegnalnej kolacji przed wyprawą. Zamierzała zaprosić na nią wielu mieszkańców bagien i wzgórz. Byłoby to z pewnością świetne przyjęcie, ale nadałoby rozgłosu ich wyprawie; wszyscy mający wziąć w niej udział twierdzili zgodnie, że trzeba wyruszyć niepostrzeżenie.

Przez pięć dni utrzymywała się słoneczna pogoda, lecz po południu szóstego dnia zaczął padać deszcz. Z początku był to drobny kapuśniaczek, jednak w miarę wzmaganie się zachodniego wiatru zaczął on przybierać na sile, aż o zmierzchu zmienił się w ulewę. Wiatr przemienił ulewę w grad igieł, siekających prosto w twarz. Przez całe popołudnie Hal poszukiwał miejsca na nocleg, ale nie znalazł żadnego odpowiedniego, które choć w minimalnym stopniu chroniłoby przed niepogodą. Cornwall zamykał cały pochód. Szedł tuż za Szopem, który włókł się przygnębiony, zamiatając ziemię ubłoconym ogonem, oblepiony przemoczoną futrem. Przed szopem maszerowali Gib i Oliwer; bagiennik miał mokre futro, goblin był zmęczony, poruszał się z widocznym trudem, kulejąc. Cornwall uświadomił sobie, że trudy wędrówki najbardziej dały się we znaki Oliwerowi. Droga z Wyalusing do pustego drzewa Hala, a następnie sześć dni marszu wyczerpały goblina zupełnie. Życie mię-

dzy krokwiemi uniwersytetu nie przysposobiło go do takiego wysiłku.

Cornwall przyspieszył kroku; wyprzedził Szopa, wyciągnął w dół rękę i dotknął ramienia Oliwera.

- Wskakuj na barana - rzekł. - Zasłużyłeś na odpoczynek. Goblin spojrzał na niego.

- Nie ma potrzeby.

- Nalegam - powiedział Cornwall.

Przykucnął, a Oliwer wgramolił mu się na plecy. Goblin chwiał się, obejmując ręką szyję człowieka.

- Jestem zmęczony - rzekł.

- Przebyłeś kawał drogi od dnia, w którym mnie odwiedziłeś.

Goblin zaśmiał się piskliwie.

- Zapoczątkowaliśmy długi szereg wydarzeń, którego końca nie widać. Oczywiście wiesz, że wybieram się z tobą do Utracji.

- Spodziewałem się tego - odparł Cornwall. - Rad będę wędrować z tobą.

- Strach powoli opuszcza mnie. Niebo już mnie tak nie przeraża jak na początku. Obawiam się, że mogę nawet polubić otwartą przestrzeń i - prawdę mówiąc - byłaby to jedna z gorszych rzeczy, jakie mogą się przytrafić goblinowi zza krokwi.

- Rzeczywiście - przytaknął Cornwall.

Posuwali się z trudem, rozglądając się za Halem, który gdzieś zniknął. Las pogrążał się w ciemności. „Będziemy tak maszerować przez całą noc? - zastanawiał się Cornwall. - Czy wędrówka tego dnia nigdy się nie skończy?” Ulewa nie słabła. Skośny deszcz, zacinający od północy, smagał po twarzach. Wiatr wydawał się coraz ostrzejszy i coraz zimniejszy.

Z ciemności wyłonił się przed nimi jak duch Hal. Zatrzymali się w grupce, czekając, aż do nich podejdzie.

- Poczulem dym - rzekł Hal - i poszedłem za nim. To mógł być Beckett i jego ludzie przygotowujący nocleg albo piec węglarzy lub domostwo jakiegoś wieśniaka. Jak się czuje dym, trzeba sprawdzić, skąd pochodzi.

- A teraz - powiedział Gib - skoro wywarłeś już na nas odpowiednie wrażenie, powiedz nam, co to było.

- Gospoda.

- Nic nam po niej. Nigdy tam nie wpuszczą bagiennika, mieszkańca wzgórz, goblina i szopa.

- Ale wpuszczą Marka. Jeśli zbyt zmoknie i przemarznie, ramię mu zeszywnieje i nie będzie

końca kłopotom. Cornwall potrząsnął głową.

- Mnie też nie wpuszczą. Zażądamy z góry pieniędzy, a ja nie mam ani grosza. Poza tym nie możemy się rozdzielać. Nie wszedłbym do gospody, gdyby was nie wpuszczono.

- Przecież jest jeszcze stajnia - powiedział Hal. - Jak zrobi się zupełnie ciemno, możemy się tam schronić. Przed świtem wyruszymy w dalszą drogę. Nikt tego nie zauważy.

- Nie znalazłeś odpowiedniego miejsca na nocleg? - zapytał Cornwall. - Żadnej jaskini?

- Niczego - odparł Hal. - Myślę, że musimy schronić się w stajni.

W stajni znajdował się tylko jeden koń. Parsknął cicho, gdy weszli.

- Koń oberżysty - stwierdził Hal. - Skóra i kości!

- Widocznie oberżysta nie ma gości - zauważył Cornwall.

- Żadnego - rzekł Hal. - Zaglądałem przez okno. Karczmarz jest pijany jak bela. Ciska wkoło zydłami i naczyniami. Jest w morderczym nastroju. Nie ma nikogo w gospodzie i musi się wyładować na meblach i garnkach.

- Może dzięki temu będziemy tutaj bezpieczni - odezwał się Gib.

- Mam nadzieję - powiedział Cornwall. - Zobaczmy wyżej. Tam powinno być siano. Możemy się w nie zagrzebać, by nie

zmarznąć. - Sprawdził ręką szczebel drabiny wiodącej na górę. - Wygląda dość solidnie.

Szop już się wspinał po drabinie.

- Wie, dokąd iść - rzekł Hal rozbawiony.

- Idę za nim— poinformował Cornwall.

Wszedł na górę i rozejrzał się. Sąsiek był niewielki, tu i ówdzie leżały kupki siana. Szop właśnie gramolił się na jedną z nich, gdy wtem kupka poruszyła się i rozległ się przeraźliwy wrzask.

Cornwall skoczył do przodu, czując, jak deski sąsieka wyginają się i przesuwiają zdradziecko po nogami. Przed nim okryta sianem postać wymachiwała rękami jak szalona, drąc się wniebogłosy.

Skoczył do niej, chcąc ją chwycić. Zrobiło mu się gorąco, gdy wyobraził sobie oberżystę wypadającego z karczmy i gnającego do stajni; na pewno karczmarz podniósłby har-mider, co postawiłoby na nogi wszystkich w okolicy, o ile oczywiście ktoś w ogóle żył na tym niebywałym odludziu.

Wrzeszcząca postać usiłowała umknąć, ale szybko złapał ją, jedną ręką przyciągnął do siebie, drugą zaś mocno zatkał uciekinierowi usta. Wrzask ustał. Ale zęby zacisnęły się na jego palcu, więc czym prędzej wyszarpnął go. Uderzył mocno postać i nałożył rękę jak kaganiec na jej twarz. Nie mogła ugryźć ponownie.

- Bądź cicho - wyszeptał. - Zabiorę rękę. Nie mam zamiaru zrobić ci krzywdy. Była mała i delikatna.

- Będziesz cicho?

Pokiwała głową na znak, że będzie. Cornwall słyszał, jak inni wdrapują się po drabinie.

- Tu są jeszcze inni. Oni cię też nie skrzywdzą. Nie krzycz. Zabrał rękę.

- Co się dzieje, Mark? - zapytał Oliwer.

- To kobieta. Ukrywała się tutaj. Czy tak, panienko?

- Tak - potwierdziła. - Ukrywałam się.

W sąsięku nie było całkiem ciemno. Zapadający zmierzch wlewał się przez okienka wentylacyjne, umieszczone w szczycie dachu. Kobieta odsunęła się od Cornwalla, ale na widok Oliwera przywarła do niego z powrotem; oddychała szybko, przerażona.

- Nie bój się - rzekł Cornwall. - Oliwer to zaprzyjaźniony goblin. To goblin zza krokwi. Czy wiesz, co to takiego goblin zza krokwi?

Pokręciła głową.

- Tu było jakieś zwierzę - powiedziała.

- To Szop. Jego też nie trzeba się bać.

- Nie skrzywdzi muchy - dodał Hal. - Jest do szpiku kości przyjacielski, czasem aż do przesady.
 - Jesteśmy uciekinierami - oświadczył Cornwall - albo kimś w tym rodzaju. Niegroźnymi zbiegami.
- To jest Hal, a tam stoi Gib. Gib jest bagiennikiem, Hal - mieszkańcem wzgórz.
- Postąpiła krok do przodu; trzęsła się jeszcze ze strachu.
- A ty - spytała - kim ty jesteś?
 - Możesz mówić mi Mark. Jestem żakiem.
 - Bakałarzem - poprawił go Oliwer tonem zniecierpliwionej dokładności. - Nie żakiem, a bakałarzem. Po sześciu latach studiów w Wyalusing.
 - Szukamy schronienia przed burzą - rzekł Cornwall. - Poszlibyśmy do oberży, ale tam by nas nie wpuszczono. Ponadto nie mamy pieniędzy.
 - On jest pijany - powiedziała dziewczyna - i rozwała meble. Pani chowa się w piwnicy, a ja uciekłam tutaj. Boję się go. Zawsze się go bałam.
 - Pracujesz w tej karczmie?
 - Tak - potwierdziła z goryczą. - Jestem służącą, pomywa-czką i sprzątaczką. - Usiadła na sianie. - Nie obchodzi mnie, co się stanie. Nie wracam tam. Nie zostanę w gospodzie ani chwili dłużej. On jest zawsze pijany, a ona łatwo chwyta za różgę. Nie mam zamiaru dłużej tego znosić.
 - Możesz zabrać się z nami - zaproponował Oliwer. - Nie sprawi nam różnicy, jeśli przybędzie jeszcze jedna osoba. Dzielna, choć uboga kompania zawsze chętnie przyjmie nowego kompana.
 - Wybieramy się daleko — przestrzegał Hal - a droga jest męcząca.
 - Nie bardziej niż praca w karczmie - odparła dziewczyna.
 - Nikogo nie ma w gospodzie? - zapytał Cornwall.
 - Nie, i jest mało prawdopodobne, żeby ktokolwiek się zjawił. Nie tej nocy. W ogóle mało kiedy jest tam tłoczno. Czasem wpadają na szklanekę wina węglarze i drwale, a i to niezbyt często, bo rzadko śmierdzą groszem.

- Widzę - rzekł Gib - że możemy spać tu do rana bez obaw. Szop, który przejrzał już wszystkie zakamarki sásieka, wrócił i usiadł, owijając nogi ogonem.

- Jeden z nas będzie musiał czuwać przez parę godzin - powiedział Cornwall. - Potem zmieni go ktoś inny. Postawimy wartę przez całą noc. Ja będę czuwać pierwszy, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu.

Gib zwrócił się do dziewczki służebnej:

- Czy powędrujesz z nami?

- Nie wydaje mi się, aby to było zbyt mądre - zaproponował Cornwall.

- Mądre czy nie, wyruszam stąd, jak tylko zrobi się widno - powiedziała dziewczyna. - Z wami albo osobno. Nie robi mi to żadnej różnicy. Na pewno tu nie zostanę.

- Myślę, że jednak będzie lepiej - rzekł Hal - jeśli powędruje z nami. Te lasy to nie miejsce dla samotnej dziewczyny.

- Jeżeli mamy razem podróżować - stwierdził roztropnie Oliwer - to powinniśmy znać twoje imię.

- Mam na imię Mary - przedstawiła się dziewczyna.

- Czy ktoś chce coś zjeść? - zapytał Gib. - Mam w plecaku trochę zimnych placków

kukurydzianych i torebkę orzechów włoskich w łupinach. Nie jest tego zbyt dużo, ale zawsze coś.

Hal psyknął.

- Co jest?

- Wydaje mi się, że coś słyszałem.

Wszyscy zaczęli nasłuchiwać, ale dochodziło do nich tylko przytłumione bębnienie deszczu i szum wiatru pod okapem.

- Nic nie słyszę - stwierdził Cornwall.

- O, teraz znowu słyszałem.

Ponownie wszyscy nastawili uszu. Wtem usłyszeli stukot.

- To koń - powiedział Hal. - Podkuty koń. Podkowy uderzają o bruk.

Dźwięk powtórzył się, towarzyszyły mu tym razem głosy. Potem skrzypnęły drzwi od stajni i wprowadzono stukającego kopytami konia. Dały się słyszeć niewyraźne ludzkie głosy.

- To jakieś obrzydliwe miejsce - rzekł jeden głos.

- Lepiej tu, niż na zewnątrz - powiedział drugi. - Co za noc.

- Karczmarz jest pijany - stwierdził pierwszy.

- Sami sobie znajdziemy jedzenie i łóżka - odparł drugi.

Wprowadzono do stajni następne konie. Zaskrzypiała skóra zdejmowanych siodeł. Konie przebierały nogami. Jeden z nich zarżał.

- Znajdź widły i wleź na górę — ktoś powiedział. - Zrzucisz na dół trochę siana.

Cornwall rozejrzał się szybko. Nie było gdzie się schować. Oczywiście, mogli przykryć się sianem, ale nie w sytuacji, gdy ktoś po ciemku będzie usiłował nabrać je widłami.

- Wszyscy razem - szepnął. - Wszyscy razem w tym samym momencie będziemy musieli zaatakować. Jak tylko pokaże się na górze. - Zwrócił się do dziewczyny: - Zrozumiałaś? Z całych sił, a potem uciekaj.

Słyszał było, jak osoba wspina się po drabinie. Cornwall chwycił za rękojeść miecza. Nagle mignęło mu coś, co przypominało lecącą wiązkę siana; kątem oka zobaczył Szopa, skaczącego z wyciągniętymi łapami wprost na postać, która ukazała się u wejścia na sások. Szop wylądował człowiekowi na głowie. Rozległ się przytłumiony krzyk. Cornwall doskoczył do drabiny i zaczął zsuwać się po niej. W połowie drogi zauważył, że widły stoją wbite w ziemię zębami do góry i skrzyknął gwałtownie w bok, by na nich nie wylądować. U stóp drabiny trwała zacięta walka.

Człowiek, który spadł, usiłował zrzucić Szopa, ten zaś robił na jego głowie i twarzy użytek z pazurów. Efekt był niesamowity. Zanim Cornwall dotknął stopami ziemi, chwycił lewą ręką widły.

Nagle rzuciły się na niego z rykiem trzy cienie. Błysnął metal wyciągniętego przez jednego z nich

miecza. Cornwall zrobił półobrót i cisnął widłami. Z mieczem w drugiej ręce ruszył na przeciwników. Miał na plecach tarczę, nie było jednak czasu, by po nią sięgnąć. Przemknęło mu przez głowę, że nawet dobrze się stało: gdyby trzymał ją w ręku, nie mógłby chwycić wideł, na które prawdopodobnie nadziałby się któryś z jego towarzyszy, spuszczających się w pośpiechu po drabinie.

Jedna z trzech postaci upadła z okrzykiem zdumienia i bólu, usiłując wyrwać widły wbite w pierś. Cornwall zauważył błysk metalu niebezpiecznie blisko swojej głowy i dał instynktownie nurka, machnąwszy mieczem. Poczuł, że ostrze zagłębiło się w ciało któregoś z przeciwników i w tym samym momencie otrzymał straszliwe uderzenie w ramię, od którego aż się zatoczył. Wyrwał miecz, zrobił parę kroków na chwiejnych nogach, po czym osunął się na koński zad. Zaskoczone zwierzę wierzgnęło i trafiło go prosto w brzuch. Zgiął się pół i upadł; po chwili odczołgał się na czworakach, ciągle nie mogąc złapać tchu - końskie kopnięcie wypompowało z niego całe powietrze.

Ktoś złapał go pod pachy, poderwał i posadził na ziemi. Ze zdumieniem Cornwall zobaczył, że miecz nie wypadł mu z ręki; ciągle ścisnął go kurczowo.

- Zwiewamy stąd - usłyszał nad sobą. — Zaraz się tu wszyscy zlecą!

Wciąż zgięty, zmusił się do wstania i ruszył zakosami do drzwi. Potknął się o leżącego na ziemi człowieka, odzyskał równowagę i podążył do przodu. Poczuł na twarzy krople deszczu i wiedział już, że jest na zewnątrz. Na tle oświetlonych okien karczmy widać było sylwetki mężczyzn, biegnących w jego kierunku, a obok, nieco z prawej, klęczącego łucznika, który ze stoickim spokojem wypuszczał strzałę za strzałą. W ciemnościach rozlegały się wrzaski i przekleństwa, coraz to któryś z biegnących potykał się i usiłował wyrwać wystającą z ciała strzałę.

- Dawaj dalej - usłyszał Cornwall głos Giba. - Jesteśmy tu wszyscy. Ha! ich powstrzyma.

Gib złapał go za rękę, obrócił i popchnął we właściwym kierunku. Mark uświadomił sobie, że

biegnie. Wyprostował się i zauważył, że oddycha mu się coraz łatwiej. Ból w okolicy przepony przypominał o spotkaniu z końskim kopytem.

- Jesteśmy wystarczająco daleko! - zawołał Gib. - Stańcie! Zbierzmy się wszyscy. Nie możemy się rozdzielać. Jesteś tu, Mary?

- Jestem - potwierdziła wystraszonym głosem dziewczyna.

- Oliwer!

- Tutaj.

- Szop! Szop, do diabła, gdzie jesteś?! Jakiś głos odpowiedział mu:

- Nie martw się o starego Szopa. Odnajdzie nas.

- To ty, Hal?

- Tak, to ja. Nie będą próbowali nas gonić. Mają dość jak na jedną noc.

Cornwall usiadł. Po chwili poczuł, że spodnie nasiąkają mu wodą. Usiłował wsunąć miecz do pochwy.

- Chłopcy, zachowaliście się wspaniale - pogratulował Hal. - Mark trafił jednego widłami, a drugiego mieczem. Trzeciego Gib załatwił siekierą. Nie miałem nic do roboty, póki nie wydostaliśmy się stamtąd.

- Ty też radziłeś sobie znakomicie - powiedział Gib.

- Nie zapominajcie o Szopie - przypomniał Mark. - Poprowadził do ataku i od razu wyeliminował jednego z walki.

- Czy możecie mi wyjaśnić - poprosił płaczliwym głosem Gib - jak to się wszystko stało? Nie jestem istotą stworzoną do walki...

- Nikt z nas nie jest - odparł Cornwall. - Nigdy w życiu nie brałem udziału w walce. W paru pijackich burdach na uniwersytecie, owszem, ale nigdy w prawdziwej walce. W niczym, co by się liczyło.

- Wyośmy się stąd - rzekł Hal. - Musimy się szybko stąd oddalić. Nie znajdziemy tu miejsca do zatrzymania się. Złapcie

się za ręce i nie puszczajcie. Poprowadzę, ale nie będziemy się śpieszyć. Nie możemy iść zbyt szybko, bo moglibyśmy poprzewracać się lub wpaść na drzewo. Jeśli ktoś puści rękę lub upadnie, niech zaraz krzyczy, a wtedy wszyscy się zatrzymamy.

Hal przycupnął w kępie brzóz i przyglądał się widokowi ukazującemu się w pierwszych promieniach słońca. Karczma i stajnia zniknęły. Tam, gdzie kiedyś stały, dogasały zgliszczca. W powietrze unosił się gryzący dym, rozdzielający się na cienkie smugi.

Przestało padać i niebo przetarło się, ale krople wciąż kapały z gałęzi brzóz. „Dziś znowu będzie wspaniały jesienny dzień -pomyślał Hal. -Trochę jeszcze zimno.” Skrzyżował ręce i schował dłonie pod pachy, aby je trochę ogrzać.

Stojąc bez ruchu, przyglądał się scenerii przed sobą z uszami nastawionymi na wyłowienie najlżejszego szmeru, mogącego ostrzec o niebezpieczeństwie. Wszystko jednak wskazywało na to, że zagrożenie minęło. Ludzie, którzy je spowodowali, zniknęli.

W oddali krzyknęła sójka, na wzgórzu szurała opadłymi liśćmi wiewiórka, która zapewne nie mogła spać. Poza tym nic nie zakłócało ciszy.

Hal omiatał spojrzeniem ziemię, cal po calu, szukając jakichś śladów. Niczego nie znalazł.

Poruszając się ostrożnie, opuścił brzozy i skierował się na wzgórze. Zatrzymał się za wielkim dębem i ostrożnie wyjrzał zza niego. Ponieważ był teraz wyżej, widział dalszą część zbocza, przedtem niewidoczną. Oczom jego ukazał się niezwykle widok. Wielki szary wilk kopał zawzięcie, podczas gdy dwa inne siedziały obok, obserwując go. Wilk kopał w czymś, co wyglądało na skrawek świeżo wzruszonej ziemi; oprócz tego skrawka było kilka innych.

Hal instynktownie podniósł łuk i sięgnął po strzałę. Po chwili opuścił rękę; usadowił się wygodnie na ziemi i zaczął obserwo-

wać wilki. „Po co mam zabijać?” - pomyślał. Wilki szły za głosem natury. Pod wzruszoną ziemią było mięso, więc kopały, by się do niego dostać.

Policzył groby. Było ich co najmniej pięć, może sześć - nie miał pewności. Trzech w stajni, a może zginęło czterech? Bez względu na to, ilu zginęło, zabił co najmniej jednego, ale też równie dobrze trzech. Skrzywił się na myśl o tym. To nie była równa walka. Zwycięstwo to sprawa zaskoczenia i szczęścia. Zastanawiał się, czy w ogóle wywiązałyby się jakaś walka, gdyby nie zaatakowali. Ale już było po wszystkim i co się stało, nie mogło się odstać. Kości zostały rzucone w momencie, gdy Szop skoczył na głowę wspinającemu się po drabinie człowiekowi. Biorąc pod uwagę okoliczności, wyszli z tego i tak obronną ręką; jedynie Mark odniósł niegroźne obrażenia: bolało go ramię od uderzenia płazem miecza i brzuch od końskiego kopniaka.

Siedział przy drzewie i obserwował wilki. Ze względu na ich obecność nikogo zapewne w pobliżu nie było. Wstał i okrążył drzewo, szeleszcząc liśćmi. Wilki podniosły się i nastawiły uszy.

Zaszeleścił jeszcze raz i wilki, jak trzy szare cienie, zniknęły w lesie.

Zszedł ze wzgórza i okrążył zgliszcza. Promieniujące z nich ciepło powitał z zadowoleniem - i stał tam przez chwilę ogrzewając się.

Na błotnistej ziemi znalazł ślady ludzi i koni. Począł zastanawiać się nad losem karczmarza i jego żony. Służąca powiedziała, że gospodyni ukryła się przed pijanym panem i władcą w piwnicy. Czy to możliwe, żeby wciąż tam była, gdy podpalono zajazd? Jeśli tak, to jej prochy muszą być w pogorzeliisku, gdyż całość spłonęła jak wiązka słomy i nie było żadnych szans, aby się wydostać.

Szedł po śladach w dół, aż do miejsca, w którym cała kompania weszła na szlak. Zobaczył, że udali się w kierunku pół-nocno-wschodnim. Wrócił na szczyt wzgórza, spojrział na świeżo usypane groby i jeszcze raz okrążył zgliszcza. Cały czas zastanawiał się, co za ludzie mogli zrobić taką straszną rzecz. Obawiał się, że chyba wie.

Stał przez chwilę, dręczony niepokojem. Potem zszedł ze wzgórza i ruszył na północny wschód,

wzdłuż szlaku, którym odjechała grupa mężczyzn. Trzymał się od niego w pewnej odległości; natężył słuch i badał każdy kolejny odcinek szlaku, zanim posunął się do przodu.

Parę mil dalej napotkał karczmarza - człowieka, którego widział przez okno gospody ostatniej nocy. Karczmarz tłukł wtedy zastawę i rozwalał stołki. Teraz wisiał na końcu krótkiej liny, przywiązanej do konara olbrzymiego dębu, rozpostartego ponad szlakiem. Ręce miał związane z tyłu, a głowę wykręconą pod dziwnym kątem. Kręcił się w jedną i drugą stronę przy każdym podmuchu wiatru. Na ramieniu siedziała mu sikorka; mała, niewinna, szarobiała kruszyna, zbierająca dzióbkiem krew i pianę, wypływające z ust wisielca.

Hal wiedział, że później przylecą inne ptaki. Stał tak w błocie, patrząc na obracającego się na wietrze człowieka, i czuł, że ogarnia go uczucie strachu.

Zostawiwszy dąb i powieszzonego karczmarza, kontynuował podążanie za grupą ludzi. Ze śladów na szlaku wywnioskował, że konna kompania nieco przyspieszyła. Kopyta popędzonych zwierząt wgłębiły się mocniej w ziemię, zostawiając wyraźne odciski podków. Widocznie przeszli w galop. Zszedł z drogi i powrócił na wzgórze, obserwując ukształtowanie terenu i notując w pamięci jego charakterystyczne punkty. Po długiej wędrówce przez mokry las i ciemność, parę godzin przed świtem, dotarł, prześlizgując się między drzewami i zaroślami, do małego schronienia wśród skał, które on i jego przyjaciele znaleźli w nocy.

Oliwer i Szop spali daleko od nawisu, w odległym zakamarku jaskini, zwinięci w kłębek, blisko siebie, by było cieplej. Troje pozostałych siedziało razem tuż przy wejściu, owinąwszy się w koce dla ochrony przed zimnem. Dostrzegli Hala dopiero wtedy, gdy niemal na nich wpadł.

- A więc jesteś wreszcie - rzekł Gib. - Zastanawialiśmy się, gdzie cię poniosło. Czy możemy rozpalić ognisko?

Hal potrząsnął przecząco głową.

- Zbieramy się stąd. Musimy odejść stąd szybko i daleko.

- Nagromadziłem tyle suchego drewna na opał z wnętrza wywróconych drzew - zaoponował Gib. -

Nie będzie dużego dymu. Jest nam zimno i jesteśmy głodni!

- Stanowczo nie! — odrzekł Hal. - Cała okolica będzie zaalarmowana. Oberża i stajnia spalone. Nie ma śladu po karcz-marce, która ukrywała się w piwnicy, natomiast jej mąż został powieszony na drzewie. Ktoś wkrótce odkryje, co się stało, i do tego czasu musimy być jak najdalej stąd.

- Obudzę goblina i Szopa - powiedział Gib - i za chwilę wyruszamy.

To był wyczerpujący dzień. Nie zatrzymywali się, parli do przodu co sił w nogach. Po drodze tylko raz napotkali zabudowania, domostwo drwala, które musieli ominąć. Nie zatrzymywali się ani na odpoczynek, ani na posiłek.

Cornwall martwił się o dziewczynę, ale dotrzymywała im kroku, nie wkładając w to widocznego wysiłku i nie skarżąc się.

- Możesz żałować, że przyłączyłaś się do nas - zagadnął.

Zaprzeczyła ruchem głowy, nic nie mówiąc. Oszczędzała siły, bo ciągle wchodzili na wzgórza i schodzili z nich, a w dodatku pędzili co tchu na odsłoniętych przestrzeniach.

W końcu dotarli do miejsca odpoczynku. Zapadał wczesny zmrok. Nie była to tym razem kryjówka w skale, lecz suche koryto rzeki, w którym wiosenny, wezbrany potok wyrzeźbił mi-skowate zagłębienie, zabezpieczone z trzech stron przez wysoki brzeg. Woda płynęła z góry leniwym strumykiem. Przez stulecia spadając z dużej wysokości, wypłukała całą ziemię i bardziej miękkie pokłady skały wapiennej aż do miejsca, gdzie zaczynała się warstwa odpornego na jej działanie piaskowca. W środku niszy stała mała kałuża, ale dokoła powierzchnia była sucha.

Zdecydowali rozpalić ognisko przy najwyższej ścianie, nad którą na parę stóp wystawał nawis wapienny. Prawie się nie odzywali do siebie, dopóki, wygłodniali, nie pochłonęli łapczywie pożywienia. Przez jakiś czas siedzieli wokół ogniska w milczeniu, aż Cornwall spytał Hala:

- Więc mówisz, że jesteś prawie pewien, że ta banda to byli ludzie Becketta?

- Oczywiście nie dam za to głowy, ale któż inny mógłby to być? Konie były podkute, a takich nie mają w karawanach kupieckich, ponadto kupcy używają głównie mułów. Ci nie mieli w ogóle mułów, tylko dobre konie. I któż, pytam ja ciebie, zemściłby się w tak straszliwy i bezsensowny sposób na niewinnych ludziach?

- Mogli nie wiedzieć, że oni są niewinni.

- Oczywiście. Ale chodzi o to, że z góry założyli ich winę. Prawdopodobnie torturowali oberżystę, a gdy im nic nie powiedział, powiesili go. Jest więcej niż pewne, że kiedy podpalili obejście, karczmarka znajdowała się w piwnicy i zginęła. -Hal spojrział na Mary przez płomienie. - Przykro mi, panienko -powiedział.

Podniosła rękę i przeczesła palcami włosy.

- Nie musi ci być przykro. Żałuję ich jak każdej ludzkiej istoty. Nie powinni byli umrzeć w ten sposób. I to mnie smuci. Ale tych dwoje nic dla mnie nie znaczyło. Gdyby to nie było niemiłosierne, powiedziałabym, że zasłużyli na to, co się z nimi stało. Od czasu kiedy zamieszkałam w karczmie, nie było chwili, żebym się go nie bała. A ona też nie była lepsza. Przy każdej okazji, zwłaszcza kiedy miała zły humor, podnosiła na mnie kij. Mogę wam pokazać, ile mam sińców we wszystkich odcieniach.

- To dlaczego tam pozostawałaś? - zdziwił się Gib.

- Bo nie miałam dokąd pójść. Ale w końcu zdecydowałam się odejść i wtedy wy znaleźliście mnie w sąsięku. Do świtu bym stamtąd uciekła. To czysty przypadek, że was spotkałam i mogłam się z wami zabrać.

- Powiedziałaś, że Beckett pojechał na północny wschód -

zagadnął Hala Cornwall. - A co będzie, jeśli on dotrze przed nami do Biskupa z Wieży? Nawet jeśli będzie u niego przejazdem, zdąży ostrzec go przed nami i nie zostaniemy mile przyjęci, o ile nie zakują nas od razu w kajdany.

- Myślę, że takie niebezpieczeństwo nam nie grozi, Marku - odparł Hal. - Parę mil na północ od miejsca, gdzie powiesili oberżystę, szlak rozwidła się. Lewa odnoga prowadzi do Wieży, prawa do Utracji. Jestem przekonany, że Beckett pojechał prawą. Powinienem był to dokładnie sprawdzić, ale wydawało mi się, że najważniejsze, abyśmy jak najszybciej wyruszyli w drogę.

- Do Utracji? — zapytała Mary. - On zdąża do Utracji? Hal potaknął. Rozejrzała się wokół po siedzących.

- I wy także wybieracie się do Utracji?

- Dlaczego pytasz? - zapytał Oliwer.

- Bo ja, jako dziecko, prawdopodobnie przybyłam z Utracji.

- Ty?

- Nie jestem pewna. Nie pamiętam. Byłam taka malutka, że nie pamiętam nic lub prawie nic. Mam tylko mgliste wspomnienia. Wielki, stojący na wzgórzu dom. Ludzie, którzy pewnie byli moimi rodzicami. Dziwni towarzysze dziecięcych zabaw. Ale czy to było w Utracji, nie wiem. Moi rodzice, to znaczy ci, którzy mnie przygarnęli i wychowali, opowiadali mi, że znaleźli mnie na drodze prowadzącej z Utracji. Mieszkali w jej pobliżu, dwoje wspaniałych starszych ludzi, bardzo biednych, bo nie mieli nigdy dziecka, które mogliby nazwać swoim własnym. Przygarnęli mnie i wychowali, a ja ich kochałam, jakby byli moimi prawdziwymi rodzicami.

Wszyscy siedzieli w milczeniu i wpatrywali się w Mary. Po chwili ciągnęła dalej opowieść:

- Tak ciężko pracowali, a mieli z tego tak niewiele. Wokół nie było wielu sąsiadów, a ci, co byli, mieszkali dość daleko. Ludzie nie czuli się dobrze w tak bliskim sąsiedztwie Utracji. Ale nam to nie przeszkadzało. Nic nigdy nam nie przeszkadzało. Uprawialiśmy trochę kukurydzy i pszenicy. Sadziliśmy kartofle i mieliśmy ogródek. Zawsze można było narąbać drew.

Mieliśmy krowę, ale zdechła pewnej zimy w czasie zarazy i nie było jak zdobyć nowej. Mieliśmy świnię. Mój ojciec - zawsze zwałam go ojcem, choć nim nie był - czasem upolował niedźwiedzia

lub sarnę i łapał w sidła inne zwierzęta dla ich skór. Wymieniał je potem na prosiaczki - takie słodkie małe świnki. Trzymaliśmy je w domu w obawie przed wilkami, dopóki nie podrosły.

Pamiętam, jak ojciec wrócił do domu z dwoma prosiaczkami pod pachami. Niósł je kawał drogi.

- Ale nie zostałeś z tymi ludźmi - zauważył Cornwall. - Byłaś szczęśliwa, a mimo to stamtąd odeszłaś.

- Ostatnia zima była bardzo sroga. Głęboki śnieg i ostry mróz. Oni byli starzy. Starzy i słabi.

Przeziębili się ciężko i zmarli. Robiłam, co mogłam. Ona zmarła pierwsza, on na drugi dzień.

Rozpaliłam ognisko, aby rozmrozić ziemię i wykopałam dla nich grób. Pochowałam ich razem.

Niezbyt głęboko, bo ziemia była twarda jak kamień. Po tym wszystkim nie mogłam tam pozostać.

Rozumiecie chyba, że musiałam opuścić tamto miejsce.

Cornwall przytaknął.

- A więc poszłaś do oberży.

- Tak. Byli zadowoleni, że jestem u nich, chociaż nie można tego było wywnioskować ze sposobu, w jaki mnie traktowali. Byłam młoda, silna i chętna do pracy. A i tak mnie bili.

- Będziesz miała okazję odpocząć, gdy znajdziemy się w Wieży - powiedział Cornwall. -

Zdecydujesz, co chcesz robić. Czy ktoś z was wie coś o Wieży? Co to w ogóle za miejsce?

- Właściwie trudno powiedzieć - rzekł Hal. - Strażnica na granicy z Utracją, dziś opuszczona.

Niegdyś posterunek wojskowy, lecz nie ma tam już wojska. Jest tylko biskup, ale po co on tam i co robi, tego chyba nikt nie wie. Parę osób służby. Jedna lub dwie zagrody i to wszystko.

- Ale mi nie odpowiedzieliście - powiedziała Mary. - Czy zamierzacie wędrować do Utracji?

- Niektórzy z nas - odparł Cornwall. - Ja na pewno. Oliwer też. Nie mogę mu zabronić. Gdybym mógł, zrobiłbym to.

- Jestem w to zamieszany od samego początku. I będę przy zakończeniu całej sprawy - oświadczył Oliwer.

- Jak daleko jest do Wieży? Ile czasu zajmie nam dotarcie do niej?

- Trzy dni - odpowiedział Hal. — Powinniśmy tam dotrzeć w ciągu trzech dni.

Biskup z Wieży był starym człowiekiem. „Nie tak wiekowym jak pustelnik - pomyślał Gib - ale jednak starym.” Szaty, które nosił, były niegdyś wspaniałe, z najlepszego jedwabiu, przetykane złotem, lecz zbladły i zniszczyły się przez wiele lat używania. Kiedy się jednak patrzyło na Biskupa, zapominało się o znoszonych, zjedzonych przez mole strojach. Los wydawał się bezwzględny: oto wojowniczy biskup, który zestarzał się w Kościele w czasie pokoju. Biskup wzbudzał współczucie, lecz równocześnie biła od niego siła. Jego szczupła twarz przypominała czaszkę szkieletu, gdyby jednak wypełnić policzki i pogrubić spiczasty nos, można by odnaleźć twarde rysy człowieka walki. Głowę miał pokrytą cienkimi białymi włosami, rozszianymi rzadko i falującymi w ostrych podmuchach wiatru, przedostającego się przez szczeliny i szpary nadgryzionej zębem czasu Wieży.

Płonący na kominku ogień nie był w stanie ogrzać całego pomieszczenia. Było ono skąpo umeblowane: stół ze zwykłych desek, za którym siedział biskup na rozklekotanym fotelu, kiepskie łóżko w rogu, prosty stół z ławami po obu stronach. Na kamiennej posadzce nie było dywanów. Na zaimprovizowanej półce stało parę tuzinów ksiąg, a pod nią kłębił się stos pergaminów, w większości nieprzyjaźnie potraktowanych przez myszy.

Biskup wziął ze stołu oprawioną w skórę księgę i otworzył ją. Przerzucił wolno parę stronic, po czym zamknął księgę i odłożył na bok. Zwrócił się do Giba:

- Bracie w Chrystusie, więc powiadasz, że oszedł w pokoju?

- Wiedział, że umiera. Nie czuł strachu. Był słaby, ale przecież był bardzo stary...

- Tak, rzeczywiście stary. Pamiętam go z czasów mojego dzieciństwa. Już wtedy był dorosły, miał około trzydziestu lat... chociaż nie jestem pewien. Zawsze kroczył śladami Pana. Ja w jego wieku byłem człowiekiem walki, kapitanem garnizonu stacjonującego tutaj i strzegącego granicy przed

hordami Utra-cji. Dopiero po wielu latach pokoju, gdy garnizon został wycofany, przeszedłem na służbę bożą. Więc powiadasz, że mój stary druh żył, otoczony miłością ludzi?

- Nie znałem nikogo, kto by go nie kochał. Był przyjacielem wszystkich Mieszkańców Bagnisk i Wzgórz, gnomów...

- I nikt z was nie wyznawał jego wiary - westchnął biskup.-Wy nie wyznajecie w ogóle żadnej wiary.

- To prawda, wasza wielebność. Większość z nas nie wierzy. O ile, oczywiście, dobrze rozumiem, co ksiądz ma na myśli, mówiąc o wierze.

Biskup pokiwał w zadumie głową.

- To takie podobne do niego. To cały on. Nigdy nie pytał nikogo o wiarę. Może błdził w ten sposób, lecz jeśli tak, to błdził przepięknie. Jestem pod wrażeniem. Tak wielu was przyszło, by przynieść mi, co dla mnie przekazał. Rad jestem, że was goszczę. Goście w tak odludnym miejscu zawsze są przyjmowani z radością. Tutaj nie mamy praktycznie styczności ze światem.

- Wasza wielebność - zaczął Cornwall - tylko Gib z Bagni-ska przybył tu, aby przekazać ci rzeczy od pustelnika. Hal z Pustego Drzewa zgodził się być naszym przewodnikiem.

- A dama? - spytał biskup. Cornwall odpowiedział sztywno:

- Jest pod naszą opieką.

- A ty przezornie, jak mi się wydaje, nie mówisz słowa o sobie.

- Ja i goblin jesteśmy tu przejazdem, w drodze do Utracji.

A jeżeli dziwi cię obecność Szopa, to wyjaśniam, że jest on przyjacielem Hala.

- Nie dziwię się niczemu, a szczególnie obecności szopa -rzekł z rozdrażnieniem biskup — i nie mam nic przeciw niemu. Wygląda na śliczne stworzenie. Wszyscy mamy ukochane zwierzątka.

- To nie jest ukochane zwierzątko, wasza wielebność — zaprzeczył Hal. — To przyjaciel.

Biskup zdecydował zignorować tę uwagę i zwrócił się do Cornwalla:

- Do Utracji, powiadasz? Niewielu ludzi dziś podróżuje do Utracji. Wierz mi, nie jest to szczególnie bezpieczne. Musisz mieć ważny powód.

- On jest bakałarzem - wyjaśnił Oliwer. - Poszukuje prawdy. Jedzie tam, by jej dociekać.

- To dobrze. Nie gonisz za skarbami tego świata. Poszukiwanie wiedzy uszlachetnia duszę, chociaż obawiam się, że nie ochroni cię przed wieloma niebezpieczeństwami.

- Wasza wielbność zaglądał do tej książki... - rzekł Corn-wall.

- Tak. To cenna księga. Dorobek całego życia. Setki przepisów na lekarstwa, które mogą wyleczyć choroby rodzaju ludzkiego. Wiele z tych leków znanych było bez wątpienia tylko pustelnikowi.

Ale teraz, gdy mi ją przynieśliście, będą z czasem znane wszystkim.

- Jest jeszcze jeden przedmiot - przypomniał Mark - który przesłał pustelnik.

- Tak, tak - rzekł biskup. - Zupełnie zapomniałem. Ostatnio coraz częściej zapominam. Wiek

niszczy ludzką pamięć. - Podniósł topór owinięty w tkaninę. Ostrożnie odwinął go, spojrzął i osłupiał. W milczeniu obracał topór w dłoniach. W końcu położył go delikatnie przed sobą. Uniósł głowę i popatrzył po kolei na przybyszów; zatrzymał spojrzenie na Gibie. - Czy wiesz, co mi przyniosłeś? Czy pustelnik ci powiedział?

- Powiedział, że to kamienny topór.

- Czy wiesz, co to za kamienny topór?

- Nie, wasza miłość, nie wiem.

- A ty? - zwrócił się biskup do Cornwalla.

- Tak, wasza wielbność. To dawne narzędzie. Są tacy, co mówią, że...

- Tak, tak. Wiem. Zawsze są tacy, co mówią. I zawsze są tacy, co wątpią. Zastanawiam się,

dłaczego pustelnik go trzymał, dlaczego przechowywał tak pieczołowicie i przekazał dopiero w chwili śmierci. To nie jest rzecz, do której świątobliwy człowiek przywiązywałby tak dużą wagę.

Należy do Prastarych.

- Do Prastarych - powtórzył jak echo Cornwall.

- Tak. Do Prastarych. Nigdy o nich nie słyszałeś?

- Ależ słyszałem! To ci, których szukam. Oni są powodem, dla którego wyruszyłem do Utracji.

Czy możesz mi powiedzieć, wasza wielebność, czy oni istnieją naprawdę, czy są tylko mitem?

- Istnieją. I myślę, że ten topór powinien zostać im zwrócony. Ktoś kiedyś musiał go skraść...

- Mogę go wziąć - zaproponował Cornwall. - Zobowiązuję się dopilnować, żeby został im zwrócony.

- Nie - rzekł Gib - pustelnik powierzył go mnie. Jeśli ma być zwrócony właścicielom, to tylko przeze mnie...

- Ale nie ma potrzeby, żebyś tam jechał - przerwał mu Cornwall.

- Teraz już jest. Czy pozwolisz mi podróżować z wami?

- Jeżeli Gib jedzie, to ja też - odezwał się Hal. - Przyjaźnimy się zbyt długo i nie pozwolę mu narażać się na niebezpieczeństwo.

- Wygląda mi na to - powiedział biskup - że wszyscy jesteście gotowi pomaszerować dzielnie na spotkanie śmierci. Z wyjątkiem damy.

- Ja też idę z nimi - rzekła Mary.

- Ja również - doszedł głos od strony drzwi. Gib odwrócił się z cichym okrzykiem:

- Płaksa! Co ty tutaj robisz?!

Biskup, kiedy nikogo nie gościł, jadał skromnie - miseczka kukurydzianej papki, kawałek boczku. Pożywiając się w ten sposób, miał wrażenie, że karmi swoją duszę, a zarazem daje przykład małemu stadku swoich owieczek. Był jednak z natury smakoszem, rad przyjmował gości, którzy dawali mu okazję najeść się do syta i podtrzymać dobre imię Kościoła, jeśli chodzi o gościnność.

Tak więc było prosię, rozpierające się na półmisku z jabłkiem w ryjku, sarni udziec, szynka,

comber barani, para gęsi i pasztet z pawia. Były słodkie ciasteczka i paszteciki, ciepłe chlebki, wielka patera z owocami i orzechami, placek ze śliwkami pokropiony brandy i cztery rodzaje win.

Biskup odsunął krzesło od biesiadnego stołu i wytarł usta serwetką z ręcznie haftowanego lnu.

- Czy jesteście pewni - zapytał gości — że na nic więcej nie macie już ochoty? Jestem przekonany, że nasi kucharze...

- Wasza wielbność - odparł Płaksa - ugościłeś nas isticie po królewsku. Nikt z nas nie nawykł do takiego pysznego jedzenia i to tak obfitego. Nigdy w całym moim życiu nie brałem udziału w tak wspaniałej uczcie.

- Och, tak rzadko mamy gości - powiedział biskup. - Przyzwoitość nakazuje przyjmować ich jak najlepiej, oczywiście na tyle, na ile pozwalają nasze skromne warunki. - Poprawił się na krześle i poklepał po brzuchu. - Pewnego dnia ten mój wielki i niestosowny apetyt wykończy mnie. Nigdy nie byłem w stanie wczuć się do końca w rolę sługi Kościoła, chociaż robię, co w mej mocy.

Umartwiam ciało, kształtuję ducha, a głód aż wyje we mnie. Nie widzę, by wiek go przytłumił.

Chociaż patrzę z dezaprobatą na szaleństwo, które zamierzacie popełnić, w głębi duszy muszę przyznać, że chętnie powędrowałbym z wami. Może to wpływ tego miejsca, prastarej siedziby wojowników i odważnych czynów. Teraz wygląda ono niewinnie, ale przez wieki było forpocztą cesarstwa w walkach z Utraka-

mi. Dziś wieża zaczyna się rozsypywać, ale kiedyś była olbrzymią strażnicą, otoczoną murem obronnym, biegnącym aż do samej rzeki. Teraz mur prawie zniknął, bo wieśniacy rozszabrowali kamienie do budowy swoich prozaicznych ogrodzeń, kurników i stajen. Kiedyś wieża i mury były obsadzone wojskiem stojącym jak ściana - zapora z krwi i kości, nie pozwalająca pogańskim hordom zamieszkującym Utrację wdzierać się tu i plądrować nasz kraj.

- Wasza wielbność - powiedział podejrzanie cicho Płaksa - historia waszego kraju, mimo że liczy wieki, jest bardzo krótka. Były czasy, gdy ludzie i Bractwo żyli jak dobrzy sąsiedzi, we

wspólnocie. Trwało to, dopóki ludzie nie zaczęli wycinać puszczy, nie oszczędzając świętych drzew i zaklętych dolin, póki nie zaczęli wszędzie budować dróg i miast. Wtedy zapanowała wrogość. Nie możesz z czystym sumieniem mówić o wdzieraniu się i grabieżach, gdyż to właśnie ludzie...

- Człowiek ma prawo robić z ziemią, co mu się podoba -odparł biskup. - Ma święte prawo znaleźć dla niej najlepsze zastosowanie. Bezbożne stworzenia takie jak...

- Nie bezbożne — przerwał mu Płaksa. - Mieliśmy swoje święte gaje, póki ich nie wycięliście, wróżki miały murawy do tańca, póki ich nie zmieniliście w pola uprawne. Nawet takie małe delikatne istoty jak elfy...

- Wasza wielbność - odezwał się Cornwall - obawiam się, że jesteśmy w mniejszości. Tylko my dwaj możemy nazywać się chrześcijanami; niemniej jednak uważam całą kompanię za prawdziwych i zacnych przyjaciół. Jestem szczęśliwy, że zdecydowali się mi towarzyszyć do Utracj i, choć trochę obawiam się, że...

- Myślę, że masz rację- odparł biskup, przemawiając łagodniej, niż się można było spodziewać. - Nikomu z nas taki spór nie przyniesie pożytku. Są inne sprawy, nad którymi powinniśmy się zastanowić. Rozumiem, panie bakałarzu, że szukasz Prastarych z czystej ciekawości. Wynika to chyba z lektur, którym się oddawałeś.

- Nie miał łatwego życia -wtrącił Oliwer. - Obserwowałem go przez wiele nocy, przygarbionego nad bibliotecznym stołem, wertującego stare manuskrypty, zdejmującego z półek książki nie ruszane od wieków. Zdmuchiwał nagromadzony na nich kurz i studiował je przy słabym świetle dogasających świec, gdyż bieda zmuszała go, by wykorzystywał je do samego końca. Zimą dygotał z zimna, gdyż, jak zapewne wiesz, wasza wielbność, wszystkie budynki uniwersytetu, a przede wszystkim biblioteka, są starymi, źle skonstruowanymi gmazyskami z kamienia, po których hula wiatr.

- Więc powiedz nam - zwrócił się biskup do Corawalla - co znalazłeś?
- Niezbyt wiele - odrzekł Cornwall. - Zdanie tu, cytat tam. Wystarczyło, by mnie przekonać, że Prastarzy nie są, jak niektórzy sądzą, tylko mitem. Znalazłem księgę, bardzo cienką i podobno niekompletną, która ma być podręcznikiem języka Prastarych. Nauczyłem się słów z tego skryptu, by móc się z nimi porozumieć, choć ciągle nie jestem pewny, czy to jest ich język. Nie ma tam subtelności, żadnych niuansów, za pomocą których ty i ja wymieniamy myśli. Ta praca nie mogła powstać na podstawie materiałów źródłowych. Ten, kto ją napisał, był przekonany, że Prastarzy mają swój odrębny język.
- Nie napisał, dlaczego tak uważał? Nie wyjaśnia, jak nauczył się tego języka?
- Nie. Musiałem przyjąć to na wiarę.
- Jak się dobrze zastanowić, to rzeczywiście jest powód, by udać się do Utracji.
- Dla mnie tak - rzekł Cornwall. - Może dla innych niewystarczający.
- Dla mnie także - powiedział Oliwer. - Dla mnie to pretekst, jeśli nie coś więcej. Nie mogłem spędzić całego życia za krokwią. Gdy teraz spojrzę na nie z dystansu, widzę, że było bezcelowe,
- Może tak, może nie - rzekł Cornwall. - Ja cię rozumiem, Oliwerze; nie ma nic takiego w uniwersytecie, co wchodziłoby w krew. To jest w pewnym sensie miejsce nie z tego świata. Ma w sobie coś nierealnego. Jest też, na wiele sposobów, niezupełnie normalne. Dążenie do wiedzy staje się celem samym w sobie, bez żadnego odniesienia do rzeczywistości. Ale wracając do wyprawy, niepokoję się o Giba i Hala. Przecież ja mogę wziąć ze sobą topór.
- Tak myślisz - odpowiedział Gib - bo nie znałeś pustelnika. Zrobił dla nas tak wiele, a my dla niego tak mało. Popatrywaliśmy na trudno dostępną stromiznę, gdzie miał swoją jaskinię, i wiedząc, że tam jest, uważaliśmy, że wszystko jest w porządku. Nie wiem, z jakiego powodu, ale tak było. Czuwałem przy nim w ostatnich godzinach jego życia. Naciągnąłem na niego koc, aby go

odgrodzić od doczesnego świata, gdy życie z niego uszło. Zawaliłem wejście do pieczary głazem, by nie dostały się tam wilki. I to jest ta ostatnia rzecz, którą muszę dla niego zrobić. Nikt inny, rozumiesz, tylko ja. Zaufał mi i muszę dopilnować, by jego wola została wypełniona.

Biskup kręcił się na krześle, jakby mu było niewygodnie.

- Widzę, że nie jestem w stanie nic zrobić, aby powstrzymać pozostałych przed pójściem na pewną śmierć - powiedział. -Może dostąpicie łaski i spotka was nagła śmierć. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego to słodkie dziecko, Mary, nalega...

- Wasza wielbność nie wie, bo tego nie powiedziałam -odezwała się dziewczyna. - Kiedy byłam małeńka, para starszych ludzi znalazła mnie na drodze i wychowała jak własną córkę. Już im o tym opowiadałam — wskazała siedzących przy stole - ale nie powiedziałam, że często zastanawiałam się, skąd pochodzę. Bo ta droga prowadziła z Utracji...

- Nie możesz myśleć - krzyknął przerażony biskup - że pochodzisz z Utracji! To nie ma sensu.

- Czasami przypominają mi się jakieś obrazy. Stary dom na wzgórzu i niezwykli towarzysze zabaw, którzy proszą, bym ich rozpoznała. Ale nie umiem tego zrobić. Nie wiem, kim czy też czym byli.

- Nie musisz tego wiedzieć.

- Wydaje mi się, wasza wielbność, że jednak tak. Jeśli teraz się tego nie dowiem, to już nigdy nie będę wiedziała.

- Pozwólmy jej iść - ujął się za dziewczyną Płaksa. - Prze-
stańmy jej dokuczać. Jest w dobrym towarzystwie i ma prawo tam iść. Może nawet większe niż ktokolwiek z nas.

- A dla ciebie, Płakso - powiedział z lekką ironią w głosie Hal - ta wyprawa będzie zwykłym spacerkiem. Płaksa parsknął.

- Nie mogłem spać po nocach. Rozmyślałem. Wydawało mi się, że przyłożyłem rękę do tej sprawy

przez przypadek, a okazało się, że było mi to od dawna pisane. Los musiał z góry założyć narodziny tego miecza. W przeciwnym razie jak wytłumaczyć fakt, że znaleźliśmy tylko jedno jedyne gniazdo tak czystej rudy? Dlaczego wszędzie była ruda o wiele uboższa w żelazo? Według mnie gniazdo to znalazło się tam w określonym celu, gdyż nic nigdy nie dzieje się bez przyczyny. Trudno mi wprost nie uwierzyć, że celem było stworzenie tego właśnie miecza.

- Jeżeli tak jest - rzekł Cornwall - to oświadczam, że gniazdo to zostało niewłaściwie wykorzystane, bo nie ja powinienem nosić taki miecz. Nie zostałem stworzony do miecza.

- Nieźle jednak dałeś sobie radę tamtej nocy w stajni - powiedział Hal.

- O co chodzi? W jakiej stajni? - dopytywał się biskup. - Awanturowaliście się w stajni?

- Nie mówiliśmy o tym, bo wydawało nam się, że nie powinniśmy - odparł Cornwall. - Obawiamy się, że zadarliśmy z człowiekiem, który zwie się Lawrence Beckett. Może doszły tu do was słuchy o nim?

Biskup skrzywił się.

- Rzeczywiście, doszły. Nie mogliście sobie wybrać gorszego wroga. Nie spotkałem nigdy tego człowieka, ale wiem, że cieszy się wyjątkowo złą sławą. Mówią, że jest bezwzględnym potworem. Jeżeli to on jest waszym nieprzyjacielem i zwalczacie się wzajemnie, równie dobrze możecie udać się do Utracji.

- Ale on tam też zmierza - powiedział Gib. Biskup aż wyprostował się na krześle.

- O tym mi nie mówiliście. Dlaczego mi nikt o tym nie powiedział?

- Bo Beckett jest przedstawicielem Inkwizycji - odrzekł Cornwall.

- A wy pewnie myśleliście, że z tej przyczyny cieszy się dużymi względami każdego, kto należy do Kościoła Matki Świętej?

- Chyba tak - rzekł Cornwall.

- Kościół jest miłosierny i jest w nim miejsce dla ludzi różnego pokroju - dla tak świętej osoby jak

nasz nieodżałowanej pamięci pustelnik, ale również, a właściwie niestety, dla różnych łotrów.

Kościół jest zbyt ogromny, zbyt powszechny, aby można było utrzymać wewnętrzny porządek. Są ludzie, bez których byłby szczęśliwszy, i do nich należy Beckett. Człowiek ten używa płaszczyka Inkwizycji dla swych własnych krwiożerczych celów. Uczynił z niej oręż raczej polityczny niż wyznaniowy. A teraz dowiaduję się, że zmierza do Utracji.

- Wydaje nam się, że tam właśnie zmierza - powiedział Hal.

- Mieliśmy lata pokoju. Dawno już wojsko zostało wycofane z tej strażnicy. Nie było tu potrzebne, gdyż przez całe dziesięciolecia nie pojawiały się żadne problemy. I nie było ich również po wycofaniu żołnierzy. Ale teraz nie wiem. Obawiam się najgorszego. Potrzeba tylko iskry rzuconej na Pogranicze, by wzniecić pożar, i Beckett może być tą iskrą. Podkreślam z całą powagą: nie czas wybierać się do Utracji, gdy Beckett tam grasuje.

- Mimo to wyruszymy tam - oświadczył Gib.

- Tego się obawiałem - westchnął biskup. - Jesteście wszyscy szaleni. Odwodzić was od tego postanowienia to strata czasu. Gdybym był trochę młodszy, dołączyłbym do was, by was chronić przed waszym szaleństwem. Ale ponieważ wiek i obowiązki nie pozwalają na to, pozostaje mi odegrać w tym wszystkim jedyną możliwą rolę. Nie wypada, abyście poszli na spotkanie śmierci na piechotę. Będą czekały na was konie i wszystko, czego będziecie potrzebowali.

Oliwer i Płaksa mieli nosy spuszczone na kwintę. Postąpiono z nimi nieuczciwie, stali się ofiarami bezwzględnej dyskryminacji: musieli we dwóch jechać na jednym koniu.

- Spójrzcie na mnie - powiedział Hal. - Ja jadę razem z Szopem.

- Ale Szop to twój ulubiony zwierzak! - odparł Oliwer.

- Nie. On jest moim przyjacielem. Razem jesteśmy właścicielami drzewa. W nim obaj mieszkamy. Dzielimy się wszystkim po równo.

- Tylko że ty wzięłeś go na chwilę - rzekł Płaksa - żeby się nie zamoczył. Nie będzie z tobą jechał

cały czas. Nie lubi jeździć konno.

- Koń - odrzekł Hal - jest tak jego, jak i mój.

- Nie wydaje mi się, by koń podzielał tę opinię. Wygląda na przerażonego. Nigdy nie dosiadał go szop.

Przeprawili się przez rzekę w bród; stary, historyczny bród, niegdyś strzeżony z wieży. Kiedy odwrócili się, wieża i otaczający ją wał obronny nie wyglądały, jakby strzegły czegoś. Były to tylko ruiny, które utraciły całą wspaniałość, zaskorupiały w latach, będące tylko echem czasów, gdy mocarnym czworobokiem opierały się inwazji Utraków. Tu i ówdzie na murze rosły drzewa, a masywne kamienie wieży były zamaskowane porastającą je winoroślą. Maleńkie figurki, których nie sposób było rozpoznać z takiej odległości, zebrały się przy dużej wyrwie w murze, unosząc w pożegnalnym geście podobne do zapalek ręce.

- Jeszcze ciągle jest czas - zwrócił się Cornwall do Mary - aby zawrócić przez rzekę. To nie jest miejsce dla ciebie. Przed nami mogą być ciężkie dni.

Potrząsnęła uparcie głową.

- A co według ciebie czeka mnie tutaj? Znowu zmywanie naczyń? Nie mam zamiaru już więcej być pomywaczką.

Cornwall zawrócił konia i zaczęli posuwać się z trudem po

ledwo widocznej ścieżce wijącej się po niewielkim wzniesieniu, górującym nad okolicą. Po przekroczeniu rzeki krajobraz raptownie zmienił się. Na południu gęsta knieja porastała stoki olbrzymich urwisk, poprzecinane głębokimi wąwozami. Tutaj wzgórza były niższe, las zaś nie tak gęsty. Gdzieś drzewa porastały ciągiem wiele akrów, ale były też otwarte przestrzenie.

Patrząc na wschód, Cornwall widział, że niektóre stoki tej północnej strony były zupełnie pozbawione roślinności.

„Mogłem sobie zażyczyć - pomyślał - żeby mi dali jakąś mapę. Jakąkolwiek, nawet kiepską, z

wieloma błędami, która dałaby mi jednak wyobrażenie, w jakim kierunku wędrujemy." Rozmawiał o tym z biskupem, ale - o ile ten się orientował - nie było takiej mapy i nigdy nie istniała.

Żołnierze, którzy przez lata strzegli brodu, niczego poza tym nie robili. Nigdy nie dokonali żadnego wypadu za rzekę. Wszelkie zajazdy były dziełem mieszkańców Utracji, a i tych było niewiele. Służba w wieży była nudną powinnością i nic jej nie zakłócało. Jedynymi ludźmi, którzy wypuszczali się do Utracji, byli przypadkowi podróżnicy, tacy jak Taylor, którego opis podróży leżał teraz w Wyalusing. Ale czy którakolwiek z niewielu relacji, spisanych przez takich wędrowców, była prawdziwa - należało wątpić.

Zmarszczył brwi na tę myśl. Uświadomił sobie, że nie było niczego, co przemawiałoby za prawdziwością opisu Taylora. Człowiek ten być może wcale nie odwiedził Prastarych, słyszał tylko o nich; nie musiał nawet jechać do Utracji, by o nich usłyszeć. Stary kamienny topór, wieziony przez Giba, był lepszym dowodem na ich istnienie niż słowa Taylora. „Dziwne - pomyślał - biskup natychmiast rozpoznał topór jako własność Prastarych." Uświadomił sobie, że powinien był porozmawiać z nim dłużej na ten temat, ale było mało czasu, a spraw do omówienia wiele. Był niezrównany jesienny dzień. Wyruszyli późno i słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie. Gdy wspięli się na wzgórze, rozpostarła się przed nimi panorama całej doliny -jak płótno stworzone przez szalonego malarza, któremu brak wyczucia kolorów.

- Coś jest na tamtym wzgórzu - powiedziała Mary. - Ktoś nas obserwuje.

Cornwall podniósł głowę i zaczął uważnie przeszukiwać wzrokiem horyzont.

- Nic nie widzę.

- Widziałam to tylko przez chwilę. Jakiś ruch. Nie wiem, co to było. Ale na pewno coś poruszyło się.

- Jesteśmy obserwowani - rzekł Płaksa, który razem z Oli-werem dogonił czoło kolumny. - Musimy się z tym liczyć. Nie spuszczać nas z oczu. Oni wiedzą o każdym naszym ruchu.

- Jacy oni? - zapytał Cornwall.

Płaksa wzruszył niecierpliwie ramionami.

- Skąd ja mogę wiedzieć? Tylu nas jest: gobliny, gnomy, zjawy zwiastujące śmierć. Może nawet krasnoludki i wróżki, które nadal należą do Bractwa, choć wy, ludzie, uważacie je za istoty godne szacunku. I inni. Wielu innych, dużo mniej porządnym i bardziej zawziętym.

- Nie będziemy ich urażać - powiedział Cornwall. - Nie podniesiemy na nich ręki.

- Tak czy inaczej - uświadomił mu Płaksa - jesteśmy intruzami.

- Wy też? - zdziwiła się Mary.

- Nawet my —odrzekł Płaksa. - Nawet Oliwer i ja. Uważają nas za cudzoziemców, może nawet za zdrajców i dezertków, gdyż my lub nasi przodkowie opuściliśmy ojczyznę i zamieszkaliśmy na Pograniczu, razem z ich wrogami.

- Zobaczymy - powiedział Cornwall.

Konie z trudem wspinały się ścieżką w górę i w końcu osiągnęły wierzchołek. Przed drużyną nie rozciągał się płaskowyż, jak można się było tego spodziewać, lecz szereg kolejnych wzgórz, każde troszkę wyższe od poprzedniego, przypominających płynące w regularnych odstępach, a potem zamrożone fale.

Ścieżka prowadziła teraz w dół jałowego stoku, porośłego

brązowiejącą trawą. Niżej zaczynał się gęsty las, który zdawał się pokrywać całą przestrzeń między wzgórzami. W zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty, nawet ptaków. Uczestników wyprawy ogarnęło przemożne uczucie samotności - Cornwall miał na dodatek nieprzyjemne wrażenie mrowienia między łopatkami.

Człapiąc wolno, jakby nie miały ochoty iść dalej, konie wlokły się szlakiem w dół. Skręcał on nagle, by okrążyć olbrzymi biały dąb, stojący samotnie na polaci ziemi porośniętej trawą. Było to wysokie, przysadziste drzewo, o ogromnym pniu i szeroko rozłożonych gałęziach. Najniższa gałąź

rosła nie wyżej niż dwanaście stóp nad ziemią.

Cornwall zauważył, że coś zostało wbite głęboko w twarde pień. Ściągnął lejce i przypatrzył się temu. To, co widział, było długie na dwie stopy, średnicy kilku cali, skręcone; miało kolor kości słoniowej.

Za Cornwallem Płaksa mimowolnie wstrzymał oddech.

- Co to jest? - spytała Mary.

- Róg jednorożca - odparł Płaksa. - Istnieje już niewiele tych stworzeń i nigdy nie słyszałem, żeby któreś zostawiło róg wbity w drzewo.

- To znak - oświadczył poważnym tonem Oliwer.

Cornwall trącił kolanem konia, zbliżył się do drzewa i chwycił za róg. Pociągnął, ale ten ani drgnął.

Szarpnął znowu, lecz równie dobrze mógł próbować wyrwać konar z drzewa.

- Będziemy musieli go odrąbać - powiedział.

- Pozwól mnie spróbować - poprosiła Mary.

Sięgnęła w dół i chwyciła za róg. Wyszedł za pierwszym pociągnięciem. Miał około trzech stóp długości i zwężał się ku końcowi do grubości igły. Był nie uszkodzony i nie złamany.

Wszyscy wpatrywali się w niego z przejęciem.

- Nigdy nie widziałam czegoś takiego - rzekła Mary. - W starych baśniach, zasłyszanych na Pograniczu...

- To wspaniały znak - oświadczył Płaksa - To dobry początek.

Tuż przed zmierzchem rozbili obóz na polanie, u wejścia do jednego z wąwozów biegnących między wzgórzami. Ze zbocza wzgórza biło źródółko, dając początek strumykowi, który płynął w dół, szemrząc łagodnie. Gib narąbał dREW na ognisko z przewróconej sosny, leżącej nie opodal obozowiska. Niebo nad horyzontem, pomalowane przez zachodzące słońce na cytrynowo, z wolna stawało się zielone. Konie miały dobrą trawę; wszyscy byli osłonięci od wiatru przez gęsty las,

otaczający polanę.

Hal odezwał się cicho:

- Są wokół nas. Wdepnęliśmy na dobre w ich strony. Obserwują nas.

- Skąd wiesz? - zapytała Mary.

- Wiem. Szop mi powiedział. Spójrz, jak się zwinął w kłębek przy ognisku. Nie sprawia wrażenia, jakby nasłuchiwał, a jednak. Mimo że siedzą tak cicho, słyszy ich. Najprawdopodobniej też ich czuje.

- Nie zwracajmy na nich uwagi - rzekł Płaksa. - Zachowujmy się tak, jakby ich nie było. Musimy się do tego przyzwyczaić. Nie możemy dać się zastraszyć. To musi się tak odbywać. Będą iść po naszych śladach przez cały czas, śledzić nas, ciągle śledzić. Jeszcze nie ma się czego obawiać. Na razie wyszły tylko elfy, trolle i wróżki. Nic niebezpiecznego, nic naprawdę złośliwego, nic dużego. Cornwall poruszył drwa w ognisku, zsunął je do kupy i postawił rondel z musem kukurydzianym.

- A co się stanie, jeśli pojawi się coś naprawdę złego i dużego?

Płaksa wzruszył ramionami. Odsunął się od Cornwalla.

- Nie wiem. Będziemy musieli robić, co zechcą. Jak wy to mówicie? Tańczyć, jak nam zagrają.

Parę rzeczy przemawia na naszą korzyść. Na przykład róg jednorożca. To potężna broń. Historia o znalezieniu go rozejdzie się wokoło. Za dzień - dwa

cała Utracja będzie o tym wiedziała. Dalej - magiczny miecz, który nosisz...

- Dobrze, że o nim wspomniałeś - rzekł Cornwall. - Już dawno miałem zamiar cię zapytać.

Zastanawiałem się, dlaczego dałeś go Gibowi. Wiem, że on ci powiedział, dla kogo go potrzebuje. I tu się pomyliłeś, panie gnomie. Powinieneś był sprawdzić, z kim masz do czynienia. Gdybyś to

zrobił, wiedziałbyś, że na całym świecie nie znajdziesz osoby gorzej władającej mieczem ode mnie.

Nosiłem miecz, oczywiście, ale przecież wielu ludzi także nosi. Mój był stary i tępy, rodzinne dziedzictwo, niezbyt wartościowy nawet jako pamiątka. Przez tyle lat nawet go nie wyciągnąłem z

pochwy.

- Niemniej jednak - rzekł Płaksa uśmiechając się - doniesiono mi, że sobie dzielnie poczynałeś w tej rozróbie w stajni. Cornwall skrzywił się.
- Upadłem na koński zad, koń kopnął mnie i tak to się dla mnie skończyło. Gib ze swą niezawodną siekierą i Hal z łukiem byli prawdziwymi bohaterami tej walki.
- Zaraz, przecież powiedziano mi, że zabiłeś człowieka, z którym walczyłeś.
- Przypadek, zapewniam cię, czysty przypadek. Ten głupek sam nadział się na ostrze.
- Nieważne, jak to się stało. Ważne, że go pokonałeś.
- Stało się to zupełnie przez przypadek, więc żaden to powód do chwały.
- Czasem wydaje mi się, że większość chwały przypisywanej wielkim czynom pochodzi właśnie z późniejszego spojrzenia na nie. Zwykła jatka staje się później w jakiś dziwny sposób rycerskim pojedynkiem.

Szop przebiegł naokoło ogniska, stanął na tylnych łapach, a przednie położył Cornwallowi na kolanach. Zaczął obwąchiwać rondel z musem kukurydzianym, śmiesznie poruszając wąsami.

- Już za chwileczkę - uspokoił go Cornwall. - Jeszcze mo-mencik. Obiecuję ci, że będzie dla ciebie spora porcja.

- Często zastanawiam się - mówił Płaksa - ile on naprawdę rozumie. Inteligentne zwierzę. Hal cały czas do niego mówi. Twierdzi, że Szop mu odpowiada.

- Raczej nie poddawałbym tego w wątpliwość - poradził mu Cornwall.

- Istnieje bardzo silna więź między nimi. Jakby byli braćmi. Kiedyś, pewnej nocy, psy goniły Szopa. Był wtedy jeszcze bardzo młody. Hal go ocalił i zabrał do domu. Od tego czasu są nierozłączni. Teraz, zważywszy jego wielkość i spryt, żaden pies, będący przy zdrowych zmysłach, nie będzie chciał zadawać się z nim.

Mary wtrąciła:

- Psy chyba dobrze go znają. Hal mówi, że pewien kłusownik z nastaniem jesieni co noc poluje na szopy. Jego psy nigdy nie idą śladem Szopa. Nawet jeśli jest w lesie, a nie w dziupli Hala, psy dają mu spokój. Czasem w zamęcie polowania podejmują jego trop, ale po chwili go porzucają.

- Tak, psy to bystre zwierzęta - rzekł Hal. - Jediną istotą sprytniejszą od nich jest sam stary Szop.

Gib wrócił do poprzedniego tematu:

- Oni ciągle są wokół nas. Można zauważyć tu i ówdzie któregoś z nich, przemykającego siew ciemnościach.

- Są z nami od momentu, gdy przekroczyliśmy rzekę - powiedział Płaksa. - My ich oczywiście nie widzieliśmy, ale oni są wokoło i nas obserwują.

Coś pociągnęło delikatnie Mary za rękaw; gdy odwróciła głowę, ujrzała małego stworka o twarzy skurczonej ze strachu.

- Oto jeden z nich - szepnęła. - Wyszedł z ukrycia. Nie róbcie gwałtownych ruchów, i tak jest już dość przestraszony. Mały stworek przedstawił się:

- Jestem Bromeley, troll. Nie pamiętasz mnie?

- Nie jestem pewna - odrzekła z wahaniem. — Czy to z tobą się bawiłam?

- Byłaś małą dziewczynką. Nie większą niż my. To byłem ja i krasnoludek Smyk, a czasami zabląkana wróżka albo elf, który akurat przechodził. Nigdy nie uważałaś, że jesteśmy inni. Nie byłaś na tyle duża, żeby wiedzieć. Robiliśmy babki z piasku na

brzegu rzeczki i chociaż ani ja, ani Smyk nie uważaliśmy stawiania babek za ciekawą zabawę, zawsze ci ustępowaliśmy. Chciałaś robić babki i robiliśmy je z tobą.

- Teraz pamiętam! Mieszkałaś pod mostem, a ja zawsze myślałam, że to dziwne miejsce na dom.

- Powinnaś już wiedzieć - powiedział Bromeley z pewną wyrozumiałością - że wszystkie prawdziwe trolle muszą rezydować pod mostem. Żadne inne miejsce nie jest dla nich do przyjęcia.

- Tak, oczywiście - pośpiesznie potwierdziła Mary. - Wiem o mostach trolli.

- Często chodziliśmy dokuczać wilkołakowi - wspominał Bromeley. - Rzucaliśmy kamyczki i grudki ziemi, kawałki drewna i co tam popadło do jego jaskini, a potem uciekaliśmy co sił w nogach, by nas nie złapał. Jak teraz o tym myślę, bardzo wątpię, by on w ogóle wiedział o naszych wyczynach. Byliśmy płochymi istotami, takimi małymi boidudkami. Chociaż nie do tego stopnia co wróżki. One to dopiero boją się własnego cienia.

Cornwall chciał coś powiedzieć, ale Mary powstrzymała go, dając mu znak głową.

- A co robi cała reszta? - spytała. - Siedzą nas? Dlaczego nie wyjdą z ukrycia? Dołożymy do ognia, wszyscy siądziemy dokoła i pogadamy. Możemy nawet zatańczyć. I na pewno znajdzie się coś do zjedzenia. Moglibyśmy upiec placki kukurydziane - tyle, by starczyło dla wszystkich.

- Nie wyjdą. Nawet na placki. Byli przeciw temu, abym ja tu przyszedł. Nawet usiłowali mnie powstrzymać. Ale musiałem przyjść. Pamiętałem cię z dawnych czasów. A teraz co się z tobą dzieje? Przeniosłaś się na Pogranicze?

- Raczej przeniesiono mnie.

- Przychodziłem, szukałem ciebie i gubiłem się w domysłach. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego miałabyś nas opuścić. Z wyjątkiem tych babek z piasku, które były nudne i można się było przy nich upaprać, bawiliśmy się razem świetnie.

- A gdzie jest teraz Smyk?

- Nie wiem - odparł troll. - Gdzieś zniknął. Krasnoludki to

wędrowcy. Zawsze są w ruchu. My, trolle, przebywamy głównie w jednym miejscu. Znajdujemy sobie most, który nam się podoba, osiedlamy się tam i żyjemy przez całe...

Niespodziewanie rozległ się dźwięk kobzy, chociaż później, kiedy o tym myśleli, uświadomili sobie, że to nie stało się tak nagle, jak im się początkowo wydawało. Dźwięk ten słyhać było wcześniej, już wtedy, gdy troll zaczął rozmawiać z Mary. Ale był on cichy jak bzykanie owada, jakby jakiś świerszcz cykał w trawie albo zaroślach. Teraz zaś głos kobzy wybuchnął wibrującym

dźwiękiem i przerodził się w zawodzenie, które pulsowało i wzbijało się w niebo, dzika i straszna muzyka, coś pomiędzy lamentem a okrzykiem wojennym, coś, co najbardziej przypominało wycie szaleńca.

Przestraszona Mary zerwała się na równe nogi, a za nią Corn-wall, przez nieuwagę potracając rondel z jedzeniem. Konie szarpały się na uwięzi, rżąc w panicznym strachu. Płaksa chciał krzyknąć, ale z gardła wyrwał mu się tylko pisk.

- Posępny Kobziarz - pisnął i powtarzał w kółko: - Posępny Kobziarz, Posępny Kobziarz, Posępny Kobziarz...

Coś okrągłego i wilgotnego toczyło się w dół po stromiźnie opadającej w kierunku obozowiska. Toczyło się i podskakiwało, wydając za każdym uderzeniem głuchy odgłos. Dotarło do skraju ogniska i zatrzymało się. Leżało, łypiąc na wszystkich, uśmiechając się złośliwie wykrzywionymi ustami.

Była to odrąbana ludzka głowa.

Następnego dnia, po południu odnaleźli miejsce, z którego stoczyła się ścięta głowa. Pochowali głowę po krótkiej ceremonii, z pośpiesznie wymamrotaną modlitwą, u stóp wielkiego granitowego głazu; prosty krzyż wbity w ziemię zaznaczał miejsce jej spoczynku.

Oliwer był przeciwny ustawieniu krzyża.

- Oni nam dają spokój, dlaczego my mamy ich obrażać? Wasze dwa głupie skrzyżowane patyki są dla nich bluźnierstwem.

Ale Cornwall uparł się.

- Krzyż nie jest obrażą. A co powiesz na ciskanie w nas ludzkimi głowami? Czy to nazywasz zostawianiem w spokoju? Ta głowa należała do człowieka, prawdopodobnie chrześcijanina.

Jesteśmy winni jej właścicielowi chociaż modlitwę i krzyż i damy mu jedno i drugie.

- Myślisz, że to głowa jednego z ludzi Becketta? - zapytał Gib.

- Może. Od spotkania w oberży nie słyszeliśmy o Becket-cie. Nie wiemy, czy już przekroczył granicę. Być może to głowa któregoś z jego kompanów. Włókł się pewnie na końcu grupy albo oddalił od niej i napatoczył na kogoś, kto nie lubi ludzi.

- Upraszczasz - stwierdził Płaksa. - W Utracji nie ma nikogo, kto by lubił ludzi.

- Z wyjątkiem tej rzuconej głowy - rzekł Cornwall - nie zrobili żadnej akcji przeciw nam.

- Poczekaj tylko - powiedział Płaksa.

- Musisz wziąć też pod uwagę - odezwał się Oliwer - że jesteś tu jedynym człowiekiem. Mogą nie mieć dla nas specjalnych względów, ale dla ciebie...

- Przecież jest też Mary - przypomniał Hal.

- Mary, tak, ale ona żyła tu jako dziecko, a do tego dochodzi ta historia z rogiem, który jakiś skretyniały jednorożec zostawił w drzewie.

- Nie przyszliśmy tu jako armia najeźdźców - zauważył Gib. - Jesteśmy tylko grupką niewinnych istot - pielgrzymów, jak wolisz. Nie mają powodu, by się nas obawiać.

- Nie jesteśmy tu oceniani w kategoriach strachu - rzekł Płaksa. - Chodzi raczej o nienawiść.

Nienawiść, która trwa od niezliczonych wieków, która jest bardzo głęboko zakorzeniona.

Cornwall nie spał najlepiej. Za każdym razem, gdy usypiał, nachodził go ten sam sen, który właściwie nigdy się nie kończył. Widział w nim znów głowę, a właściwie zniekształconą, niesamowitą karykaturę głowy, pozbawioną wszelkiej realności, ale będącą samą w sobie odrażającą okropnością. Budził się zlany potem, dygocąc ze strachu. Później, gdy zwalczył strach i uspokoił się, przypomniał sobie znowu głowę, nie tę zniekształconą ze snu, lecz tę, którą ujrzał na jawie, leżącą przy ognisku, tak blisko ogniska, że małe iskierki odpryskujące od żarzącego się drewna zapalały jej włosy i brodę, które smażyły się, skwiercząc, skręcając się i zostawiając małe, stopione kuleczki na końcach kosmyków. Oczy miała otwarte i wytrzeszczone; przypominały one bardziej kamienne kulki do gier chłopięcych. Usta i twarz były zniekształcone, jakby ktoś ujął mocno w

ręce tę głowę i skręcił ją. Obnażone zęby błyszcząły w świetle ogniska, a gęsta ślina, wyciekająca z kącika wykrzywionych ust, zasychała na brodzie.

W końcu nad ranem, wyczerpany, zapadł w sen tak mocny, że nawet majaki o głowie nie powróciły, by mu urągać. Kiedy Oliwer go wreszcie dobudził, śniadanie było już gotowe. Jadł, próbując usilnie, ale bez powodzenia, powstrzymać się od spoglądania na krzyż wbity ukośnie u stóp głazu. Niewiele mówili, szybko osiodłali konie i ruszyli w dalszą drogę.

Ścieżka, którą podążali, pozostawała nadal ścieżką, nie rozszerzała się, by przejść w drogę. Okolica stawała się coraz bardziej surowa i dzika, krajobraz w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób straszyl. Szlak wił się głębokimi wąwozami i przełomami, ginąc w wąskich, obramowanych skałami kotlinach, skąd wznosił się kreto między olbrzymimi sosnami i strzelistymi skałkami, aby osiągnąć szczyt wzgórza i zaraz zagłębić się w następnym wąwozie. W takich miejscach wszyscy zachowywali ciszę, z rzadka tylko odważali się mówić głośniejszym niż szeptem. Nie wiedzieli właściwie, czy boją się dźwięku własnego głosu, czy zwabienia nim czegoś przyczajonego w gęstwinie. Nie było ani zabudowań, ani wyrębów, ani żadnego nawet znaku, że ktoś kiedyś żył w tych niedostępnych okolicach.

Za ogólną, milczącą zgodą nie zatrzymali się na południowy posiłek.

Było już dobrze po południu, gdy Hal popędził konia, minął wszystkich na szlaku i dołączył do Cornwalla prowadzącego grupę.

- Spójrz tam - rzekł, wskazując w kierunku wąskiego skrawka nieba, widocznego między olbrzymimi drzewami, rosnącymi gęsto po obu stronach.

- Nic nie widzę. Jakies punkciki. Chyba ptaki.

- Obserwowałem je. Ciągłe wracają. Jest ich wiele. To myszołowy. Musi tam być padlina.

- Może padła krowa?

- Tu nie ma krów. Nie ma gospodarstw.

- Więc sarna. Albo łoś.

- Jeśli już, to parę saren. Albo parę łośi. Tam jest wiele myszołowów. A to oznacza dużo padliny.

Corawall ściągnął wodze i zatrzymał konia.

- Do czego zmierzasz?

- Głowa - rzekł Hal. - Musiała skądś do nas przywędrować. Ta ścieżka prowadzi w dół do małego wąwozu. Doskonałe miejsce na pułapkę. Gdy się w taką pułapkę wpadnie, nikt się z niej nie wydostanie.

- Przecież jesteśmy prawie pewni, że Beckett tędy nie przejeżdżał. Nie przekraczał rzeki przy Wieży. Nie było żadnych oznak. Żadnych śladów podków czy ognisk. Jeżeli tam była zasadzka...

- Na tym to ja się nie znam. Natomiast znam się na myszołowach i widzę, że jest ich tam za dużo.

Oliwer i Płaksa podjechali bliżej.

- O co chodzi? Czy coś nie tak?

- Myszołowy - odparł Hal.

- Nie widzę żadnych myszołowów.

- Te punkciki na niebie.

- Daj spokój - powiedział Corawall. - Są tam, w porządku. Coś tam padło. Słuchaj, Płakso, chcę z tobą porozmawiać. Zeszłej nocy, tuż przed tym, jak ktoś rzucił głowę, słychać było kobzę.

- Posępny Kobziarz. Powiedziałem ci, kto to był.

- A, tak, pamiętam. Powiedziałeś. Ale tyle rzeczy się wydarzyło. Kim jest ten Posępny Kobziarz?

- Tego nikt nie wie - odparł Płaksa, drżąc lekko. - Nikt nigdy go nie widział. Tylko go słyszano.

Niezbyt często. Czasami w ogóle przez wiele lat. Jest złowieszczym zwiastunem. Słychać go tylko wtedy, gdy dzieją się straszne rzeczy.

- Przestań mówić zagadkami. Jakie straszne rzeczy?

- Ta głowa, na przykład - wtrącił Hal.

- Nie sama głowa - rzekł Płaksa. - Coś znacznie gorszego.

- Komu mają się przydarzać te straszne rzeczy?

- Nie wiem. Nikt nigdy nie wie.

- Było coś w tym dźwięku - powiedział Oliwer - co mi brzmiało dziwnie. Już wtedy tak pomyślałem, ale trudno mi było powiedzieć co. Brzmiało to tak przerażająco, że chyba byłem półprzytomny ze strachu. Ale dziś, w czasie jazdy, nagle przypomniałem sobie. Tylko kawałek. Jedną czy dwie frazy. To część starodawnej pieśni. Widziałem jej nuty w starym pergaminie w Wyalusing. Tam były te dwie frazy. Pochodzące, według pergaminu, sprzed około dziesięciu tysięcy lat. Być może z najstarszej pieśni na ziemi, choć nie wiem, jak człowiek, który pisał ten pergamin, mógł wiedzieć...

Cornwall mruknął coś pod nosem i popędził konia. Ścieżka opadła gwałtownie w dół; wydawało się, jakby zanurzyła się w ziemi, a wielkie ściany wyszczerbionych skał stanęły nagle dęba po obu stronach. Małeńkie strumyczki płynęły po powierzchni skał i w tych miejscach paprocie i mchy kurczowo czepiały się podłoża rachitycznymi korzonkami. Ze skalnej rozpadliny wyrastał ukośnie olbrzymi cedr, sprawiający wrażenie, że za chwilę straci równowagę i obali się. W miarę jak schodzili w dół, pozbawiony słońca wąwóz stawał się coraz mroczniejszy.

Między skalnymi ścianami kołatał się słabymi porywami wiatr, wzmacniany niekiedy kapryсами ciśnienia. Niósł ze sobą dziwny fetor, duszący, słodkawy, przyprowadzający o mdłości smród; czuło się go w gardle i nie można go było przełknąć, jątrzył trzewia i powodował zbieranie na wymioty.

- Miałem rację - szepnął Hal. - Tędy przeszła śmierć.

Przed nimi ukazał się ostry zakręt, a kiedy go pokonali, zobaczyli, że wąwóz nagle się kończył, przybierając kształt owalnego amfiteatru - areny, zamkniętej wysokimi skałami.

Na wprost nich rozgrywała się przerażająca scena. Setki skrzydeł poruszało się bezustannie, gdy stado wielkich, czarnych ptaków ponawiało ataki na coś, czym się pożywiało. Kilka wstrętnych

ptaszysk, zbyt ciężkich po obfitej uczcie, by odlecieć, skakało wokół w pokracyjny sposób.

Fala smrodu uniosła się i uderzyła w zapatrzone twarze jak nokautujący cios.

- Dobry Boże! -wykrzyknął Cornwall.

Oniemiał na widok tego, co leżało na kamienistym brzegu-potoku, płynącego leniwie przez arenę.

Była to masa poszarpanego mięsa i sterczących kości: ciała ludzkie, wyszczerzone czaszki na trawie, klatki piersiowe z wystającymi żebrami i wy-żartymi wnętrznościami, wzdęte końskie ścierwa. Wiatr roznosił wokoło podarte resztki ubrań; powiewały furkocząc, poza-czepiane na ciernistych gałęziach niskopiennych krzewów. Wbita w ziemię włócznia stała krzywo jak pijany wykrzyknik. Słabe promienie słońca odbijały się w porozrzucanych tarczach i mieczach.

Pośród poszarpanych ludzkich zwłok i końskiej padliny leżały inne martwe ciała. Były pokryte czarną sierścią, szczyrzyły kły w zastygłym na zawsze uśmiechu, miały krótkie, gęste ogony, mocarne ramiona, wielkie dłonie (dłonie, nie łapy) uzbrojone w zakrzywione pazury.

- Tędy przeszedł Beckett - powiedział Gib.

Po drugiej stronie amfiteatru widniała zaznaczona koleinami droga prowadząca między skałami otaczającymi miejsce, w którym się znaleźli.

Cornwall uniósł się w strzemionach i obejrzał za siebie, pozostali wstrzymali konie. Twarze ich wyrażały najwyższe przerażenie.

- Niestety, nic nie możemy pomóc - rzekł Gib. - Lepiej jedźmy stąd.

- A chrześcijańskie słowo? - powiedział Cornwall. — Coś, co przyspieszy im ostatnią wędrówkę, pozwoli spoczywać w pokoju...

- Nie ma takich słów - odpowiedział szorstko Gib - które mogłyby to dla nich uczynić. Tu nie ma pokoju.

Cornwall kiwnął głową, spiął konia ostrogami i ruszył w kierunku drogi. Reszta podążyła za nim.

Ze wszystkich stron dochodził odgłos uderzeń skrzydłami, gdy padlinożerne ptaki, przepłoszone od

uczty, usiłowały wzbic się powietrze. Przez szlak przemknął spiesznie lis, podkulając ogon; drobna zwierzyna przebiegała z prędkością strzały.

Zostawili za sobą pobojuwisko i wjechali na drogę. Była pusta. Tłumek małych szarych ptaszków przeskakiwał z gałązki na gałązkę w rzadkich zaroślach, szczebiocąc radośnie. Większe czarne ptaki siadały z powrotem na niedawnym polu bitwy.

Kiedy osiągnęli szczyt wzgórza wznoszącego się ponad kotliną, gdzie rozciągał się krajobraz po bitwie, zobaczyli czekającego na nich człowieka - było oczywiste, że ich właśnie oczekiwał.

Siedział wygodnie u stóp wielkiego dębu, oparty o jego pień, i przyglądał się z widocznym zainteresowaniem, jak nadjeżdżają powoli drogą. Pod drzewem stał jakiś pojazd. Był pomalowany na czarno-biało, wspierał się na dwóch kołach. Koła miał przedziwne: ich obręcze były zrobione nie z drzewa czy żelaza, lecz z jakiegoś czarnego materiału; wyposażono je w zbyt wiele szprych i to wcale nie drewnianych. Te cienkie szprychy wykonano z czegoś, co wyglądało na błyszczący metal, i każdy przy zdrowych zmysłach wiedział od razu, że szprychy tak cienkie i delikatne nie mogą być wytrzymałe.

Gdy się zbliżyli, człowiek powstał i otrzepał spodnie z kurzu i liści, które się do nich przyczepiły. Spodnie miał białe i dobrze dopasowane, koszulę z jakiegoś czerwonego materiału, a na niej kamizelkę, też białą. Jego buty były proste, zrobione z cielej skóry.

- A więc udało się wam - powiedział. - Nie byłem tego pewien.

Cornwall uczynił gest głową w tył.

- Ma pan na myśli tych tam?

- Właśnie. Cała okolica jest poruszona. To stało się dwa dni temu. Wy chyba lubicie nadstawiać karku.

- Nic o tym nie wiedzieliśmy - odparł Cornwall. - Przyjechaliśmy od strony Wieży. Ludzie, którzy tam zginęli, jechali inną drogą.

- Udało wam się dotrzeć bezpiecznie i to się liczy. Trzymałem za was kciuki.

- Wiedział pan, że jedziemy?

- Usłyszałem o was wczoraj. „Zbieranina” powiedzieli. I widzę, że nie przesadzili.

- Kto?

- Och, moi wybrani mali przyjaciele. Skoczki-przez-zaro-śła, goóce-w-trawie. Same oczy i uszy.

Niewiele jest rzeczy, których nie widzą. Wiem i o rogu, i o głowie, co się przytoczyła do ogniska.

Czekałem z wielką niecierpliwością, kiedy będę mógł was powitać.

- Czy to znaczy, że wie pan, kim jesteśmy?

- Znam tylko wasze imiona. O, proszę mi wybaczyć. Jestem Aleksander Jones. Przygotowałem dla was miejsce na odpoczynek.

Mary odezwała się stanowczo:

- Panie Jones, nie podoba mi się to wszystko. Możemy sobie sami...

- Przepraszam, panno Mary, jeśli panią uraziłem. Chciałem jak najlepiej okazać swą gościnność.

Schronienie na nadchodzącą noc, ognisko, gorące jedzenie i wygodne miejsce do spania...

- To wszystko - pośpiesznie wtrącił Oliwer - będzie przyjęte z największą wdzięcznością, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Gdyby tak jeszcze miarka wina czy kufelek piwa. Ten smród stamtąd czuję ciągle w gardle. Muszę je czymś przepłukać.

- Piwem, oczywiście - odparł Jones. — Cała baryłka czeka na wasz przyjazd. Czy pan się zgadza, sir Marku?

- Tak - odrzekł Cornwall. - Zgadzam się. Nie widzę w tym nic złego, wręcz przeciwnie. Ale niech pan nie tytułuje mnie sir, jestem tylko zwykłym bakałarzem.

- Przytrzymajcie, proszę, mocno wasze konie - ostrzegł Jones - bo mój wierzchowiec to bardzo głośna bestia.

Postąpił w kierunku pojazdu. Przełożył przez niego nogę i ulokował się na czymś, co okazało się

siodełkiem. Wyciągnął ręce i złapał za poprzeczkę zakończoną uchwytami jak u rondla, umieszczoną powyżej i trochę z tyłu przedniego koła.

- Zaczekaj chwilę! - zawołał Gib. — Nie powiedziałaś nam jednej rzeczy. Jak to się stało, że ci wszyscy ludzie leżą tam zabici, a ty żyjesz. Jesteś przecież człowiekiem, no nie?

- Przyznaję, że wydaje mi się, że jestem — odparł Jones. -Odpowiedź na twoje pytanie jest bardzo prosta. Tutejsi mieszkańcy wierzą, że jestem czarnoksiężnikiem, co oczywiście jest nieprawdą.

Utrzymał równowagę na jednej nodze, a drugą kopnął w wystający z boku drążek. Dwukołowy pojazd ożył z gniewnym rykiem, wydychając chmurę dymu. Konie cofnęły się, przerażone. Oliwer siedzący za Płaksą zleciał i zbierał się gwałtownie z ziemi, by uniknąć trafienia wierzgającym kopytem.

Potwór na dwóch kołach przestał ryczeć, zadowolając się warczącym, gardłowym pomrukiwaniem.

- Przepraszam! - krzyknął Jones do Oliwera. - Uprzedzałem, żeby się dobrze trzymać!

- To smok - powiedział Płaksa. — Dwukołowy smok, choć nie wiedziałem, że smoki mogą w ogóle mieć koła. No bo cóż innego poza smokiem potrafiłoby narobić tyle hałasu i wyrzucać dym i ogień?

Wyciągnął rękę do Oliwera i pomógł mu wdrapać się na koński grzbiet.

- Chyba jedyne, co możemy zrobić - ocenił Hal - to jechać za nim. „Ciepły posiłek" powiedział. Chętnie zjem.

- Nie podoba mi się to - skarżył się Płaksa. - Wszystko mi się tu nie podoba. Nie mam zamiaru kolegować się ze smokami, nawet oswojonymi i zaprawionymi do siodełka.

Smok przyspieszył i musieli przejść w ostry kłus, by za nim nadążyć. Droga przestała być tak głęboko pobrużdżona koleinami jak przy wejściu do wąwozu. Biegła teraz przez płaskowyż, między rzędami sosen i brzoź. Gdzieniedzie pojedynczy dąb wystawał ponad niski lasek. Potem droga obniżyła się, nie gwałtownie, lecz raczej stopniowo, i poprowadziła do miłej dolinki. Stały

tam na trawie trzy namioty, wszystkie w kolorowe pasy, z proporcami powiewającymi na masztach.

Smok zatrzymał się przez największym namiotem i Jones zsiadł. Obok znajdował się stół zбитy z desek, a dalej płonął ogień, na którym gotowano i pieczono na rożnie. Na kozłach do rżnięcia drewna leżała wielka beczka piwa z kurkiem już umocowanym w szpuncie. Wokół ognia i różna uwijała się obszar-pana armia skrzatów, trolli i goblinów, brzęcząc niemiłosiernie garnkami. Część z nich porzuciła gotowanie i pobiegła zająć się końmi.

- Chodźcie - zaprosił Jones. - Usiądziemy i porozmawiamy. Wiem, że jest cała masa spraw do omówienia.

Pół tuzina trolli usługiwało przy piwie; nalewały je z beczek do kufli i podawały do stołu.

- No, już lepiej - powiedział Jones. - Wypijmy po kufli, zanim podadzą jedzenie. Nic oczywiście nie jest nigdy gotowe na czas. Ci moi mali przyjaciele są chętni do pracy, ale nie potrafią jej sobie dobrze zorganizować. Siadajcie, gdzie chcecie, i porozmawiamy.

Oliwer dopadł do stołu, chwycił pierwszy z brzegu kufel, przechylił go i wypił piwo duszkiem. Skończywszy wytarł pianę z wąsów.

X

- Świetne piwo. Nie jak te siki, które podają w gospodach w Wyalusing.

- Płaksa nazywa twój wierzchowca smokiem - zwrócił

się Hal do Jonesa. - Choć to wyrzuca dym i ogień i zionie nimi przekonująco, wiem, że nie jest smokiem. Nigdy nie widziałem smoka, ale słyszałem o nich. Opisy w ogóle nie pasują do stworzenia, na którym jeździsz. Brak mu głowy i skrzydeł. I ogona.

- Masz zupełną rację - powiedział zadowolony Jones. — To nie smok, choć nie tylko Płaksa za takiego go uważa. To nie jest w ogóle stworzenie, to machina. Nazywa się motocykl.

- Motocykl - powtórzył Gib. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Oczywiście, że nie słyszałeś. To jedyny egzemplarz na tym całym świecie.
- Powiedziałaś, że to machina. My też mamy maszyny, oczywiście, ale zupełnie niepodobne do tej. Są maszyny wojenne, maszyny oblężnicze, używane do ciskania wielkich kamieni, wystrzeliwania pocisków i materiału zapalającego na oblegane miasta.
- Albo koło młyńskie - uzupełnił Gib. — Koło młyńskie też będzie maszyną.
- Chyba tak - potaknął niepewnie Hal.
- Ale koło młyńskie jest poruszane siłą płynącej wody-włączyła się do rozmowy Mary - a machina wojenna nakręcana jest linami. Czy mógłby nam pan wyjaśnić, jak ta pańska machina działa?
- Nie za dobrze. Nie jestem w stanie wszystkiego wam wytłumaczyć. Mogę podać wam parę informacji, ale nie będą dla was zrozumiałe.
- Więc sam pan nie wie, jak to działa - zarzucił mu Cora-wall.
- Tak, prawdę mówiąc, nie wiem.
- To muszą być chyba czary.
- Zapewniam was, to nie czary. W moim świecie nie ma czarów. Trzeba przenieść się tu do tego świata, aby znaleźć czary.
- To śmieszne - powiedziała Mary. - Muszą być czary. Czary są nieodłączną częścią życia.
- Z mojego świata czary zostały wyrugowane - wyjaśnił Jones. - Ludzie mówią o nich, oczywiście, ale to rozmowy o czymś, czego już nie ma. Kiedyś, dawno temu może i były, ale od wieków ich nie ma.
- A pan musi przychodzić do tego świata, by znaleźć utracone czary?
- Tak, właśnie - potwierdził Jones. - Przyszedłem tu, by je zgłębiać.
- To dziwne - odezwał się Cornwall. - To bardzo dziwne, co pan mówi. Musi pan choć trochę używać magii, nawet jeśli nie przyznaje się pan do tego. Weźmy tych ludków, pracujących chętnie dla pana lub udających, że chętnie to robią. Dbają o ogień, przygotowują jedzenie, przynoszą piwo,

zajmują się końmi. Śledzili nas przez cały czas, ale nie wyszli, by nam pomóc. Siedzieli cicho w ukryciu i obserwowali.

- Niech pan da im trochę czasu — poradził Jones. — Tak było i ze mną, kiedy przyjechałem tu pierwszy raz. Pochowali się i przyglądali, a ja zająłem się własnymi sprawami, zupełnie nie zwracając na nich uwagi. Po jakimś czasie zaczęli wychodzić, ośmielili się, zaczęli rozmawiać. Na podstawie pewnych rzeczy, które robiłem albo posiadałem, doszli do wniosku, że jestem czarnoksiężnikiem, a więc kimś, kto jest ich wart.

- Ma pan dużą przewagę nad nami - rzekł Cornwall. - Między nami nie ma kogoś takiego.

- A ja słyszałem coś innego - odparł Jones. - Mój ludek doniósł mi coś zupełnie innego.

Dowiedzieli się tego od waszych ludków i przybiegli pędem, aby mi przekazać. Jest wśród was osoba, która wyciąga róg jednorożca, wbity głęboko w drzewo, inna ma magiczny miecz, a jeszcze inna niesie ze sobą niezwykły kamień.

- Skąd mogły wiedzieć o kamieniu? - zdziwił się Gib. - Ten kamień jest zawinięty i dobrze schowany. Nawet o nim nie rozmawialiśmy.

- Och, wystarczy, że wiedzą. Nie pytajcie mnie, skąd. Jeśli chcecie sprawdzić, co wiem, proszę: kamień ten należał dawno temu do Prastarych, a teraz ma im być zwrócony.

Cornwall aż wychylił się do przodu.

- Co pan wie o Prastarych? Może orientuje się pan, gdzie ich szukać?

- Powiem panu, co słyszałem. Musi pan iść do Domu Czarownicy, przez Przekłętą Równinę, przejść obok Ziarnku Bestii Chaosu i dalej aż do Mrocznych Turni. Tam, jeśli będzie miał pan szczęście, może znajdzie pan Prastarych. Mówią, że niewielu z nich pozostało przy życiu, bo to ginące plemię. Dlatego ukrywają się i nie wierzą nikomu. Jeśli znajdzie ich pan zniecka, może będzie się pan musiał bronić.

- Dom Czarownicy? — zapytała niespokojnie Mary. - Mówi pan o Domu Czarownicy. To stary,

bardzo stary dom, prawda? Wygląda tak, jakby miał się za chwilę zawalić. Stoi na małym wzgórzu przy strumieniu, nad którym jest przerzucony kamienny mostek. Stary dwupiętrowy dom z mnóstwem krużganków, biegnących wzdłuż całego frontu. Czy tak?

- Opisałaś go bardzo dokładnie. Tak, jakbyś go widziała.

- Bo widziałam. To jest ten dom, w którym mieszkałam, będąc dzieckiem. Był tam troll o imieniu Bromeley, który mieszkał pod tym mostkiem. I skrzat Smyk...

- Bromeley to ten, co wpadł do nas poprzedniego wieczora? - chciał upewnić się Hal.

- Tak, przyszedł spotkać się ze mną. Wszyscy inni siedzieli bezpiecznie ukryci, a on wyszedł z ukrycia, by mnie powitać. Pamiętał. Gdyby nie to, że ktoś wtedy rzucił tą okropną głową...

- Obawiałem się, że coś złego może się zdarzyć, gdy dotrzecie do pobojuwiska - rzekł Jones. - Stchórzyłem i czekałem. A powinienem był wyjść wam na spotkanie, ale bałem się, że moje pojawienie się może wywołać jakąś niepożądaną reakcję, że mogą zrobić coś niewłaściwego. Nawet wyruszyłem, aby was spotkać, ale zrezygnowałem.

- Ale tam nie było niczego, co by mogło nam zrobić krzywdę - powiedział Cornwall. — To było przerażające, owszem, ale nie niebezpieczne. W pobliżu była jedynie grupa trolli, goblinów i innych ludków.

- Drogi przyjacielu - odrzekł Jones - cieszę się, że tak myślałaś. Wiara, że tam były tylkotrolle i gobliny, pomogła wam

przejść. Nie chcę was straszyć, ale muszę powiedzieć, że byli też tam inni.

- Jacy inni? - zapytał ostro Płaksa.

- Diabły wcielone — odparł Jones. - Banda krwiożerczych diabłów wcielonych. To one razem z ludkami towarzyszą wam od momentu przejścia rzeki.

- Diabły wcielone? - zdziwił się Cornwall. - Tak, były tam jeszcze inne ciała oprócz ludzkich. Takie z ogonami i kłami.

- Właśnie, to one.

- Znam ich - powiedział cicho Płaksa. - Są częścią naszej tradycji. Ale nigdy nie widziałem żadnego i nie znam nikogo, kto by ich widział. - Zwrócił się do Cornwalla: - To są kaci. Oprawcy. Zawodowi zabójcy.

- Ale jak dotąd pozwolili nam przejść.

- Pozostawią was w spokoju, jeśli nadal będziecie tak samo postępować - rzekł Jones. - Jeszcze nie zdecydowali, co z wami zrobić. Zróbcie jeden fałszywy ruch, a napadną na was.

- A pan? Czy pana też śledzą? - spytał Cornwall.

- Może. Robili to wcześniej, to może i nadal. Ale, jak widzicie, przypadkowo wyrobiłem sobie reputację czarnoksiężnika, a poza tym, zdaje się, że uważają mnie za niespełna rozumu.

- I to ma pana chronić?!

- Mam nadzieję, że tak. Nie zrobiłem nic, by ich wyprowadzić z błędu, jeżeli istotnie tak myślą.

- Ktoś zbliża się drogą - powiedział Płaksa. Wszyscy odwrócili głowy.

- To Plotkarz - rzekł Jones. - Jest strasznie namolny. Wy-niucha jedzenie z odległości siedmiu mil, a trunek - z jeszcze większej.

Plotkarz nadchodził drogą, stąpając sztywno. Był wysoki i chudy jak patyk. Miał na sobie brudną szatę, która ciągnęła się za nim, wzbijając tuman kurzu. Na ramieniu siedział mu kruk, a na pasku przerzuconym przez drugie ramię zwisał podłużny tobołek. W lewej ręce trzymał długi kij i walił nim energicznie w ziemię przy każdym kroku. Za nim biegł mały biały pies, ku-
lejący na jedną nogę. Pies był cały biały z wyjątkiem czarnych plam wokół oczu, co sprawiało wrażenie, jakby nosił okulary.

Plotkarz podszedł do stołu i zatrzymał się przed Cornwalllem. Ten podniósł się. Teraz, gdy przybysz był blisko, widać było, że jego strój jest zupełnie zniszczony, z dziurami na wylot, przez które prześwitywało ciało. Parę największych dziur załatano niewprawną ręką kawałkami tkanin w

różnych kolorach. Słońce i błoto osłabiły intensywność barw. Kruk liniał; parę luźnych, poszarpanych piór zwisało mu z ogona. W ogóle wyglądał, jakby nadgryzły go mole. Mały piesek, który usiadł u stóp Plotkarza, drapał się i iskał z pcheł.

Jeżeli Plotkarz był człowiekiem, to w niewielkim stopniu go przypominał. Uszy miał bardzo spiczaste, oczy dziwnie skośne, nos rozplaszczony i szeroki, zęby przypominające kły. Posiwiałe włosy, nie czesane od tygodni, wyglądały jak gniazdo szczura. Ręka podtrzymująca podłużny tobołek zakończona była długimi, nierównymi i brudnymi paznokciami.

Zwrócił się do Cornwalla:

- Ty to bakałarz Mark Cornwall? Ostatnio z Wyalusing?

- Tak, to ja.

- I jesteś przywódcą bandy pielgrzymów?

- Tu nie ma przywódcy. Każdy ma te same prawa.

- Niech i tak będzie. Mam dla ciebie przesłanie. Uważaj to za przyjacielskie ostrzeżenie. Nie zapuszczaj się dalej niż do Domu Czarownicy. Dalej nie wolno iść pielgrzymom.

- Beckettowi nie pozwolono dojść nawet tam.

- Beckett nie był pielgrzymem.

- A dlaczego myślisz, że my nimi jesteśmy?

- Tu nie chodzi o to, co ja myślę, panie bakałarzu. To oni tak uważają, a ja przekazuję tylko ich słowa.

- A kim, do diaska, są ci „oni”?

- Po co, mój panie, udajesz taką ignorancję? A jeżeli naprawdę nie wiesz, to zawsze możesz zapytać innych z twojej grupy, którzy mają dużo lepsze rozeznanie.

- Masz na myśli Oliwera i mnie - włączył się do rozmowy Płaksa. - Radziłbym ci uważać na to, co mówisz. Oliwer, bę-

dający goblinem, i ja, gnom, jesteśmy na swej własnej ziemi. Możemy iść, gdzie nam się żywnie podoba.

- Nie byłbym taki pewien, czy możecie rościć sobie do tego prawo. Wy obaj zdradziliście Bractwo.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - rzekł Corawall. - Kim są ci „oni”, o których mówiłeś?

- Czy słyszałeś o diabłach wcielonych?

- Tak.

- A o Bestii Chaosu? A o Tym, Który Wysiaduje w Górach?

- Czytałem o nich. W starych opowieściach podróżników. Wspominali o nich.

- Więc módl się, by się z nimi bliżej nie zapoznać. Corawall odwrócił się i spojrzał na Jonesa. Ten pokiwał w napięciu głową.

- Powiedział mi to samo. Ale, jak już pan wie, jestem tchórzem i nigdy nie przekroczyłem Domu Czarownicy. - Zwrócił się do Plotkarza: - Co byś powiedział na dobre piwo?

- Nawet dwa. I zjadłbym kawałek mięsa, gdy już będzie gotowe. Przybywam z daleka i jestem strasznie spragniony i głodny.

Okrągły księżyc wzniosł się ponad nierówny horyzont, przy-gasił gwiazdy i wypełnił blaskiem polanę. Ognisko powoli dogasało, posiłek był już skończony. Na trawie, między drogą a obozowiskiem, ludkowie tańczyli w dzikim zapamiętaniu przy piskliwych dźwiękach muzyki.

Po kolacji Plotkarz rozpakował tobołek; wyjął z niego skrzypce i smyczek. Teraz stał, obszarpana postać ze skrzypcami pod brodą. Palcami lewej ręki przebierał po gryfie, a prawą, uzbrojoną w smyczek, delikatnie muskał struny. Liniejący kruk nadal siedział na jego prawym ramieniu, miejscu teraz bardzo niepewnym. Bez przerwy podrygiwał i podskakiwał, by utrzymać Swnowagę. Chwilami włąził wyżej i wczepiał się w muzykan-desperacko pazurami, wydając wrzaski protestu z powodu [niebezpieczeństwa, na jakie był narażony. Pod stołem spał ku-Ilawy pies, obzarty mięsem rzucanym przez biesiadników. Jego fłapy zaciskały się i drgały, gdy polował

we śnie na króliki.

- Zobaczcie, ilu ich jest - zdziwiła się Mary, wskazując na tańczących ludków. - Jak przyjechaliśmy, nie wyglądało, że jest ich tylu!

Jones zaśmiał się cicho.

- Oczywiście, że jest ich więcej. Są wszyscy moi i większość waszych.

- Chce pan powiedzieć, że powychodzili z ukrycia?

- Jedzenie ich wyciągnęło. Jedzenie i picie. Chyba nie spodziewałaś się, że będą warować w krzakach i przyglądać się, jak inni sobie dogadzają.

- A więc między nimi musi być też Bromeley. To mały ła-komczuszek. Dlaczego nie przyjdzie ze mną porozmawiać?

- Pewnie się świetnie bawi.

Z tłumu tańczących wyłonił się niezdarnie Szop i otarł o nogi Hala. Ten podniósł go i posadził sobie na kolanach. Szop usadowił się wygodnie, owijając się ogonem.

- Za bardzo się objadł - powiedział Gib.

- To jego zwyczaj - odparł Hal.

Skrzypce zawodziły i lamentowały, piskliwa melodia niosła się ku gwiazdom. Ramię Plotkarza podrygiwało, a podrzucany kruk skrzekliwie protestował.

- Nie bardzo pana rozumiem - zwrócił się cicho Cornwall do Jonesa. - Powiedział pan, że nigdy pan nie przekroczył Domu Czarownicy. Zastanawiam się, dlaczego. Po co tu w ogóle pan jest?

Jones uśmiechnął się.

- To zabawne, że właśnie pan mnie o to pyta. Obaj mamy tyle wspólnego. Widzi pan, panie bakałarzuja też jestem badaczem.

- Jeśli tak, to dlaczego nie prowadzi pan żadnych badań?

- Ależ właśnie to robię. Tu jest tyle tematów dla badacza.

Więcej niż potrzeba. Gdy się coś studiuje, należy dokładnie poznać dany obszar, nim się przejdzie do następnego. Gdy nadejdzie czas, przekroczyć Dom Czarownicy.

- Studiuje, powiada pan?

- Tak. Notatki, nagrania, zdjęcia. Mam całe tomy notatek, mile taśm.

- Taśmy? Zdjęcia? Ma pan na myśli obrazki i rysunki?

- Nie. Używam kamery.

- Mówi pan zagadkami. Używa pan słów, które pierwszy raz słyszę.

- Może i tak. Jeśli pan chce, to panu pokażę. Nie musimy przeszkadzać innym. Niech sobie tu zostaną i odpoczywają.

Podniósł się i poprowadził Cornwalla do jednego z namiotów. Przy wejściu zatrzymał go ruchem ręki.

- Czy jest pan człowiekiem z otwartą głową? -zapytał i sam sobie odpowiedział: —Jako bakałarz musi pan być.

- Studiowałem przez sześć lat w Wyalusing. Usiłowałem zawsze mieć otwarty umysł. Jak inaczej mógłbym nauczyć się czegokolwiek?

- W porządku. Którego dzisiaj mamy?

- Jest październik. Straciłem rachubę, który dzień. Rok Pański tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty piąty.

- Wystarczy. Chciałem się tylko upewnić. Dla pańskiej wiadomości - dziś jest siedemnasty październik.

- A co to ma do rzeczy?

- Łatwiej przyjdzie panu zrozumieć to trochę później. A tak na marginesie, jest pan pierwszą osobą, którą mogłem o to zapytać. Tu w Utracji nikt nie prowadzi kalendarza.

Podniósł połę namiotu i zaprosił Cornwalla ruchem ręki do środka. Namiot wydawał się wewnątrz

dużo większy, niż można by sądzić po jego rozmiarach. Panował tu porządek, mimo że wszędzie rozmieszczono mnóstwo rozmaitego wyposażenia i sprzętu. W jednym kącie stała wojskowa prycza, obok krzesło i stół z dość dużym świecznikiem pośrodku, w którym umieszczono świece. Płomień świec migotał od ruchu powietrza. Na rogu stołu piętrzył się stos oprawionych w czarną skórę ksiąg.

Obok leżały jakieś otwarte pudełka. Dziwny przedmiot zajmował większą część stołu, tak że było niewiele miejsca do pisania. Górowali nie zauważył ani gęsiego pióra, ani inkaustu, ani skrzyneczki z piaskiem. Wszystko wyglądało niezwykle podejrzanie.

W przeciwnym kącie stał wielki metalowy sekretarzyk; tuż obok część namiotu oddzielona była zwisającą z góry grubą czarną tkaniną, ułożoną w fałdy.

- Moja ciemnia - powiedział Jones. — Tu wywołuję filmy. Cornwall odpowiedział sztywno:

- Nie rozumiem.

- Niech pan spojrzy. - Jones podszedł do stołu i z jednego z otwartych pudełek wyjął garść niewielkich kwadracików. Rozłożył je na stole. - To są zdjęcia, o których panu mówiłem. Nie obrazki. Zdjęcia. Śmiało, niech pan weźmie w rękę i obejrzy.

Cornwall pochylił się nad stołem, przezornie nie dotykając tak zwanych zdjęć. Z kolorowych obrazków patrzyły na niego wizerunki skrzatów, goblinów, trolli. Dojrzał też wróżki tańczące na czarodziejskiej trawie, wyszczerzonego przerażającego potwora, który chyba był diabłem wcielonym, dwupiętrowy dom, stojący na wzgórzu, i kamienny mostek na pierwszym planie. Nie mogąc się oprzeć, Cornwall wziął w rękę kwadracik przedstawiający dom i przybliżył go do oczu.

- Dom Czarownicy - wyjaśnił Jones.

- Przecież to są obrazki - wybuchnął Cornwall. - Miniatury. Na królewskim dworze wielu artystów maluje takie do pamiętników, kronik i w innych celach. I jeszcze robią wokół obramowania z kwiatów, ptaszków, motyli, co według mnie czyni je bardziej interesującymi. Pracują nad tym

całymi dniami i są bardzo drobiazgowi. I nie szcędzą farb, by namalować wierny obraz.

- Niech pan się dobrze przyjrzy. Czy widzi pan jakiegokolwiek ślady pędzla?

- To niczego nie dowodzi. Na miniaturach także nie można dojrzeć śladu pędzla. Artyści potrafią tak świetnie i pięknie ma-

lować, że tego nie widać. Jednak, prawdę mówiąc, istnieją pewne różnice.

- Ma pan rację, do diaska, są różnice. Używam tego aparatu

—rzekł, głaszcząc ręką dziwny czarny przedmiot leżący na stole

- i jemu podobnych, by robić zdjęcia. Ustawiam aparat i naciskam guzik, który otwiera migawkę.

W ten sposób specjalnie przygotowany film widzi to, na co jest nacelowana kamera. Na zdjęciu wychodzi dokładnie to samo. I jest lepiej, wierniej oddane niż widziałoby to oko.

- Czary - powiedział Cornwall.

- Masz go, znowu - westchnął Jones. - Mówię panu, w tym nie ma więcej czarów niż w moim motocyklu. To nauka, technika.

- Nauka to filozofia - odparł Cornwall. - Nic więcej, tylko filozofia. Uporządkowanie wszechświata. Dążenie, by nadać wszystkiemu sens. Te pańskie rzeczy nie mogą być zrobione dzięki filozofii. Tu muszą wchodzić w grę czary.

- A gdzie się podział ten otwarty umysł, o którym pan mówiłeś?

Cornwall upuścił fotografię, wyprostował się sztywny z oburzenia.

- Przyprowadził mnie pan tutaj, aby się ze mnie natrzasać - powiedział na poły gniewnie, na poły ze smutkiem. - Chce mnie pan upokorzyć wielką sztuką magiczną i robi to pan tak, by czary nie wyglądały na czary. Dlaczego chce pan, bym wyszedł na głuptaka?

- To nie tak - odparł Jones. - Z pewnością nie jest tak, jak pan myśli. Potrzebne jest mi pańskie zrozumienie. Kiedy po raz pierwszy tu przybyłem, usiłowałem wyjaśnić wszystko ludkom. Potem Plotkarzowi, nie przejmując się jego złą opinią i ciemnotą. Usiłowałem im wyjaśnić, że nie ma

czarów w tym wszystkim, że nie jestem czarnoksiężnikiem. Ale oni upierali się, że jest przeciwnie, nie umieli zrozumieć. A potem odkryłem, że można czerpać pewne korzyści z tego, że jest się brany za czarnoksiężnika, więc przestałem wyjaśniać. Z jakiegoś jednak powodu, którego sam nie pojmuję, potrzebuję kogoś, kto mnie przynajmniej wysłucha. Wydawało mi się, że pan, jako bakałarz, może być taką osobą. Widzi więc pan, że podjąłem uczciwą próbę wy tłumaczenia mojego postępowania. W głębi duszy wyrzucam sobie, że udaję kogoś, kim naprawdę nie jestem.

- Kim więc pan jest? Jeśli nie czarnoksiężnikiem, to kim?

- Człowiekiem. Trochę innym niż pan. Tak się złożyło, że żyję w innym świecie niż pański.

- O czym pan mówi? Przecież jest tylko jeden świat, jaki mamy, pan i ja. Chyba że ma pan na myśli Królestwo Niebieskie, które jest innym światem. Trudno mi uwierzyć, że pochodzi pan stamtąd.

- Do diabła! - zaklął Jones. - Co za pożytek z takiej rozmowy! Powinienem był wiedzieć. Pan jest tak samo uparty i twar-dogłowy jak cała reszta.

- A więc proszę wyjaśnić mi dokładnie, kim pan jest. Cały czas mówi pan, kim nie jest.

- Niech pan słucha. Kiedyś istniał tylko jeden świat. Nie wiem, jak dawno temu to było - dziesięć tysięcy, sto tysięcy lat. Pewnego dnia coś się stało. Nie wiadomo, co to było; może nigdy nie dowiemy się dokładnie, co się stało ani jak do tego doszło. Pewnego dnia pewien człowiek zrobił pewną rzecz — musiał to być tylko jeden człowiek, gdyż rzecz, którą zrobił, była tak jedyna w swoim rodzaju, tak wyjątkowa, że nie było możliwości, by ktoś inny to powtórzył. Ale tak czy owak, zrobił to, czy też powiedział lub nawet tylko pomyślał o tym, cokolwiek to było, i od tego dnia zaistniały dwa światy, a dokładniej -możliwość istnienia dwóch światów. Początkowo różnica była prawdopodobnie niewielka; dwa światy, niezbyt od siebie oddalone, przenikały się wzajemnie, więc można było nawet sądzić, że to ciągle jeden i ten sam świat, ale z czasem okrzepły i oddaliły

się od siebie do tego stopnia, że znikły wątpliwości, że istnieją dwa światy. Na początku nie były zbyt odmienne, lecz z upływem czasu różnice pogłębiały się, a światy oddalały coraz bardziej od siebie. Musiały się rozejść, gdyż nie sposób ich było pogodzić. Poszły, czy też ludzie w nich żyjący, oddzielnymi drogami. Tak więc na początku był jeden świat, który rozdzielił się na dwa różne. I niech pan mnie nie pyta, jak to się stało, czy też jakie fizyczne czy metafizyczne prawa ponoszą odpowiedzialność za ten rozpad, bo nie wiem, nikt tego nie wie. W moim świecie tylko garstka ludzi zorientowała się, że coś takiego zaszło, a cała reszta, miliony, nie ma o niczym zielonego pojęcia - w ogóle nie przypuszcza, że coś takiego się zdarzyło. Może nawet nigdy nie słyszała pogłoski, że nastąpił rozpad.

- Czary - orzekł pewnym głosem Corawall. - To stało się za sprawą czarów!

- Do diabła! Znowu pan zaczyna. Jak tylko natrafi pan na coś, czego nie rozumie, od razu wyskakuje z tym słowem. A niby jest pan wykształconym człowiekiem, spędził wiele lat, zgłębiając wiedzę.

- Sześć. Sześć lat zginania karku i biedowania.

- To przecież powinien pan wiedzieć, że czary...

- Wiem o czarach więcej niż pan, szanowny panie. Studiowałem magię. W Wyalusing magia jest przedmiotem obowiązkowym.

- Ale Kościół...

- Kościół nie ma żadnych zastrzeżeń wobec czarów. Jedynie kiedy magia jest niewłaściwie wykorzystywana. Jones opadł na łóżko.

- Widzę, że chyba nie zrozumiemy się. Ja panu mówię o technice, a pan mi powiada, że to magia.

Motocykl to smok, aparat fotograficzny to dziecko diabła. Jones, daj sobie z tym wszystkim spokój!

- Nie wiem, o czym pan mówi - rzekł Cornwall.

- Tak też mi się wydaje - odparł Jones.

- Mówi pan, że świat jest podzielony. Że był jednością, że rozpadł się i że od tego momentu są dwa światy. Jones potaknął.

- Tak to się odbyło. Musiało stać się w ten sposób. Oto pański świat. Nie ma w nim techniki ani maszyn. O tak, wiem, zna pan maszyny - maszyny obłącznicze i młyny wodne. One są, oczywiście, maszynami, ale nie w takim sensie, w jakim my to rozumiemy. Przez ponad pięćset lat, co ja mówię, przez prawie

tysiąc nie posunęliście się do przodu, jeśli chodzi o technikę. Nawet nie znacie tego wyrazu. W tym czasie zaszły pewne wspólne dla obu światów wydarzenia. Na przykład narodziny Chrystusa. Jak się stało, że znacie to wydarzenie, nie mam pojęcia. Rzecz w tym, że nie było u was renesansu, reformacji, rewolucji przemysłowej...

- Obce mi są te określenia.

- Oczywiście. Przepraszam. Poniosło mnie. Proszę o wybaczenie. Żadne wydarzenie, o którym wspominałem, nie miało tu miejsca, żaden z wielkich zwrotnych punktów historii. I coś jeszcze. Zachowaliście czary i żyją tu istoty, które w naszym świecie należą już tylko do świata baśni. W moim świecie zgubiliśmy gdzieś po drodze magię, nie ma żadnego ludka; wydaje mi się, że jesteśmy przez to dużo ubożsi.

Cornwall usiadł obok niego na łóżku.

- Więc poszukuje pan dowodów na ten pański rozpad świata. Nie wierzę w tę bzdurną historię, którą mnie pan uraczył, ale muszę przyznać, że jestem zaintrygowany tymi dziwnymi mechanizmami, których pan używa.

- Dobrze, poprzestańmy na tym. Ustalmy po prostu, że jesteśmy dwoma uczciwymi ludźmi, którzy różnią się w pewnych filozoficznych kwestiach. Owszem, z chęcią znalazłbym punkt zwrotny, od którego zaczął się podział świata, chociaż nie po to tu przybyłem. Prawdę mówiąc, wątpię, czy

nadal gdzieś istnieje dowód na to. Myślę, że dawno już zniknął.

- Może i istnieje. Jest pewna szansa. Choć to brzmi bezsensownie.

- O czym pan mówi?

- Powiedział pan, że jesteśmy dwoma uczciwymi ludźmi różniącymi się w pewnych sprawach.

Jesteśmy jednak kimś więcej. Obaj jesteśmy badaczami.

- To prawda. Do czego pan zmierza?

- W moim kraju uczeni są członkami tajnego związku, duchowego bractwa... Jones kiwnął głową.

- Z pewnymi wyjątkami tak samo dzieje się w naszym świecie. Uczeni z reguły są prawymi ludźmi.

- A więc może mogę powierzyć panu sekret, który właściwie nie jest moją wyłączną tajemnicą...

- Pochodzimy ze światów o odmiennej kulturze i nasze poglądy są diametralnie różne. Nie będę

jednak czuł się dobrze, jeżeli zdradzi mi pan sekret, którego nie powinienem znać. Nie mam

zamiaru przysparzać panu kłopotów ani teraz, ani później.

- Przecież obaj jesteśmy badaczami. Łączy nas wspólna etyka.

- W porządku - zgodził się Jones. - Cóż więc chce mi pan powiedzieć?

- Gdzieś w Utracji jest uniwersytet. Już dawniej o nim słyszałem, ale uważałem to za bajkę. A teraz

mam pewność, że to nie legenda, że on naprawdę istnieje. I w tym uniwersytecie są prastare

manuskrypty...

Na zewnątrz muzyka urwała się gwałtownie; nagła cisza aż dźwięczała w uszach. Jones zamarł, a

Cornwall zerwał się i zrobił krok w kierunku wyjścia, po czym zatrzymał się nasłuchując. Z oddali

doszedł dźwięk i nie było żadnej wątpliwości, co to jest - krzyk, krzyk rozpacz.

- O mój Boże - szepnął Jones - to jeszcze się nie skończyło. Oni go jeszcze nie puścili.

Cornwall wypadł z namiotu, Jones - za nim. Grupa tancerzy odsunęła się od drogi i stała w

bezlądzie opodal stołu. Wszyscy spoglądali w górę drogi. Nikt nic nie mówił; sprawiali wrażenie,

jakby wstrzymali oddechy. Smugi dymu z ogniska wzbijały się nieprzerwanie w oświetlone

księżycem niebo.

Drogą szedł nagi mężczyzna. Idąc potykał się. To on krzyczał. Wydawał z siebie bezsensowny, nie kończący się krzyk, który wznosił się i opadał, ale ani na chwilę nie cichł. Z głową odrzuconą do tyłu krzyczał w niebo. Za nim i po obu jego stronach kroczyły diabły wcielone, czarne i złowrogie.

Niektóre poruszały się na czterech łapach, inne na tylnych, pochylone mocno do przodu, garbiąc się. Ich długie ręce majtały luźno,

a gęste krótkie ogony podrygiwały. Straszliwe kły błyskały biało na tle czerni pysków.

Oliwer oderwał się od tłumu zgromadzonego wokół stołu i podbiegł do Górowała.

- To Beckett! - krzyknął. - Mają Becketta!

Nagi człowiek i banda diabłów wcielonych posuwali się nieprzerwanie drogą. Krzyk nie ustawał, a gdy podeszli bliżej, słysząc było inny dźwięk, jakby basowy akompaniament dla tego straszego krzyku - dyszenie diabłów wcielonych.

Cornwall postąpił do przodu i wcisnął się między Giba i Hala, stojących na czele zgromadzonego tłumu. Usiłował coś powiedzieć, lecz nie mógł. Wstrząsał nim lodowaty dreszcz i musiał mocno zatkać usta ręką, by nie dzwonić zębami. Oliwer przysunął się do niego.

- To Beckett - mówił. - To jest Beckett Zawsze go rozpoznam. Często go widywałem.

Gdy Beckett przechodził koło obozowiska, nagle przestał krzyczeć i potykając się obrócił twarzą do tłumu. Wyrzucił ramiona do góry, przybierając błagalną postawę.

- Zabijcie mnie, proszę - wyjąkał. - Na miłość Najświętszej Marii Panny, zabijcie mnie! Jeśli jest między wami prawdziwy mężczyzna, niech mnie zabije, na miłość boską!

Hal podniósł do góry łuk i szybko sięgnął po strzałę. Płaksa doskoczył do niego i szarpnął łuk w dół.

- Czyś ty zwariował! - krzyknął. - Zrób jeden ruch, a one na nas mszą. Zanim zdążysz nałożyć strzałę, skoczą ci do gardła.

Cornwall postąpił krok naprzód, chwytając za miecz. Jones przesunął się szybko i zastąpił mu drogę.

- Z drogi! - ryknął Cornwall.

Jones nie odezwał się. Wziął zamach i jego pięść wylądowała na szczęce Cornwalla. Ten zwałił się na ziemię jak kłoda.

Na drodze diabły otoczyły kołem Becketta. Skoczyły ku niemu z wyszczerzonymi kłami, po chwili cofnęły się. Część twarzy Becketta zniknęła; krew trysnęła obfitym strumieniem. W miejscu, gdzie przedtem był policzek, widać było przez dziurę w twarzy rozwarte zęby. Język poruszał się w bezgranicznym

cierpieniu, a krzyk bulgotał w gardle. Kły znowu błysnęły i zostały wyrwane genitalia Becketta.

Beckett zgiął się, zasłaniając okaleczone miejsce. Następne kłapięcie żarłocznych kłów pozbawiło go części pośladka. Wyprostował się i zamachał rękami; krzyk cały czas wydobywał się z jego gardła. Upadł, wijąc się konwulsyjnie i skręcając na piachu, bulgocząc i jęcząc. Diabły odstały od niego i usiadły wkoło, darząc go niewielkim zainteresowaniem. Jęki powoli cichły. Beckett podnosił się powoli, najpierw na kolana, potem na chwiejne nogi. Sprawiał wrażenie, jakby nic mu się nie stało. Twarz miał nie uszkodzoną, pośladki całe, męskość na swoim miejscu. Diabły podnosiły się również, bez najmniejszego pośpiechu. Jeden z nich palnął Becketta, niemal pieszczotliwie, w nos. Beckett osunął się ponownie na drogę, podejmując na nowo swe rozpaczliwe krzyki. Cornwall ocknął się, usiadł półprzytomnie i potrząsnął głową. Ręką szukał miecza. Spojrzał w górę na Jonesa i odezwał się doń oskarżycielskim tonem poprzez mgłę, otaczającą jego mózg:

- Uderzył mnie pan. Trzasnął pięścią. Potraktował mnie pan jak prostaka.

- Trzymaj rękę z daleka od tego żelastwa - powiedział Jones - albo znowu ci przyłożę. Jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, to przed chwilą ocaliłem ci twoje cenne życie.

Cornwall zapukał i czarownica otworzyła drzwi.

- Och - powiedziała na widok Mary - a więc wróciłaś. Zawsze wiedziałam, że wrócisz. Od tego dnia, gdy cię zaprowadziłam na koniec drogi, wiedziałam, że kiedyś zjawisz się tu z powrotem. Wtedy powiodłam cię na drogę do Pogranicza, pogłaskałam po płowej główce i kazałam ci iść. I poszłaś, nie odwracając się nawet. Ale nie oszukałaś mnie. Wiedziałam, że tu wrócisz, jak tylko trochę podrośniesz. Bo zawsze miałaś w so-

bie coś zwariowanego i nie pasowałaś do świata ludzi. Nie można oszukać Starej Babuni...

- Miałam tylko trzy lata, a może nawet mniej. A ty wcale nie jesteś moją babcią. I nigdy nią nie byłaś. Widzę cię pierwszy raz w życiu.

- Byłaś za mała, by wiedzieć lub wiedząc zapamiętać. Zatrzymałabym cię tutaj, ale czasy były niespokojne i niepewne i najwłaściwszą rzeczą wydawało mi się odesłać cię z krainy czarów. Choć mi serce pękało, zrobiłam to, bo cię kochałam, moje dziecko.

- To wszystko nieprawda - zwróciła się Mary do Corawalla. - W ogóle jej nie pamiętam. Nie jest moją babcią. Nie jest...

- Przecież - ciągnęła wiedźma - wyprowadziłam cię na drogę wiodącą do Pogranicza. Wzięłam twoją ufną rączkę w swoją dłoń i pokuśtykałam drogą, bo musicie wiedzieć, że zaczęłam wtedy cierpieć na artretyzm, a ty skakałaś wesoło koło mnie, paplając cały czas.

- Nie mogłam paplać. Nigdy nie byłam szczebiotką.

Dom wyglądał dokładnie tak, jak go opisała Mary. Był stary i zbudowany bez żadnego konceptu, na wzgórku, nad strumykiem, który wesoło wędrował sobie okolicą, z kamiennym mostkiem, łączącym oba jego brzegi. Z jednej strony domu rosła kępa brzoź, u stóp wzgórza ciągnął się żywopłot z krzewów bzu. Był to niedługi żywopłot, zaczynał się i kończył nie wiadomo z jakiej przyczyny - żywopłot, który niczego nie ogradzał. Za bzami leżała kupa otoczków. W pewnym miejscu strumyk rozszerzał się, tworząc błotnistą sadzawkę.

Reszta kompanii czekała przy mostku, spoglądając na wzgórze, a dokładniej w kierunku werandy,

gdzie w otwartych drzwiach stała Mary z Cornwalllem.

- Zawsze byłeś przekornym dzieckiem - opowiadała czarownica. - Gotowym spłatać najgłupszego figła. Chociaż, takie są dzieci, nie świadczy to jeszcze o charakterze. Dokuczałaś biednemu wilkołakowi do granic jego wytrzymałości, rzucając patyki, kamienie i błoto do jego jamy, tak że biedak nie mógł sobie pospać. Będziesz pewnie zdziwiona, gdy ci powiem, że on mile cię wspomina, o wiele lepiej, niż na to zasłużyłaś. Kiedy usłyszał, że wracasz, wyraził nadzieję, że cię ujrzy. Ale ponieważ jest wilkołakiem wysokiej rangi, nie może zniżyć się do tego, by przyjść do ciebie z wizytą. Jeżeli chcesz go zobaczyć, musisz na niego zaczekać.

- Pamiętam wilkołaka. I jak rzucaliśmy różne rzeczy do jego jamy. Chyba go nigdy nie widziałam, chociaż może... Często o nim myślałam i czasami zastanawiałam się, czy on rzeczywiście jest wilkołakiem. Tak mówiono, lecz ja nigdy nie widziałam go na własne oczy.

- Oczywiście, że jest wilkołakiem, i to bardzo miłym. Za to ja zapominam o dobrych manierach. Jestem tak przejęta tym, że cię znów widzę, moja droga, że zachowuję się niegościnnie. Każę ci tu sterczeć, zamiast zaprosić na herbatę. I nie zwróciłam się ze słowami powitania do tego przystojnego kawalera, który ci towarzyszy. Mimo że nie wiem, kim jesteś - zwróciła się do Cornwallla - słyszałam wspaniałe opowieści o tobie i o członkach twojej kompanii. I o tobie również - rzekła do Mary. - Widzę, że nie niesiesz rogu jednoroźca. Tylko mi nie mów, że go zgubiłaś.

- Nie, nie zgubiłam. Ale niewygodnie się go nosi. Zresztą noszenie go przez cały czas wyglądałoby na fanfaronadę. Zostawiłam go towarzyszom czekającym przy mostku.

- Och, dobrze, obejrzę go sobie później. Chociaż, jak tylko o nim usłyszałam, zapragnęłam go zobaczyć. Pokażesz mi go, prawda?

- Oczywiście. Starucha zachichotała.

- Nigdy nie widziałam rogu jednoroźca. I, co może wydać się jeszcze dziwniejsze, nie widziałam również samego jednoroźca. Te bestie są niezwykle rzadkie, nawet na tych ziemiach. Ale wejdźcie.

Napijemy się herbaty. Tylko we troje. Będzie o wiele przyjemniej, gdy siądziemy we troje. A tamtym, czekającym przy moście, podeślę koszyk ciastek. Takich, jakie ty zawsze najbardziej lubiłaś - z nasionkami w środku.

Otworzyła szerzej drzwi i zaprosiła ruchem ręki do środka. Przedpokój był ciemny, przepelniał go zapach stęchlizny. Mary stanęła.

- Tu nie jest tak samo - powiedziała. - Nie tak, jak pamiętam. Kiedyś ten dom był jasny, pełen światła i śmiechu.

- To tylko twoja wyobraźnia - odrzekła ostro wiedźma. - Zawsze miałaś wybujałą fantazję. To ty zawsze wymyślałaś zabawy i bawiłaś się z tym głupkowskim trollem, co mieszka pod moim mostkiem, i tym stukniętym Smykiem. - Zarechotała na wspomnienie o tym. - Potrafiłaś im wszystko wmówić. Nie cierpieli stawiać babek z piasku, ale je z tobą robili. I bali się śmiertelnie wilkołaka, ale jak ty wrzucałaś kamyki do jego jamy, to i oni za tobą. Ty im wmówiłaś, że z moim garbem, utykaniem z artretyzmu i haczykowatym nosem jestem wiedźmą, lecz ty, moja droga, potrafisz czarować o wiele lepiej niż ja kiedykolwiek.

- Dość tego! - krzyknął Cornwall z ręką na rękojeści miecza. - Panienska nie jest czarownicą. Starucha wyciągnęła kościstą rękę i położyła ją delikatnie na jego ramieniu.

- To, co powiedziałam, to tylko komplement, szlachetny panie. Nie można powiedzieć kobiecie piękniejszej rzeczy niż to, że jest czarownicą.

Sarkając Cornwall opuścił rękę.

- Uwważaj, co mówisz — przestrzegł.

Uśmiechnęła się do niego, ukazując spróchniałe zęby, i poprowadziła poprzez ciemny i przesiąknięty wilgocią przedpokój do małego pokoju. Na podłodze leżał stary, wypłowiały dywan, a w jednej ze ścian znajdował się mały kominek, osmalony dymem. Promienie słoneczne, wpadające przez szerokie okna, obnażały nieprzyjemny wygląd tego miejsca. Na wąskiej półce

poniżej parapetu ustawiono rząd marnych roślinek. Na środku pokoju stał przepięknie rzeźbiony stół, nakryty szalem, a na nim srebrna zastawa do herbaty.

Czarownica posadziła Mary i Cornwalla przy stole i sama też usiadła przy parującym imbryku.

Siągając po filiżankę, rzekła:

- Teraz możemy porozmawiać o wielu sprawach, o dawnych dniach, o tym, jak czas wszystko zmienia i co masz zamiar tu robić.

- Interesują mnie przede wszystkim moi rodzice - powiedziała Mary. - Chcę wiedzieć, kim byli, dlaczego tu żyli i w ogóle, co się z nimi stało.

- Byli dobrymi ludźmi, ale bardzo, bardzo dziwnymi - odparła czarownica. - Niepodobnymi do innych. Nie patrzyli z góry na mieszkańców Utracji. Nie było w nich zła, a tylko głębokie zrozumienie. Porozmawiali zawsze z każdym, kogo spotkali. A jakie zadawali pytania - o, na ziemi przodków - co za pytania! Często zastanawiałam się, po co tu przybyli; wydawało mi się, że bez specjalnego celu. „Na wakacje” - odpowiedzieli mi, ale to śmieszne przypuszczać, że tacy wykształceni ludzie jak oni wybrali takie miejsce na wakacje. Jeśli to były wakacje, to wyjątkowo długie - byli tu prawie rok. Nic konkretnego nie robili, spacerowali tylko po okolicy i byli wyjątkowo mili dla każdego, kogo spotkali. Doskonale pamiętam ten dzień, kiedy przyszli tu drogą przez most, ich dwoje, moja miła, i ty między nimi, na chwiejnych nóżkach. Trzymali ciężą rączki, jakbyś potrzebowała ich pomocy. Wyobraź sobie ich zimną krew - a może niewinność - dwoje ludzi wkraczających spokojnie do Utracji, wchodzących tu, jakby byli na przechadzce w kwietniowe popołudnie. Gdyby wtedy na tych ziemiach znalazł się ktoś, kto chciałby im zrobić krzywdę, byłby tak wstrząśnięty ich niewinnością, ich pełną godności ufnością, że na pewno by się zawahał.

Pamiętam, jak podeszli do tego domu, zapukali i zapytali, czy mogą się tu zatrzymać. A ja, oczywiście, jako osoba o gołębim sercu, która nie potrafi odmówić...

- Wiesz co - przerwała jej Mary - myślę, że kłamiesz. Nie wierzę, że to jest twój dom. Nie mogę

uwierzyć, żeby moi rodzice byli kiedykolwiek twoimi gośćmi. Myślę jednak, że i tak nie powiesz mi prawdy i nie mam co tego od ciebie oczekiwać.

- Ależ, moja droga, to wszystko jest najprawdziwszą prawdą. Po cóż miałabym cię okłamywać?

- Nie sprzeczaście się - usiłował je pogodzić Cornwall. -

sy to prawda, czy nie, zostawmy to. Co się w końcu z nimi ało?

- Odeszli do Przekłętej Równiny. Nie wiem, dlaczego. Nig-[dymi nic nie mówili. Byli mili, oczywiście, ale nic mi nie chcieli ! powiedzieć. Zostawili dziecko ze mną i odeszli. Od tej pory nikt nic o nich nie słyszał.

- Właśnie wtedy zaprowadziłaś Mary, jeśli to byłaś ty, do Pogranicza?

- Tak, bo rozchodziły się straszne pogłoski i bałam się tu ją trzymać.

- Jakie pogłoski?

- Już nie pamiętam.

- Sam widzisz - rzekła Mary - że ona kłamie.

- Oczywiście, że tak, ale nie wiemy w jakim stopniu. Czy wszystko, co mówi, jest kłamstwem, czy tylko część tego.

- To smutne - odezwała się czarownica, przykładając chustkę do oczu - siedzieć przy własnym stole i podejmować herbatą gości, którzy poddają w wątpliwość prawdziwość twoich słów.

- Czy zostawili jakieś papiery? - spytała Mary. - Jakież listy, cokolwiek.

- Dziwne, że o to pytasz. Już się ktoś inny o to dowiadywał. Pewien człowiek. Mówił, że nazywa się Jones. Powiedziałam mu, że nic nie wiem. Nigdy nie sprawdzałam, bo nie pcham nosa w nie swoje sprawy. Różnie można mnie nazywać, lecz nikt nie nazwie mnie wścibską. Powiedziałam mu, że coś może być na piętrze i nie muszę o tym wiedzieć. Bo kuleję, jak widzicie, i nie mogę wchodzić po schodach. Och, wiem, co myślicie, czarownica może polecieć na miotle, dokąd chce. Ale wy, ludzie, nic nie pojmujecie. Są pewne reguły...

- Czy Jones wszedł na piętro?

- Tak, oczywiście, że tak. Powiedział mi, że nic nie znalazł, ale uciekał ze spojrzeniem i nie jestem pewna, czy mówił prawdę. Pamiętam, że go zapytałam i że...

Drzwi do domu otwarły się z hukiem i usłyszeli dudnienie

stóp po podłodze przedpokoju. Do pokoju wpadł Gib i zatrzymał się gwałtownie.

- Mark - krzyknął do Cornwalla - mamy kłopoty! Zjawił się Beckett!

Cornwall skoczył na równe nogi.

- Beckett?! A co z diabłami?

- Uciekł im.

- To niemożliwe. Jak mu się udało? Gdzie teraz jest?

- Tu, przy moście. Przybiegł do nas goły jak święty turecki. Bromeley dał mu ręcznik.

Drzwi znowu trzasnęły i znów usłyszeli tupot. Tym razem był to Płaksa.

- To podstęp! Nie możemy pozwolić mu zostać! Diabły go wypuściły, a teraz powiedzą, że udzielamy mu schronienia, i przylecą całą zgrają!

- Och, te żałosne szczeniaki - powiedziała zdegustowana czarownica. - Zaraz, niech no tylko wezmę miotłę. Żadne diabły wcielone nie będą igrać ze mną. Usiłują być groźne, ale jak sieje walnie raz, drugi...

- Nie możemy go tak zostawić - zdecydował Cornwall. - Nie po tym, co widzieliśmy ostatniej nocy.

Ma prawo szukać u nas pomocy. Mimo wszystko jest chrześcijaninem, choć może nie najlepszym.

Wybiegł pośpiesznie do przedpokoju i na zewnątrz domu, reszta za nim.

W kierunku domu szła cała barwna procesja. Na przedzie Beckett owinięty w pasie ręcznikiem.

Tuż za nim kroczył Hal; jego łuk nałożony był na szyję Becketta. Hal trzymał łuk i obracając nim, dotykał cięciwą krtani pojmanego. Dalej widać było Oliwera, a za nim całą bandę troll i, skrzatów, gnomów i wróżek.

Hal wskazał kciukiem za ramię.

- Mamy towarzystwo - rzekł do Cornwalla. - Nie spuszczać oczu z Becketta.

Cornwall spojrział we wskazanym kierunku. Na szczycie pozbawionego wszelkiej roślinności pagórka za strumykiem sie-

działy rzędem diabły. Siedziały bez ruchu i wydawało się, jakby nie miały zamiaru nic robić - ot, tak siedzą sobie i patrzą, czekając, co się wydarzy.

Ze wzgórza w stronę mostku schodził olbrzym - był to bardzo rozlazły olbrzym. Z miejsca, w którym stał Cornwall, z ganku, wydawał się on mieć ze dwanaście stóp wysokości, przy ogromie jego ciała głowa wydawała się nieproporcjonalnie mała. „Ma głowę nie większą niż głowa człowieka - pomyślał Cornwall - może nawet nieco mniejszą.” Olbrzym wyglądał, jakby w ogóle nie miał mięśni. Jego ciało było zupełnie sflaczałe. Nosił krótką szkocką spódniczkę i podkoszulek przez jedno ramię. Stapał powoli; jego wielkie platfusowate stopy klapały głośno po ziemi. Długie ramiona zwisały luźno, nie poruszając się w rytm marszu.

Cornwall zszedł wolno po schodkach i skierował się w dół.

- Zostań tu z Beckettem - powiedział do Hala. - Ja zajmę się olbrzymem.

Olbrzym zatrzymał się przed samym mostkiem. Stał na mocno rozkraczonych nogach i zagrzmiął donośnie, by wszyscy mogli go usłyszeć:

- Jestem posłańcem diabłów wcielonych. Mówię do tych wszystkich, którzy znajdują się tu bezprawnie. Przynoszę wam ostrzeżenie. Wracajcie tam, skąd przyszliście. Najpierw jednak musicie oddać tego, który nam uciekł.

Przerwał i czekał na odpowiedź. Cornwalla doszedł z tyłu odgłos szamotaniny i błyskawicznie odwrócił się. Zobaczył, że Beckett wyrwał się Halowi i ucieka w górę wzgórza w kierunku stosu kamieni. Łuk nadal tkwił na jego szyi. Za Beckettem gonił Hal, a reszta dopingowała go z tyłu.

Nagle Beckett skręcił i zniknął, jakby zapadł się pod ziemię. Najwidoczniej ziemia rzeczywiście go

pochłonęła.

Czarownica, kuśtykając z wysiłkiem, wrzasnęła skrzekliwie:

- Teraz się narobiło! Wleciał do jamy wił kołaka!

- Odpowiedzcie mi! - wydarł się olbrzym. - Macie mi natychmiast dać odpowiedź!

Cornwall odwrócił się i spojrzał na niego.

- Jesteśmy zwykłymi pielgrzymami! - krzyknął. - Przybyliśmy szerzyć świętą wiarę. Nie zamierzamy przysparzać nikomu kłopotów. Poszukujemy tylko Prastarych.

Posłaniec zaśmiał się szyderczo.

- Prastarych! Jeśli ich znajdziesz, to się może dla ciebie fatalnie skończyć. Chyba zwariowałeś, żeby ich szukać. A poza tym nikt nie podróżuje do Przekłętej Równiny. To zakazany kraj. Dotarłeś do tego miejsca i dalej ani kroku! Oddawaj więźnia i jazda do domu! — Dodał łagodniej: - Jeżeli tak uczynisz, nie zrobimy tobie ani twoim kompanom nic złego. Gwarantujemy wam bezpieczny powrót do Pogranicza. To ci możemy solennie przyrzec.

- Nie wracamy! - wrzasnął Cornwall. — Nie po to przebyliśmy taki szmat drogi, by teraz zrezygnować. I nie wydamy wam więźnia. Ukaraliście go już wystarczająco, teraz musi odpowiedzieć przed nami.

- Niech tak będzie! - ryknął olbrzym. - Ale wiedzcie, że teraz nie nasze ręce, a wasze będą poplamione krwią!

- Nie ma potrzeby przelewać krwi. Żadne ręce nie będą splamione krwią. Dajcie nam po prostu przejechać. Jak tylko odnajdziemy Prastarych, powrócimy do swojego kraju.

- A co z więźniem? Przed nim wiele mil do przebycia. Będzie jeszcze długo krzyżeć. Jego męki nie skończyły się jeszcze. Skalał naszą świętą ziemię, wkraczając z najeźdźczą armią. Kiedyś, panie bakałarzu, oznaczałoby to wojnę na śmierć i życie. Ale ostatnio staliśmy się dobrodusznymi i spokojnymi. Ciesz się z tego i oddaj nam naszą zabaweczkę.

- Pod jednym warunkiem: że go natychmiast zabijecie. To może brzmi okrutnie, ale żądam tego.

- Dlaczego mielibyśmy to robić? W tych nudnych czasach mamy mało rozrywek i musimy z nich korzystać, gdy tylko nadarzy się okazja. Na pewno nie zamierzamy jej stracić.

- Jeśli wy go nie zabijecie, ja to zrobię.

- Zrób to - ryknął olbrzym - a zajmiesz jego miejsce!

- To się okaże.

- A więc odmawiasz wy dania go?

- Odmawiam.

Olbrzym odwrócił się ociężale i poczłapał w górę wzniesienia. Rząd diabłów wcielonych na szczycie ani drgnął.

Za Cornwallem wybuchła wrzawa. Zerknął w tył. Trolle, gobliny i cała reszta rozpierzchły się na wszystkie strony, a spod ziemi, zza kamieni, wyłoniła się przerażająca postać.

Wiedźma wrzeszczała, waląc mitołą w ziemię:

- Mówiłam, że to będzie drogo kosztowało! Wleciał do jamy wilkołaka. Jeszcze się taki nie narodził, co by bezkarnie grał wił koła kowi na nosie!

Z jamy gramolił się właśnie wilkołak. Wychodził tyłem, widać było jego pochylone plecy i to, że coś ciągnie. Biegając ze wzgórza, Cornwall zobaczył, że wilkołak ciągnie Becketta, popłakującego i czepiającego się palcami ziemi. Wilkołak szarpnął mocno i Beckett wyskoczył z jamy jak korek z butelki szampana. Łuk Hala wciąż tkwił na jego szyi. Wilkołak cisnął Beckettem pogardliwie o ziemię.

- Czy nie czujecie w ogóle respektu?! - krzyknął, nie konkretnie do Becketta, ale do wszystkich wokoło. - Nie można być bezpiecznym we własnym domu! Czy cały świat musi się zwalać na głowę? Dlaczego wszyscy tak sterczycie? Powiedzcie mi, o co tu chodzi.

- Panie wilkołaku - odezwał się Cornwall - jest nam niezmiernie przykro. To stało się przez

przypadek. W żaden sposób nie chcieliśmy zakłócać panu spokoju.

Wilkołak był krępą zabopodobną istotą. Oczy miał jak spodki, z ust wystawały krzywe zęby.

Oblepiony był ziemią, która odpadała małymi kawałkami, gdy się poruszał.

- Coś takiego - mamrotał - nigdy się nie zdarzyło. Swoi wiedzą, jak się w stosunku do mnie zachowywać. Trzeba było obcego, by zrobić to, co zrobiła ta kreatura. Chociaż, zaraz, dawno temu była jedna mała psotnica, zabawiająca się ciskaniem kory, ziemi i innych rzeczy do mojej jamy. Do tej pory nie rozumiem, jaką mogła mieć w tym przyjemność. - Powiódł spojrzeniem spodkowatych oczu dookoła i utkwiał wzrok w Ma-

ry. - I, o ile się nie mylę, tu stoi ta figlarka, dziś już całkiem dorosła, jak widzę, ale to ta samiuteńka. Wiedźma podniosła miotłę.

- Ani kroku dalej! Nawet nie myśl o dotknięciu jej swoimi brudnymi łapami. Ona była tylko małym nieznośnym dzieciakiem, nie chciała zrobić ci krzywdy. Była psotna, pełna pomysłów i radości, a przecież tak mało mamy naturalnej swawoli w tym naszym kraju.

Mary odezwała się:

- Jest mi bardzo przykro. Nie miałam pojęcia, że to ci tak bardzo przeszkadzało. Widzisz, my udawaliśmy, że się ciebie boimy; rzuciwszy patyki i kamyki - jak sobie przypominam, małe patyki i kamyki - obracaliśmy się na pięcie i uciekaliśmy.

- Ty i ten krasnal - rzekł w i l koła k - i Bromeley, zwariowany troll. A zresztą, czy wszystkie trolle nie są lekko świśnięte? Myśleliście, że ja o tym nie wiem, a ja świetnie wiedziałem i śmiałem się do rozpuku. Przypuszczam, że będzie ci trudno uwierzyć, że mogłem się zaśmiewać.

- Nic o tym nie wiedziałam. Gdybym wiedziała, że potrafisz się śmiać, przyszedłabym cię odwiedzić i przedstawiłabym ci się.

- A więc teraz już wiesz - oznajmił wilkołak, sadowiąc się na ziemi - a czas jest wyborny po temu, abyś mi złożyła wizytę. - Poklepał ziemię obok siebie. - Chodź tu, siadaj i pogadamy.

Wiedźma wydała cichy pisk zadowolenia.

- Zrób, jak mówi - szepnęła do Mary - a ja pójdę po imbryk i napijemy się herbatki. - Odwróciła się i pośpieszyła do domu.

Cornwall zobaczył, że Hal z Gibem trzymają mocno Becket-ta, leżącego bez ruchu na ziemi.

- Co z nim robimy? - zapytał Hal.

- Gdyby miało być zgodnie z prawem, powinniśmy ściąć mu głowę. Albo oddać go diabłom, co uważam za odrażające.

- Błagam o łaskę! - zaskomlał Beckett. - Jak chrześcijanin chrześcijanina najpokorniej proszę o łaskę! Nie możesz zostawić brata w Chrystusie na pastwę tej pogańskiej hordy.

- W najlepszym razie jesteś bardzo żalonym chrześcijaninem - rzekł Cornwall. - Wolałbym dziesięciu pogan niż takiego wierzącego. Ponieważ robiłeś, co w twojej mocy, by mnie zabić, nic mnie nie obchodzi, co się z tobą teraz stanie.

- Ale ja nigdy - wrzasnął Beckett, usiłując usiąść - przenigdy nie próbowałem cię zabić! Jakbym mógł?! Zresztą nigdy w życiu cię nie widziałem. Na miłość boską, panie...

- Nazywam się Mark Cornwall, a ty wynająłeś ludzi, aby mnie zabili.

Oliwer, który znalazł się nie wiadomo skąd obok Cornwalla, ryknął na Becketta:

- Próbowałeś go zabić z powodu pewnego manuskryptu, znalezionego w bibliotece w Wyalusing! I byłbyś zabił mnie również, gdybyś tylko mógł. Pamiętasz, był taki mnich, Oswald, który przyleciał do ciebie i naopowiadał ci bajek. A następnego dnia został znaleziony z poderżniętym gardłem.

- Ale to było tak dawno temu! - zawył Beckett. - Odkąd okazałem skrucę...

- Skrucha nic tu nie pomoże - powiedział Cornwall. - Wybieraj: diabły wcielone albo miecz. Taka szuja jak ty nie ma prawa żyć.

- Pozwólcie mi - odezwał się Gib. - Nie powinieneś -zwrócił się do Cornwalla - plamić wspaniałej stali swego miecza taką niecną krwią. Jedno uderzenie mojego topora...

Uchwyt jak kleszcze przytrzymał ramię Cornwalla.

- Skończcie tę gadkę o zabijaniu - zaskrzeczała wiedźma. - Roszczę sobie prawo do jego osoby.

Szkoda by było takiego wspaniałego męskiego ciała. Potrzebny mi ktoś taki. Przez wiele, wiele zimnych nocy nie miałam w łóżku mężczyzny, który by mnie rozgrzewał.

Rzuciła się za Cornwalla i nachyliła, by pomacać Becketta. Wyciągnęła swą szponiastą rękę i pogłaskała go pod brodą. Na jej widok oczy Becketta rozszerzyły się z przerażenia.

- On nie jest wart zachodu - uprzedził Oliwer. - Ucieknie natychmiast, jak tylko będzie miał okazję.

No i są przecież jeszcze diabły wcielone.

- Ha! - zakrzyknęła wiedźma. - To diabelskie nasienie wie,

że ze mną lepiej nie zadzierać. Mam na nich kij od miotły. A jeśli chodzi o ucieczkę, to rzucę na niego czar i gwarantuję, że nie ucieknie. Hej, kochanie - wykrzyknęła uradowana. - Zrobię z ciebie dobry użytek. Jak tylko będę cię miała pod pierzyną, nagnęci ten twój piękny kark. Dam ci taką lekcję miłości, jakiej w życiu nie dostałeś.

- Wydaje mi się. - Cornwall zwrócił się do Becketta - że masz trzy wyjścia: diabły, miecz albo to trzecie...

- To wierutna bzdura! - zaskrzeczała wiedźma. - On nie ma wyboru. Słyszałeś przecie, że mam prawo do niego. - Zrobiła gest obejmowania rękami, a z ust popłynęło mamrotanie. Zatańczyła parę kroków i strzeliła bosymi piętami. - Puście go - rozkazała.

Hal i Gib uwolnili więźnia. Cornwall cofnął się. Beckett na czworakach zaczął płaszczyć się i łąsić do wiedźmy.

- Zupełnie jak jakiś diabelny pies - powiedział zdumiony Cornwall. - Gdyby to na mnie trafiło...

- Spójrzcie na tego pieszczołka! - krzyknęła zachwycona czarownica. - On już mnie polubił. -

Wyciągnęła dłoń i poklepała Becketta po głowie. Beckett aż zamruczał z zadowolenia. - Chodź, idziemy, mój drogi! - Odwróciła się i pokuśtykała do domu, za nią Beckett w podskokach, ciągle

na czworakach.

Kiedy ten cały epizod miał miejsce, resztę towarzystwa znacznie bardziej podniecała myśl o przyjęciu z herbatką. Czarownica przyniosła, z pomocą wielu usłużnych rąk, imbryk i ciasteczka i postawiła wszystko na stole ustawionym przed stosem kamieni, pod którym wilkołak miał jamę. Cornwall rozejrzał się wokoło. Nigdzie nie było śladu olbrzyma ani diabłów. Delikatne słońce jesiennego popołudnia oświetlało pagórek, z dołu dochodziło ciche szemranie strumienia, płynącego pod mostkiem.

- A gdzie są konie? - zapytał Cornwall. Hal odpowiedział:

- Na dole przy strumieniu, na małej łączce, gdzie trawa po kolana i chyba bardzo smaczna. Płaksa ich dobrze pilnuje.

Pędząc na trzech łapach, a w czwartej trzymając kawał ciasta, zjawił się Szop. Hal sięgnął ręką i podniósł go w górę. Szop usadowił się z zadowoleniem w jego ramionach i z błogim wyrazem pyszczka zaczął chrupać ciasto.

- Myślę, że już po wszystkim - rzekł Cornwall. - Przyłączamy się do przyjęcia.

- Zastanawiam się - odezwał się Gib - jak też zareagują diabły, gdy się dowiedzą, że Beckett jest już poza ich zasięgiem. Cornwall wzruszył ramionami.

- Będziemy się o to martwić, gdy zareagują.

Wilkołak wsunął do ust duży kawał ciasta i spojrzał na Corn-walla.

- A kimże jest - zwrócił się do Mary - ten zubożały fajtłapa, który udaje twojego kawalera?

- On wcale nie jest fajtłapa - zaproponowała Mary - i jeśli będziesz nadal takim dowcipnisiem, to poczujesz w pełni siłę jego ramion. - Zwróciła się do Marka: - On tak nie myśli. Po prostu stara się być zabawny.

- Jeżeli tak się zachowuje, gdy ma dobry humor - powiedział Cornwall - to nie chciałbym go widzieć rozżłoszczonego.

- Nie stercz tu tak! - huknął wilk koła k na Corawalla. - Chodź, siadaj tu koło mnie i napij się herbaty. Poczęstowałbym cię też ciasteczkami, ale obawiam się, że już zniknęły. Rzucili się na nie, jakby od tygodnia nie mieli nic w ustach. Nigdy nie widziałem tak żarłocznego towarzystwa.

- Nie mogli być głodni - rzekła Mary. - Nie po uczcie ostatniej nocy!

- Oni po prostu są żarłoczni - stwierdził wilkołak. - Taka ich natura. Mimo swoich pięknych twarzy i pociągającego wyglądu są niczym innym jak tylko i wyłącznie żołądkami, przyłączonymi do bezdennych brzuchów.

Cornwall usiadł obok wilkołaka, a wróżka podała mu filiżankę herbaty. Naczynie było maleńkie i miał trudności z trzymaniem go w swych ogromnych dłoniach. Napelniono je herbatą tylko do połowy, gdyż jej również zaczynało brakować.

- Wilkołak - powiedziała Mary - zaczął mi opowiadać o rodzicach. Wygląda na to, że znał ich dość dobrze.

- Przede wszystkim twojego ojca - rzekł wilkołak. - Mieliśmy wiele wspólnych zainteresowań.

Przesiedzieliśmy tu, w tym miejscu, niejedną wieczór i przegadaliśmy wiele godzin. To inteligentny i pojętny człowiek i rozmowa z nim sprawiała mi szaloną przyjemność. Był uczonym i dżentelmenem zarazem. Żywił głęboki szacunek dla tego kraju i jego mieszkańców i wcale się ich nie bał - co rzadko zdarza się, jeśli chodzi o ludzi. Chociaż jego śliczną żonę widywałem dużo rzadziej, polubiłem bardzo oboje, a ich słodkie dziecko pokochałem jak własne - choć śmieszna wydaje się myśl, że mógłbym być ojcem takiej dziewczynki. Leżałem, odpoczywając w jaskini, gdy ona ciskała do niej kamyki i grudki ziemi, i wyobrażałem sobie ze śmiechem, jak będzie podskakiwać w udawanym dziecięcym przerażeniu.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie trzęsącego się ze śmiechu - powiedział Cornwall.

- To dlatego, szanowny panie, że mnie nie znasz. Mam wiele wybornych, ośmielę się powiedzieć, delikatnych cech, które nie są widoczne na pierwszy rzut oka.

- Jedna rzecz nie daje mi od wczoraj spokoju - rzekła Mary. - Czy moi rodzice mogli należeć do tego samego świata, z którego pochodzi pan Jones, jak sam twierdzi?

- Wiszę - odparł Wilkołak - że może tak być. Nie na podstawie tego, co twoi rodzice powiedzieli czy zrobili, ale od przybycia tego waszego Jonesa wydaje mi się, że widzę pewne podobieństwo: drobne zmiany nastroju, sposób, w jaki przyglądali się rzeczom, pewna wyniosłość, która chwilami graniczyła z arogancją. Nie przybyli tu z tymi wszystkimi magicznymi machinami, które przytargał ze sobą Jones; prawdę mówiąc, przyszli jak skromni pielgrzymi, z tobołkami na plecach. Akurat wygrzewałem się na słońcu, gdy we troje schodziliście z pagórka i przekraczaliście mostek. To był najpiękniejszy widok, jaki oglądały moje stare sowie oczy. Nieśli w tłumokach tylko takie rzeczy, jakie może mieć człowiek żyjący poza Utracją; do tej pory zastanawiam się, czy to było zrobione celowo, by się wydawać tym, kim się w rzeczywistości nie jest.

- Mówisz, że ich polubiłeś? - spytała Mary.

- Istotnie. Bardzo ich polubiłem. To był dla mnie smutny dzień, kiedy odeszli na zachód, w kierunku Przekłętej Równiny. Zamierzali zabrać cię ze sobą, ale odwiódłem ich od tego. Wiedziałem, że nie ma sensu próbować wyperswadować im tej podróży, gdyż byli zdecydowani. Jak wspomniałem, nie mieli w sobie w ogóle strachu. Wierzyli, że jak pójdą tam w pokojowych zamiarach, to będą mogli przejść w spokoju. Myślę, że jedynym powodem, dla którego cię zostawili, było to, że nawet przez chwilę nie dopuścili myśli, że mogą tu nie wrócić. Gdy cię tu zostawili, pocieszali się tym, że oszczędzą ci trudów podróży. Nie jej niebezpieczeństw, gdyż ani razu nie dopuścili do głowy obawy, że mogłoby im grozić jakieś niebezpieczeństwo.

- A więc udali się na zachód - powtórzył Cornwall. — Czego tam poszukiwali?

- Nie jestem pewien. Nigdy mi tego nie powiedzieli. Kiedyś myślałem, że wiem, ale teraz nie jestem pewien. Na pewno czegoś szukali. Miałem wrażenie, że mieli pomysł, gdzie to mogą znaleźć.

- Myślisz, że nie żyją - powiedziała Mary.

- Nie, wcale nie. Rok w rok siadywałem u wejścia do jamy i wyglądałem ich. Nie spodziewałem się, szczerze mówiąc, że powrócą o jakiejś konkretnej porze. Gdybym ich ujrzał, nie byłbym zdziwiony. Było w nich coś niezniszczalnego, mimo całej delikatności. Jakby byli nieśmiertelni, jakby śmierć była nie dla nich. Wiem, że to brzmi dziwnie, i niewątpliwie myślę się, ale czasami ma się takie uczucie, które niewiele ma wspólnego z rozumem. Widziałem, jak nas opuszczali, patrzyłem za nimi, póki nie zginęli mi z oczu. A teraz chyba zobaczę, jak wy odchodzicie, bo o ile się nie mylę, macie zamiar iść ich śladem. I ona idzie z wami. Jak przypuszczam, jej też nic nie powstrzyma.

- Chciałbym, żeby jednak coś ją powstrzymało - rzekł Cornwall.

- To niemożliwe — stwierdziła Mary. - Dopóki tylko istnieje szansa odnalezienia ich.

- I co mam na to powiedzieć? - zapytał Cornwall.

- Nic - rzekł Wilkołak. - Mam nadzieję, że lepiej posługujesz się mieczem, niż cię o to posądzam. Nie wyglądasz mi na szermierza. Pachniesz książkami i inkaustem.

- Masz rację, ale podążam w doborowym towarzystwie. Mam dzielnych kompanów i miecz ze szlachetnego kruszcu. Szkoda tylko, że nie mam większej wprawy we władaniu nim.

- Sugerowałbym - powiedział Wilkołak - żebyście dołączyli do waszej grupy jeszcze kogoś, kto by ją wzmocnił.

- Masz na myśli Jonesa? - spytał Cornwall. Wilkołak potaknął.

- On rozgłasza wszem i wobec, że jest tchórzem. Ale tchórzostwo to wielka zaleta. Odwaga to choroba, zbyt często śmiertelna. To taka cecha, która sprawia, że się ginie. Jones nie daje jej żadnych szans; nie przystąpi do niczego, póki nie jest pewny, że plusy górują nad minusami.

Sugerowałbym, by zabrał ze sobą jakąś potężną broń, choć nie mam pojęcia, co by to mogło być.

Zna czary, ale inne od naszych - bardziej subtelne i bardziej brutalne - a ponadto to człowiek,

którego dobrze mieć przy sobie.

- Nie wiem - zawahał się Cornwall. - Jest w nim coś, co powoduje, że nie czuję się w jego obecności najswobodniej.

- Moc jego czarów - ocenił wilkołak. - Moc i ich zakres. I fakt, że są nam zupełnie obce.

- Może masz rację. Wspomnę mu o tym.

- Myślę - wtrąciła Mary - że on tylko czeka, żebyś to zrobił. Chce iść w głąb Utracji i boi się iść sam.

- A ty? - spytał Cornwall wilkołaka. - Przyłączysz się do nas?

- Nie, niestety nie. Już dawno skończyłem z szaleństwami.

dociąż tak naprawdę nigdy nie postępowałem nierozsądnie. Wstąpiłem w taki okres życia, kiedy spanie w jaskini i siedzenie u jej wejścia, by obserwować, jak toczy się świat, jest wszystkim, czego potrzebuję i pragnę.

- Powiedz chociaż, czego się mamy spodziewać.

- To tylko pogłoski - odparł wilkołak - a takich jest wiele. Każdy może je wam powtórzyć i byłibyście głupcami, gdybyście przywiązywali do nich wagę. — Spojrzał na Cornwalla. -A ty na pewno głupcem nie jesteś.

Obóz Jonesa wyglądał na opuszczony. Nadal stały tam trzy namioty w pasy, ale wokół nich nie było żywego ducha. Na nie sprzątniętym stole z desek i na wygasłym już ognisku, na którym ludek przygotował ucztę, wałały się poogryzane kości, gdzieniegdzie kufel od piwa. Dwie beczki ciągle leżały na kozłach, gdzie umieszczono je dla odszpuntowania. Ostry wiatr szalał między drzewami i wzbijał tumany kurzu na drodze wiodącej do pobojuwiska.

Mary wzdrygnęła się.

- Pusto tu po nocy. Gdzie się wszyscy podziali?

Dwa konie, na których dojechali do obozowiska, z niecierpliwością przebierały nogami, oczekując,

kiedy będą mogły wrócić na pastwisko z trawą po kolana. Podrzuciły głowami, pobrzękując metalowymi częściami uzd.

- Jones - powiedział Cornwall. Miał zamiar krzyknąć, ale w tym momencie jakaś podświadoma przezorność ograniczyła siłę jego płuc i wydobyło się z niego normalnie wypowiedziane, jakby w rozmowie, słowo. - Zobaczmy - dodał. Poszedł w kierunku największego namiotu. Mary za nim.

W namiocie nie było nikogo. W rogu nadal stały: wojskowa prycza, stół i krzesło. Przeciwległy róg był zasłonięty ciemną materią, za którą znajdowała się duża metalowa skrzynia. To, co Jones nazywał kamerami, zniknęło. Jak również pudełka, w których trzymał małe kolorowe miniaturki, a także wszystkie inne tajemnicze rzeczy, które leżały na stole.

- Odszedł - stwierdził Cornwall. - Opuścił ten świat. Wrócił do własnego. - Usiadł na pryczy i splótł ręce. - Jeszcze tyle rzeczy mógł nam wyjaśnić - rzekł na poły do siebie samego. - Między innymi to, o czym zaczął mi mówić ostatniej nocy, póki nie zjawiły się diabły wcielone.

Rozejrzał się po namiocie i po raz pierwszy odczuł jego obcość, fakt, że pochodził z innego świata.

Nie tyle sam namiot czy znajdujący się w nim sprzęt, gdyż nie był wcale taki inny, odczuwało się tu jednak jakąś odmiennność, jakiś tajemniczy charakter, zapach innego pochodzenia, z innej epoki.

I po raz pierwszy od początku wyprawy poczuł przejmujący dreszcz strachu i ogarnęło go uczucie samotności.

Podniósł wzrok na Mary stojącą obok pryczy. W tej przedziwnej chwili twarz dziewczyny stała się całym światem; jej twarz i oczy zatopione w jego własnych.

- Mary - szepnął, ledwie świadomy, że to mówi. Wyciągnął ręce i znalazła się w jego ramionach.

Objęła go mocno, a on przycisnął ją do siebie, czując jej miękkość i uległość w kontraście z twardością jego ciała. Znalazł pociechę i radość w jej ciepłe, zapachu i kształtach.

Wyszeptała mu do ucha:

- Mark, Mark, Mark. - Jakby to była modlitwa, jakby to było ślubowanie.

Obejmując ją mocniej, przyciągnął delikatnie na pryczę i pochylił się nad nią. Podniosła głowę, by go pocałować. Pocałunek trwał i trwał. Wsunął rękę pod jej sukienkę i poczuł ciało -miękką krągłość piersi, sprężystą gładkość brzucha, delikatną bujność łona.

Cały świat dobijał się do niego, usiłując wejść, lecz on był nieczuły na pukanie. Zamknął się w zacisznym kątku, w którym był tylko on i Mary. Tylko ich dwoje. Nic nie było ważne, tylko oni.

Poła namiotu poruszyła się i ktoś zawołał napiętym głosem:

- Mark, gdzie jesteś?!

Powrócił z zakątka i patrzył na postać stojącą w wejściu. Speszony Hal rzekł:

- Przepraszam, bardzo przepraszam, że przeszkadzam we flircie.

Cornwall pośpiesznie wstał.

- A niech cię wszyscy diabli! - ryknął. - To nie jest żaden flirt!

Ruszył gniewnie ku Halowi, ale Mary złapała go za rękę.

- Daj spokój, Mark, co robisz!

- Raz jeszcze przepraszam was oboje - rzekł Hal. - To było bardzo nie na miejscu z mojej strony.

Ale musiałem was ostrzec. Diabły wcielone wężą w pobliżu.

Do namiotu wpadł Gib.

- Co was opętało - zapytał gniewnym tonem — aby oddalić się tylko we dwoje? Bez nas?!

- Było tak spokojnie - odrzekł Cornwall. - Wydawało nam się, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

- Tu zawsze czai się niebezpieczeństwo. Dopóki nie opuścimy tego barbarzyńskiego kraju, nie będziemy mogli spać spokojnie.

- Chciałem znaleźć Jonesa i spytać, czy nie przyłączyłby się do nas. Ale wygląda na to, że już odszedł. I chyba nie ma zamiaru tu wrócić.

- Nie potrzebujemy Jonesa - powiedział Hal. - Nas czterech, z Oliwerem i Płaksą, zupełnie

wystarczy. Oczywiście nie parami, a całą czwórką.

Ludkowie opuścili ich. Podróżowali zupełnie sami, w szóstkę. Zbliżał się wieczór i krajobraz zmienił się nieco. Pięć mil od wzgórza, na którym stał Dom Czarownicy, zaczynała się Przekłeta Równina. Okazała się pełnym pustkowiem. Tu

i tam znajdowały się wędrujące wydmy, między nimi ziemia była spękana i jałowa. Wysuszona nasiano trawa płożyła się na niżej położonych terenach, gdzie niegdyś podchodziła woda, lecz teraz nie zostało po niej śladu. Rzadko stojące martwe drzewa podnosiły swe szkielety, podobne kościstym dłoniom, ponad ziemię, kierując ku niebu połamane palce.

Trzy konie obładowano jukami z wodą, na pozostałych dwóch jechali na zmianę uczestnicy wyprawy. Wczesnym rankiem Mary zbuntowała się przeciw tajemniczemu spiskowi, w rezultacie którego jeden z pozostałych po zakończeniu kolejki przejazdów został jej odstąpiony, i odmówiwszy maszerowała dzielnie. Z wyjątkiem terenów obfitujących w wydmy bez trudu posuwali się do przodu, robili jednak dziennie o wiele mniej mil, niż gdyby wszyscy jechali konno. Całą grupę prowadzili Cornwall i Hal. Hal spojrzął na słońce.

- Będziemy musieli niedługo stanąć - powiedział. - Wszyscy jesteście zmęczeni i trzeba by rozbić obóz, zanim zapadnie zmrok. Co powiecie na to wzgórze tam na lewo? Ze wzniesienia będzie nam łatwiej obserwować teren. Widzę, że są tam suche drzewa, dobre na ognisko.

- Jeśli rozpalimy ogień - rzekł Cornwall - będzie nas widać z daleka.

Hal wzruszył ramionami.

- I tak się nie ukryjemy. I ty o tym dobrze wiesz. Może teraz nikt nas nie obserwuje, ale wiedzą, że wyruszyliśmy i gdzie nas szukać.

- Diabły wcielone, je masz na myśli?

- Kto to wie. Może one, może coś innego.

- Nie wydaje mi się, żebyś się specjalnie martwił.

- Oczywiście, że się martwię. Tylko głupcy nie martwią się i nie czują strachu. Najlepszą radę dał nam wilkołak. „Nie idźcie” -powiedział. Ale musimy. Byłoby bez sensu dotrzeć tak daleko, a potem zaniechać wyprawy.

- Zgadzam się z tobą w zupełności.

- W każdym wypadku ty i Gib kontynuowalibyście wę-

drówkę, nawet tylko we dwóch - zauważył Hal. - Więc nie wypadało, aby reszta nas zwlekała z decyzją.

- Nie widziałem, by ktoś się ociągał - rzekł Cornwall.

Posuwali się dalej w milczeniu; słychać było chrzęst piachu i kamieni pod stopami. Zbliżali się do wzgórza, które wskazał im Hal.

- Zgadzacie się na to wzgórze? - zapytał. Cornwall potaknął.

- Ty znasz najlepiej las.

- Tam nie ma drzew.

- Niemniej jest wzgórze. Jako mieszczuch nie znam się na takich sprawach.

Gdy weszli na szczyt, Hal wskazał głęboką dolinę, wrzynającą się w bok wzgórza.

- Tam jest wysuszona trawa. Konie mogą popaść się trochę przed nocą. Potem przyprowadzimy je do obozowiska. Gdy wszyscy zgromadzili się, Hal objął dowodzenie.

- Mark, napoisz konie, a potem zaprowadzisz na trawę. Przed zapadnięciem zmroku przywiedziesz je z powrotem i dobrze uwiążesz. Mary, ty zostaniesz na czatach. Rozglądaj się wokoło i krzycz, kiedy coś zobaczysz. Reszta ma pozbierać suche drewno, leżące w tej kępie drzew. Będziemy go dużo potrzebować.

Gdy Cornwall wrócił z końmi, ognisko już paliło się. Mary gotowała. Płaksa i Oliwer stali na warcie. Hal uwiązywał konie.

- Chodź tu i zjedz coś - rzekł do Cornwalla. - My już jedliśmy.

- AgdzieGib?

- Na zwiadach.

Słońce już zaszło; niebo jaśniało łuną na zachodzie świat skąpany był w purpurowym świetle.

Wokoło rozciągała się kraina cieni.

- Księżyc wzejdzie za jakąś godzinę - ocenił Hal. Cornwall usiadł na ziemi przy ognisku.

- Głodnyś? - zapytała Mary.

- Jak wilk. I zmęczony. A ty?

- W porządku - odparła, nakładając mu jedzenie na talerz. - Placki kukurydziane i trochę bekonu, ale za to dużo sosu. Jest bardzo tłusty. Mam nadzieję, że nie będzie ci to przeszkadzało. Nie było świeżego mięsa. Hal nic nie upolował. Tu są tylko dzikie króliki, ale nie sposób ich ustrzelić. -

Usiadła obok Corn-walla i przysunęła się bliźiutko, unosząc twarz, by ją pocałował. - Muszę pogadać z tobą, zanim inni wrócą. Miałam rozmowę z Oliwerem. Chciał rozmówić się z tobą, ale powiedziałam mu, że ja to zrobię. Pomyślałam sobie, że tak będzie lepiej.

Cornwall wyglądał na rozbawionego.

- Cóż takiego miał ci do powiedzenia Oliwer?

- Pamiętasz, co było w namiocie?

- Nigdy nie zapomnę. A ty? A ty, Mary?

- Ja też będę zawsze pamiętała. Ale nie możemy tak dalej. Oliwer tak powiedział.

- Co, u diabła, Oliwer ma z tym wspólnego? Z tobą i mną? Oczywiście, jeżeli czujesz to samo, co ja. Objęła jego ramię i położyła na nim głowę.

- Tak, czuję. Przez te wszystkie długie dni nawet mnie nie zauważałeś. I nagle to się stało. Gdy mnie objąłeś, chciało mi się krzyczeć z radości. Jesteś pierwszym - musisz to zrozumieć - jesteś pierwszym mężczyzną. Prawda, byłam popychadłem, ale nigdy...

- Nigdy nie myślałem, nigdy nie pomyślałem, tam w namiocie, nigdy nie uważałem cię za łatwą

dziewkę z karczmy.

- Ale Oliwer...

- CotoOliwera...

Puściła jego ramię i zwróciła ku niemu twarz.

- Wyjaśnił mi. Był zakłopotany, ale wyjaśnił mi. Powiedział, że muszę pozostać dziewicą; że porozmawia z tobą, ale ja odrzekłam...

Cornwall usiłował zerwać się na nogi, ale Mary przytrzymała go za pasek i pociągnęła z powrotem; talerz z jedzeniem spadł na ziemię.

- Zobacz, co zrobiłeś! - powiedziała Mary.

- Ten diabelny Oliwer! Ukręcę mu łeb jak kurczakowi! Jakim prawem...

- Róg. Róg jednorożca, nie rozumiesz? Magia rogu.

- O mój Boże!

- Wyjęłam go z drzewa. Tylko ja mogłam to zrobić, i to tylko dlatego, że nie miałam dotąd mężczyzny. Róg ma wielką moc magiczną, ale wyłącznie w moich rękach. Oliwer uważa, że mamy tak niewiele rzeczy, które mogłyby nam pomóc, że możemy potrzebować mocy rogu i że tego nie wolno nam zaprzepaścić. Powiedziałam mu, że ci to spróbuję wyjaśnić... Nie było łatwo, ale już po wszystkim. Wiedziałam, co może się stać, jeśli on ci to powie. Nie możemy sobie na coś takiego pozwolić. Musimy trzymać się razem, a nie walczyć przeciw sobie.

- Przepraszam. Przykro mi, że musiałaś mi o tym powiedzieć. Powinienem był sam do tego dojść.

Szkoda, że o tym nie pomyślałem.

- Oboje nie pomyśleliśmy. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie było czasu. Czy to każdemu, mój ukochany, zdarza się tak nagle? - Oparła się o niego, a on objął ją.

- Nie - odparł. - Myślę, że nie. Ale ja nie mogłem się oprzeć.

- Ja też. Pragnęłam cię tak mocno. Nie miałam o tym pojęcia aż do tamtej chwili. Ale wtedy to

sobie uświadomiłam. W każdej kobiecie drzemie ukryta dziewczka. Potrzeba dotyku właściwego mężczyzny, by ją obudzić.

- To nie będzie trwało wiecznie - pocieszył Mary. - Nadejdzie czas, gdy nie będziemy potrzebowali magii rogu. Do tego czasu możemy poczekać.

Przysunęła się bliżej.

- Jeśli stanie się tak, że nie będziemy mogli dłużej czekać, zapomnimy o magii.

Płomyk rozpalił się mocniej, gdy zajął się większy kawałek drewna, i po chwili zgasł. Na wschodzie niebo pojaśniało, zwiastując pojawienie się księżyca. Gwiazdy migotały na niebie.

Rozległy się z tyłu szurające kroki. Mary podniosła się i powiedziała do Marka:

- Przyniosę ci następną porcję. Jeszcze dużo zostało.

Czwartego dnia po południu ujrzeli Zamek Bestii Chaosu. Zobaczyli go po wspięciu się na wysokie wzgórze, przedzielone na dwie części głęboko wyżłobioną doliną, która powstała w czasach, gdy była tam jeszcze woda. Ziemia, wystawiona na działanie bezlitosnego słońca, była spękana, a powietrze mieniło się czerwono, różowo i żółto.

Zamek wyglądał na mocno zniszczony. Kiedyś musiała to być imponująca budowla, ale z jej wspaniałości niewiele pozostało. Wieże rozpadały się w zwały gruzu leżące pod murami. Same mury były poprzecinane zygzakowatymi szczelinami, gdzieniegdzie wzdłuż blanków rosły nawet małe drzewka.

Zatrzymali się na szczycie wzgórza i przyglądali zamkowi poprzez głęboki i poszarpany wąwóz.

- Taką ma groźną nazwę - powiedział Płaksa - a patrzcie, przecież to kupa gruzów!

- Ale ciągle stanowi zagrożenie - odpowiedział mu Oliwer. - Nadal może zaskoczyć czymś wielce niebezpiecznym.

- Nie widać tu znaku życia - zauważył Gib. - Równie dobrze może być opuszczony. Zaczynam wierzyć, że w tej krainie rzeczywiście nie ma żywego ducha.

- Cztery dni upłynęły i nie widzieliśmy niczego, co by się poruszało, poza dzikimi królikami i - rzadziej - susłami.

- Może powinniśmy spróbować obejść go wokół - zasugerowała Mary. - Zawróćmy i...

- Jeżeli tam ktoś się ukrywa - przerwał jej Hal - to już wie, że przybyliśmy.

Mary zwróciła się do Cornwalla:

- Co o tym sądzisz, Mark?

- Hal ma rację. Widzę jakby ścieżkę prowadzącą przez dolinę. Prawdopodobnie to jedyne miejsce na przestrzeni mil, w którym można przejść tę dolinę. To, co powiedział Gib, również może okazać się prawdą. Zamek może być opuszczony.

- Tam, skąd przybyliśmy, wszyscy w kółko gadali o Bestii Chaosu. Tak, jakby żyła.

- Legendy nie umierają szybko - wyjaśnił Płaksa. - Raz stworzona legenda długo trwa. Niewielu zapewne przeszło przez tę ziemię. Może nie mamy ostatnich wieści.

Hal zaczął schodzić do doliny, prowadząc jednego z koni. Inni podążyli za nim, poruszając się ostrożnie; ścieżka była stroma i zdradliwa. Cornwall, idąc za Halem, obserwował Szopa, który utrzymywał się balansując na bukłakach na grzbiecie konia. Szop wykrzywił się do Hala i mocniej wczepił pazurami, gdy koń zachwiał się na niepewnym gruncie. Po chwili wierzchołek odzyskał równowagę i już spokojnie schodzili dalej.

Szop sprawiał wrażenie wyczerpanego. Nie był już tym żwawym zwierzęciem, które wyruszało w podróż. „Ale przecież wszyscy jesteśmy zmęczeni” - pomyślał Cornwall. Dni i mile wycisnęły na nich swe piętno. To był męczący marsz i nikt nie wiedział, czy blisko do jego końca, gdyż topografia Utracji była zupełną zagadką. Wyznaczali marszrutę na podstawie charakterystycznych punktów ukształtowania terenu, ale często były one źle określone, a czasami znajdowały się w zupełnie innym miejscu. „Najpierw Dom Czarownicy - pomyślał, przypominając sobie główne punkty orientacyjne - dalej Przeklęta Równina, a teraz Zamek Bestii Chaosu. Na końcu Mroczne

Turnie, czymkolwiek by były." Pamiętał, że mówiono mu o Tym, Który Wysiaduje w Górach, i zastanawiał się, raczej na próżno, czy któraś z Mrocznych Turni będzie tą, na której on wysiaduje. Gdy osiągną Mroczne 'Hirnie, Prastarzy powinni być już chyba blisko - tak przecież powiedział Jones. Ale, z drugiej strony, to, co mówił Jones, było niczym innym jak powtarzaniem pogłosek, które słyszał od swoich ludków. Nie było żadnego sprawdzonego faktu, żadnej pewnej wiadomości. Po prostu idziesz w pewnym kierunku, błędzisz i cały czas masz nadzieję, że we właściwym momencie natrafisz na to, czego szukasz.

Doszli do dna wąwozu i teraz wspinali się w górę; konie szły przodem, zaniepokojone zdradliwą, nierówną ścieżką.

Cornwall nie patrzył w górę, by ocenić, jak daleko zaszli.

Miał wzrok utkwiony w ścieżce i uważał, by nie osunąć się i nie wpaść pod kopyta konia idącego za nim. Dlatego koniec wspinaczki zaskoczył go. Ścieżka nagle skończyła się i znalazł się na równym terenie. Wyprostował się i spojrzął na rozciągającą się przed nimi równinę. A ta nie była już pusta. Było na niej aż czarno od diabłów wcielonych.

Znajdowały się jeszcze w pewnym oddaleniu, ale zbliżały się, pędząc dużymi susami. Na czele całej zgrai biegł olbrzym, z którym Cornwall przekrzykiwał się przed Domem Czarownicy.

Olbrzym trząsał się cały i ciężko klapał swymi plackowatymi stopami, wznosząc tumany kurzu, niemniej utrzymywał się stale na czele podążającej za nim bandy.

Hal stanął u boku Cornwalla, ze strzałą nałożoną na cięciwę. Nie widać było po nim żadnych emocji. Stał wyprostowany, bez ruchu, w pełnym spokoju oczekiwaniu, jakby to, co się przed nim rozgrywało, było fragmentem zawodów łuczniczych.

„A przecież on wie - przemknęło przez myśl przerażonemu Cornwallowi - wie równie dobrze jak ja, że nie wytrzymamy tej szarży, że to nasz koniec, że uderzenie atakujących diabłów zmiecie nas z powrotem do wąwozu, gdzie nas po kolei wyłapią.

Skąd one się tu wzięły? Nic nie wskazywało na to, że są w okolicy. Czy to możliwe, żeby były mieszkańcami zamku i miały w nim swoją siedzibę?"

Jego ręka powędrowała do rękojeści miecza. Jednym ruchem wyszarpnął broń z pochwy. Sam był zaskoczony, że zdążył zauważyć, jak wspaniale błysnęło w słońcu ostrze. I w jakiś przedziwny sposób ten błysk popchnął go do działania - do heroicznego czynu, o którego dokonanie nigdy by siebie nie podejrzewał. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ruszył do przodu; uniósł miecz i zakręcił nim nad głową, tak że powstał krąg światła. Z piersi wyrwał mu się okrzyk, przeraźliwe wyzwanie bez słów, po prostu ryk, jaki mógłby wydać z siebie rozwścieczony byk, usiłujący z pastwiska przegonić intruza.

Ponownie zakręcił mieczem, nadal rycząc pieśń bojową. Gdy kolejny raz zatoczył nim koło, rękojeść wysliznęła mu się z dłoni; stał na uginających się nagle nogach, bezbronny i bezradny jak dziecko.

„Słodki Jezu - pomyślał - co ja najlepszego zrobiłem? Nie powinienem był opuszczać Wyalusing, nie powinienem był znaleźć się w tym miejscu. Co sobie wszyscy o mnie pomyślą -jełop, który nawet nie potrafi posługiwać się mieczem."

Zebrał się do skoku, by odzyskać broń; modlił się w duchu, by nie upadła zbyt daleko.

Ale miecz nie upadł. Nadal wirował, tworząc świetlne koło, zmierzające wprost ku rozlazłemu olbrzymowi. Ten zaś, biegnąc niezgrabnie, próbował przed nim umknąć, lecz był zbyt wolny, a do tego zauważył go zbyt późno. Ostrze miecza uderzyło olbrzymia prosto w szyję i zaczynał padać, jakby się potknął. Obfita fontanna krwi trysnęła mu z gardła, zalewając go całego i wszystko wokół. Upadł z hukiem na ziemię, jeszcze przetoczył się kawałek, pokrywając wyschniętym błotem. W tym czasie miecz wrócił wirując do Cornwalla. Ten wyciągnął odruchowo rękę i złapał za rękojeść.

- Mówiłem ci - szepnął stojący obok Płaksa - że ten miecz ma czarodziejską moc. Ale nawet nie

marzyłem, że aż taką. Może akurat w twoich rękach. Posługujesz się nim po mistrzowsku.

Cornwall nie odpowiedział. Nie mógł odpowiedzieć; stał z mieczem w ręku, zupełnie oniemiały.

Sfóra diabłów wcielonych zaczęła się wycofywać.

- Nie cieszcie się przedwcześnie - ostrzegł Hal. - One tu jeszcze wrócą.

- Nie byłbym tego taki pewien - odparł Gib. - Nie spodobał im się ten miecz. Wystraszył je.

Szkoda, że moja siekiera nie ma takiej mocy. Wtedy pokazalibyśmy im, gdzie raki zimują.

- Patrzcie, tam coś się dzieje - powiedziała cicho Mary. - O tam, spójrzcie w kierunku zamku!

Spod jednej z bram zamku wyłoniła się smuga mgły i popłynęła w ich kierunku.

- A to co takiego! - krzyknął Hal. - Jakby nie dość było kłopotów...

- Szybko! - ponaglił Płaksa. - Wejdźcie w mgłę. Poprowa-

dzi was do zamku. Dajcie się jej otulić. Diabły nie będą śmiały wejść do zamku. Tam będziemy bezpieczni.

- W zamku?! - wykrzyknął z niedowierzaniem Cornwall.

- Czeka nas tu pewna śmierć - rzekł Płaksa. - Uważam, że musimy spróbować u Bestii Chaosu.

- Zgadzam się z Płaksa - powiedział Oliwer.

- W porządku - poddał się Cornwall. - Chodźmy. Mgła już prawie dotarła do nich.

- Idźcie przodem - polecił Cornwall. - Ja będę zamykał pochód.

- A ja, panie bakałarzu - rzekł Gib - razem z tobą.

Czmychnęli w dół korytarzem z mgły.

Z zewnątrz dochodziło wściekłe, skowyczące ujadanie oszukanych diabłów.

Dopadli biegiem do zamkowych wrót i przekroczyli je. Po chwili usłyszeli, jak ciężka krata opadła za nimi z ogłuszającym hukiem.

Dziedziniec zamkowy wypełniony był gęstą mgłą, która powoli zaczynała się rozpraszać i podnosić. To, co ujrzeli, zmroziło ich wszystkich. Na wprost nich stał rząd potworków.

Żadna grupa nie poruszyła się. Stały naprzeciw siebie i przyglądały się sobie badawczo.

Nie było dwóch podobnych stworów; każdy był ohydny w inny sposób. Jedne były przysadziste, z obwisłymi skrzydłami, które ciągnęły się za nimi po ziemi, inne - półludzkimi, półropuchowatymi stworzeniami o szerokich pyskach, ociekających śliną. Ciało niektórych z nich gniły; odpadały im całe kawały. Był tam jeden z gigantycznym brzuchem i umieszczoną na nim obleśną gębą. Było wiele innych. Wszystkie przerażające i okropne.

Mary odwróciła się i ukryła twarz na piersi Cornwalla. Gib stał z rozdziawionymi ustami.

Wielkie Brzuszysko wysunęło się przed szereg i kołysząc się kaczkowato, podeszło do nich. Małe wargi na brzuchu zagadały. Rzekły:

- Potrzebujemy waszej pomocy. Bestia Chaosu nie żyje.

Gospodarze zaproponowali im komnaty zanikowe, ale nie skorzystali z zaproszenia i rozbili obóz na dziedzińcu. Znaleźli tam dużo drewna na ognisko, i teraz pół tuzina chudziutkich kurczaków dusiło się w kociołku nad ogniem.

- Tylko tak je można przyrządzić - rzekła Mary. - I tak pewnie będą twarde.

Gospodarze przynieśli im również trzy wielkie bochny świeżo upieczonego chleba i koszyk warzyw - marchewek, fasoli i dyń. Zrobiwszy to, zniknęli.

Z odległego końca dziedzińca doleciało gdakanie.

- To znów Szop - uśmiechnął się Hal. - Goni kurczaki. Powiedziałem mu, że dostanie kawałek ugotowanego, ale on lubi sam sobie upolować posiłek.

Słońce zaszło i powoli zapadał wieczorny mrok. Siedzieli wokół ogniska, czekając na kolację. Nad nimi majaczyły omszałe mury starego zamczyska. Kościste kurczaki łąziły po dziedzińcu, grzebiąc bezustannie w ziemi. Równie chude świny ryły w kupach gruzu. Połowa dziedzińca była zmieniona w ogródek, otoczony rachitycznym płotem. Nie było w nim już prawie nic, jedynie parę główek kapusty i rządki rzepy, czekającej na wykopanie.

- Jestem ciekaw, skąd wiedziałeś, że będziemy bezpieczni we mgle - spytał Cornwall Płaksę.

- Chyba instynktownie. Pensum wiedzy, o której nie wiesz, że ją masz, a która w rzeczywistości działa samoczynnie. Nazwijmy to po waszemu przeczuciem. Żaden człowiek czegoś takiego nie ma. Ja tak. Jakaś klapka we mnie otwarła się i od razu wiedziałem.

- A co teraz?

- Nie wiem. Do tej pory byliśmy bezpieczni. Muszę przyznać, że nic nie rozumiem. Mówią, że Bestia Chaosu nie żyje i że potrzebują naszej pomocy. Nie mogę sobie wyobrazić, jakiej pomocy oczekują i dlaczego właśnie od nas. Niepokoi mnie

ta cała sytuacja. Oni wyglądają jak chore odpryski naszego świata - nie są ani ludkami, ani prawdziwymi potworami. Są czymś zupełnie innym. Czasami słyszało się różne fantastyczne opowieści o takich stworach, ale nikt ich nie widział. Jeśli chcecie mnie spytać o Bestię Chaosu, to od razu wam powiem, że wiem niewiele więcej niż wy.

- Tak czy owak - zauważył Gib - na razie zostawiają nas w spokoju. Przynoszą nam jedzenie i znikają. Być może dają nam czas, żebyśmy się do nich przyzwyczaili. Jeśli tak, to się cieszę. Choć szkoda mi ich, muszę przyznać, że zatyka mnie na ich widok.

- Będziesz musiał przyzwyczaić się do nich - rzekł Corn-wall. - Oni muszą tu wrócić. Przecież czegoś chcą od nas.

- Mam nadzieję - powiedział Hal - że najpierw pozwolą nam zjeść.

Pozwolili. Kolacja skończyła się i zapadła noc. Hal dołożył do ogniska, tak że oświetlało ono większą część dziedzińca.

Było ich tylko trzech: Brzuszyso, Ropuch i trzeci, wyglądający jak lis, który zaczął przemieniać się w człowieka i w połowie przestał.

Podeszli do ogniska i usiedli. Lisowaty wyszczerzył długi pysk, pełen zębów. Inni nawet nie próbowali się uśmiechać.

- Czy jest wam wygodnie? - zapytał Ropuch. - Czy dobrze sobie pojedliście?
- Tak - odparł Cornwall. - Dziękujemy wam pięknie.
- Na górze czekają na was komnaty.
- Dzięki, ale nie będziemy czuć się dobrze bez ogniska i odkrytego nieba.
- Rzadko tu się widzi ludzi — stwierdził Lisowaty, szczerząc się znowu, by okazać przyjazne zamiary. - A dwoje z was jest ludźmi.
- Macie coś przeciwko ludziom? - spytał Hal.
- Nie, wręcz przeciwnie. Potrzebujemy kogoś, kto by sienie bał.
- Możemy być tak samo wystraszeni jak wy - rzekł Cornwall.
- Może tak, ale nie z tych samych powodów. Nie będziecie bać się Bestii Chaosu w takim stopniu jak my.
- Ale przecież Bestia nie żyje.
- Często nadal boisz się czegoś, choć tego już nie ma. Jeśli przerażało cię, kiedy istniało.
- Skoro tak się boicie, to dlaczego stąd nie odejdziecie?
- Ponieważ - włączył się Ropuch - mamy coś do zrobienia. Bestia kazała nam to wykonać po swojej śmierci. Rzuciła na nas klątwę. Wiemy, że musimy to zrobić, ale boimy się.
- I chcecie, żebyśmy was wyręczyli?
- Dla was to będzie drobnostka - powiedział Brzuszysko. - Nie znaliście Bestii Chaosu, nie widzieliście, jakie rzeczy potrafiła wyprawiać.
- Skoro jest martwa, to nic już nie może - rzekł Gib.
- Powtarzamy to sobie — odparł Lisowaty - ale nie możemy w to uwierzyć. Powtarzamy sobie w kółko i w kółko, ale bezskutecznie.
- Opowiedzcie nam o tej waszej Bestii - poprosił Cornwall. Spoglądali po sobie z wahaniem.
- Opowiedzcie - powtórzył. - Jeżeli nie opowiecie nam, nie dogadamy się. A musimy przecież

zawrzeć umowę. Wykonamy za was tę czarną robotę, ale co wy zrobicie dla nas?

- No, myśleliśmy, że...

- Myśleliście, że ponieważ pomogliście nam dziś po południu...

- Tak - odrzekł Brzuszysko. - Coś w tym rodzaju.

- Trudno powiedzieć, w jakim stopniu nam pomogliście - oświadczył Hal. - Całkiem nieźle dawaliśmy sobie radę. Z magicznym mieczem Marka, moim kołczanem pełnym strzał, Gi-bem i jego siekierą...

- To jednak była pomoc - odezwała się Mary.

- Nie daj się tym cwaniakom ogłupić - ostrzegł Płaksa. - Mają jakąś parszywą robotę...

- Przyznaję - powiedział Cornwall - zarobiliście parę punktów dzisiejszego popołudnia, ale wydaje mi się, że to za mało, jeśli chodzi o waszą prośbę.

- Targujecie się? - zapytał Lisowaty.

- Powiedzmy, że chcemy wnikliwiej przedyskutować sprawę.

- Dołożymy worek kurczaków. Może prosiaka lub dwa. Cornwall milczał.

- Możemy podkuć wasze konie—zaoferował Ropuch.—Mamy tu kuźnię.

- Zaczęliśmy od niewłaściwej strony — zwrócił się do swoich Gib. - Najpierw powinniśmy się dowiedzieć, co za sprawę mamy za nich załatwić. To może być coś, czego nie będziemy chcieli się podjąć.

- To bardzo łatwe - powiedział Brzuszysko. - Żadnego wysiłku. Przy założeniu, że naprawdę nie boicie się Bestii. Możecie czuć pewną obawę, ale nie paniczny strach, który nas paraliżuje. Nawet jak wypowiadamy jej imię, to chwytają nas dreszcze.

Wszyscy trzej zatrzęśli się.

- Mówicie o tej Bestii i już drżycie - powiedział uszczypliwie Płaksa. — Wyjaśnijcie nam, co w niej takiego strasznego. Skąd ten paniczny strach. Nie próbujcie nas oszczędzać. Mamy mocne

nerwy.

- Ona przybyła z innego świata — rzekł Lisowaty. - Spadła prosto z nieba.

- Psiakość! - zaklął Cornwall. - Połowa pogańskich bogów zstąpiła z niebios. Może wymyślilibyście coś oryginalniej-szego?

- Legenda powiada, że Bestia spadła z nieba - powiedział Brzuszysko - że spadła właśnie w tym miejscu i leżała tu, budząc wokoło przerażenie. Tutejsi ludzie salwowali się ucieczką, gdyż nie podobało im się w niej wiele rzeczy. To było za starych, dobrych czasów, gdy padały deszcze, ziemia była żyzna i żyło tutaj wielu ludzi, szczęśliwych i zadowolonych. Ale nagle spadło nieszczęście na tę ziemię. Zaczęła się susza i nieurodzaj, zapanował głód. Ludzie orzekli, że to na pewno przez Bestię. Więc zwołali radę i zdecydowali, że Bestia musi być odizolowana od reszty kraju. Przez całe lata gromadzili wielkie głazy, by ją nimi otoczyć, nie tylko wokoło, ale również budując dach

nad nią. Zostawili na samym szczycie otwór, by w razie potrzeby móc do niej dotrzeć, choć po co ktoś miałby to robić, nie wiadomo. Zbudowali kryptę wokół Bestii, głęboko wkopali kamienie podtrzymujące mury i zostawili otwór w dachu, w który wpasowali kamień. Tak odgradzili ją od ziemi i nieba.

I zrobiwszy to, czekali na deszcz, a deszczu nie było. Klątwa nadal wisiała nad krajem, trawy schły, wiatr prznosił piasek. Ale ludzie ciągle tu trwali, bo była tu kiedyś dobra ziemia i mieli nadzieję, że znów tak będzie, i bolało ich serce na myśl, że musieliby się stąd wynieść. Byli wśród nich tacy, którzy twierdzili, że potrafią porozumieć się z uwięzioną Bestią, i ci powiedzieli reszcie, że ona sobie życzy, by jej oddawać boską cześć. „Jeśli będziemy modlić się do niej, może zdejmie klątwę z naszego kraju.” Zaczęli więc ją czcić jak bóstwo, ale to nie pomogło. Uradzili w końcu, że zbudują dla niej piękny dom. „Może, gdy to zrobimy, będzie zadowolona i klątwa zostanie zdjęta.” Znów pracowali ciężko, by zbudować ten zamek; a ludzie, którzy umieli porozumiewać się z

Bestią, wprowadzili się do niego, by wysłuchiwać, co ona ma do powiedzenia, i robić to, czego zażąda. Aż mnie ciarki przechodzą na myśl o okropnościach, jakie na nich wymusiła...

- Ale i to nie pomogło - domyślił się Cornwall.

- Skąd wiesz? - zapytał Lisowaty.

- Chociażby stąd, że nadal panuje tu susza.

- Rzeczywiście. Nie pomogło.

- Byliście tu przez cały czas - zgadywała Mary. - Od zbudowania zamku. Bo to wy jesteście tymi, którzy porozumiewali się z Bestią, nieprawdaż?

- Tym, co z nich pozostało - wyjaśnił Ropuch. - Niektórzy z nas wymarli, choć wszyscy żyliśmy wiele razy dłużej niż ludzie, którymi niegdyś byliśmy. Żyliśmy dłużej i zmienialiśmy się.

Jakbyśmy żyli dłużej po to, by mieć możliwość przemiany. Z wieku na wiek zmiany pogłębiały się.

Rezultaty widzicie.

- Trudno w to uwierzyć - powiedział Oliwer. - Nie wydaje mi się możliwe, aby prości ludzie stali się czymś takim jak wy.

- To wszystko dzieło Bestii - odparł Brzuszysko. - Czuliśmy, jak nas zmienia. Nie wiemy, dlaczego to zrobiła, ale tak się stało.

- Powinniście byli opuścić zamek - powiedział Cornwall.

- Nic nie rozumiesz - odrzekł Lisowaty. - Ślubowaliśmy, że tu zostaniemy z Bestią. Po jakimś czasie cała ludność wyniosła się stąd i tylko my pozostaliśmy. Baliśmy się, że jeśli zostawimy

Bestię samą, rozwali kryptę i wyruszy w Utrację. Nie mogliśmy pozwolić, by tak się stało.

Musieliśmy stać między Bestią a Utracją.

- Po pewnym czasie - rzekł Ropuch - nie było już nigdzie dla nas miejsca. Zmieniliśmy się tak bardzo, że nigdzie by nas nie przyjęli.

- Nie wierzę w ani jedno słowo - powiedział Płaksa. - Opowiedzieli nam historię powstania

kapłaństwa -grupy egoistycznych, snujących intrygi pasożytów, którzy żerowali na niewinnych ludziach. Posłużyli się Bestią Chaosu, by zapewnić sobie łatwe życie, które niestety przestało być dla nich łatwe po odejściu ludzi. Ale kiedyś było takie i w tym właśnie celu udawali, że potrafią się porozumieć z Bestią. Nawet teraz chcą nas przekonać, że cel był szlachetny, że stoją, jak słyszeliście, między Bestią a Utracją. Ale nie są niczym innym jak bandą oszustów, przede wszystkim ten z lisią twarzą.

- Może i tak - powiedział Cornwall. - Może w tym, co mówisz, jest wiele racji, ale wysłuchajmy ich do końca.

- To już wszystko - rzekł Brzuszysko. - Powiedzieliśmy wam prawdę.

- Ale przecież Bestia jest martwa - podsumował Hal. - Nie macie już się czego obawiać. W porządku, kazała wam coś zrobić, gdy umrze, ale przecież wcale nie musicie spełniać jej polecenia. Nic wam już nie robi.

- Tobie nie - powiedział Lisowaty - i prawdopodobnie pozostałym z waszej grupy także. Ale nas może jeszcze dosięgnąć. Byliśmy z nią tak długo, że chyba staliśmy się jej częścią, i w ten sposób ona ciągle żyje w nas; nawet po śmierci jest dla nas groźna, tak, nawet po śmierci może...

- Boże - powiedział Cornwall - to wydaje się całkiem możliwe.

- Wiemy, że nie żyje - rzekł Brzuszysko. - Jej gnijące ciało leży w krypcie. Umierała długo, a my jakby po trochu z nią. Czuliśmy jej powolne umieranie i śmierć. Ale gdy zapada noc i nastaje cisza, ona tam ciągle jest. Może nie dla innych, prawdopodobnie tylko dla nas.

- Dobrze, niech wam będzie - zgodził się Hal. - Załóżmy, że uwierzyliśmy w to, co nam opowiedzieliście. Poświęciliście wiele czasu, by ułożyć tę historyjkę, więc chyba mieliście w tym jakiś cel. Najwyższy czas, by go wyjawić. Wspominaliście, że jest jakaś czarna robota do wykonania i że my mamy ją za was zrobić, bo nie boimy się Bestii Chaosu tak jak wy.

- To zadanie wymaga wejścia do krypty - oświadczył Liso-waty.

- Do krypty z tym martwym okropieństwem! - krzyknęła Mary.
- Ale po co? - zapytał Cornwall. - Po co wchodzić do krypty?
- Bo tam znajduje się coś, co musi być stamtąd zabrane. Coś, co Bestia kazała zabrać.
- Czy któryś z was wie, co to jest?
- Nie, nie mamy pojęcia. Pytaliśmy, ale Bestia nie chciała nam powiedzieć. Ale skądinąd wiemy, co się tam kryje. Zajrzeliśmy przez otwór do środka. Zebraliśmy się na odwagę i zrobiliśmy to. Na krótko. Patrzyliśmy nie dłużej niż trwa mrugnięcie okiem, ale ujrzeliśmy to. Zerknęliśmy i uciekliśmy...
- I chcecie, abyśmy to wyciągnęli.
- Gdybyście mogli, prosimy — rzekł Lisowaty.
- Co to właściwie jest? - spytała Mary.
- Widzieliśmy tylko kawałeczki, chyba tylko niewielką część. Nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie, co to może być. Wygląda jak klatka, okrągła klatka. Po prostu pręty metalu, ułożone w kształcie klatki. Jest mniej więcej takie. - Lisowaty zbliżył ręce na odległość około stopy.
- Wtopione w ciało Bestii?
- Tak.
- To będzie strasznie trudne zadanie - ocenił Gib.
- Nie podoba mi się to wszystko - sarknął Płaksa. - Na pewno nie mówią nam wszystkiego.
- Może i tak - rzekł Cornwall. - Ale oni mają ciężki orzech do zgryzienia i wydaje mi się, że za pomoc powinniśmy wyznaczyć odpowiednią cenę. Żadne tam - zwrócił się do Lisowatego - kilka kurczaków i proszę.
- Dla dobra sprawy - sugerował Lisowaty. - W imię rycerskości!
- Jakiej rycerskości?! - uciął Płaksa. - Rycerskość nie istnieje. Nie trwała zbyt długo. To była idea do niczego. Wystąpcie z czymś bardziej konkretnym. Jeżeli nie, wyjeżdżamy z samego rana.

- Nie będziecie mieli odwagi wyjechać. - Lisowaty siedział z zadowoloną miną. - Diabły są przyczajone na całej równinie. Capną was, zanim ujedziecie milę. Nigdy was nie kochały, a teraz, odkąd zabiliście olbrzyma, mają jeszcze mniej powodów, aby czuć do was sympatię.

- Sugerujesz, że jesteśmy tu w pewnym sensie uwięzieni?

- Może nie do końca. Istnieje pewna szansa, że wam pomożemy.

- Oni ze sobą współpracują - powiedział oskarżycielskim głosem Płaksa. - Ci dowcipnisie tutaj i diabły wcielone. Usiłują wyrzucić na nas presję.

- Jeżeli chcesz przez to powiedzieć — rzekł Ropuch - że jesteśmy zaprzyjaźnieni z diabłami, że z ich pomocą opracowaliśmy podstępny plan, by was wykorzystać do tej, w istocie, drobnej przysługi, to nie możecie się bardziej mylić.

- Jak się nad tym dobrze zastanowić - odezwał się Gib - to nie widzieliśmy ani jednego diabła, póki nie zobaczyliśmy zamku. Rozglądaliśmy się i wyczekiwaliśmy, a one nie pokazały się, dopiero przy zamku. Czekają tu na nas. Przecież mogły wyskoczyć z jakiegokolwiek miejsca na drodze, ale nie, czekały właśnie tu tutaj.

- Przez całe lata - zaczął wyjaśniać Lisowaty - diabły kręciły się wokół zamku, czatując na chwilę naszej nieuwagi. Wojna między nami trwała prawie od samego początku. W ostatnich czasach stały się ostrożniejsze i musiały się też bardziej wycwanić, gdyż w czasie trwania naszych nieprzyjaznych kontaktów dostały kilka razy bolesną nauczkę. Raz za razem doświadczały mocy naszych czarów, ale nie zrażone tym, nadal obijają się tutaj. Na nasz widok jednak podwijają ogony i zmykają w popłochu. Tak, daliśmy im do wiwatu czarami.

- Czy one aby nie chcą zająć zamku? - spytał Gib. - Może to nie wy ich interesujecie, lecz chodzi im o zamek?

- Dokładnie tak jest - przyznał Lisowaty. - Sprawą honoru jest dla nich zdobyć Zamek Bestii Chaosu. One nigdy, rozumiecie, nigdy do niczego nie doszły. Zawsze były tylko awanturnikami i

rozrabiakami Utracji. Obawiano się ich, oczywiście, ale nikt nigdy nie czuł przed nimi respektu. A wejście w posiadanie zamku mogłoby zapewnić im odpowiednią pozycję i poważanie.

- I mówisz, że daliście im czadu czarami?

- Nie śmia nas dotknąć. Boją się nawet podejść zbyt blisko. Ale ciągle mają nadzieję, że kiedyś, dzięki jakiemuś podstępowi, przechytrzą nas.

- Czy chcesz przez to wszystko powiedzieć, że jesteście w stanie dać nam eskortę, abyśmy bezpiecznie opuścili zamek?

- Taki właśnie mamy zamiar - potwierdził Lisowaty.

- Więc tak: my wchodzimy do krypty, wyciągamy co trzeba, a kiedy to zrobimy, opuszczamy zamek, a wy eskortujecie nas do momentu, aż zniknie niebezpieczeństwo ze strony diabłów wcielonych.

- Oni nas okłamują - rzekł Oliwer. - Boją się śmiertelnie diabłów. Tak samo jak się boją Bestii Chaosu.

- A jaką to wam robi różnicę? - zapytała Mary. - Przecież już wszyscy w duchu zdecydowaliście wyciągnąć tę rzecz z krypty. Umieracie z ciekawości, co to może być, i nie spoczniecie, póki się nie dowiecie.

- Naprawdę - Cornwall zwrócił się do Lisowatego - obiecujecie dać nam eskortę?

- Obiecujemy.

- I lepiej niech ona będzie odpowiednia - przestrzegł Hal -bo inaczej wrócimy tu i zrobimy z wami porządek.

Smród był niewyobrażalny. Uderzał w twarz, zatykał nozdrza, palił w gardle, wyciskał łzy z oczu, przyprawiał o zawroty głowy. Budzące obrzydzenie zepsucie wydawało się pochodzić skądś spoza Ziemi - porażający rozkład dochodzący z trzewi samych Piekieł.

Pracowali w nim od wielu godzin, ustawiając drągi, aby skonstruować trójnog ponad wejściem do

krypty (Cornwall uświadomił sobie, że nie myśli już o niej jako krypcie, lecz raczej jako potrzasku), montując krążek, przewlekając przez niego linę.

Teraz, gdy wszystkie przygotowania były skończone, Cornwall przechylił się nad krawędzią otworu, aby spojrzeć w dół na rozkładającą się masę, która wypełniała większą część krypty. Galaretowata materia, nie całkiem płynna i nie całkiem stała -widok, którego starał się do tej pory unikać. Masa ta zdawała się posiadać tę samą ohydną, wywracającą żołądek właściwość, która cechowała wydobywający się z niej smród. Sam odór był wystarczająco odrzucający; w połączeniu z widokiem zawartości krypty był prawie nie do zniesienia. Cornwall zgiął się wpół, męczony suchymi wymiotnymi skurczami, które nie przyniosły żadnego efektu, gdyż zawartość jego żołądka została już dawno zwrócona.

- Dlaczego nie pozwolisz mi tam zejść, Mark? - pytał Gib, stojąc tuż przy nim. - Na mnie to chyba nie wywrze aż tak silnego wrażenia.

- Aha, nie robi na tobie wrażenia - wychrypiął Cornwall. -A kto prawie wyrzygał swoje flaki?

- Ale ja jestem lżejszy - upierał się Gib. - Ważę mniej niż trzecia część tego co ty. Będzie mną łatwiej manewrować na linie.

- Przestań, Gib - uciął gniewnie Płaksa. - Omówiliśmy to już parę godzin temu. Owszem, jesteś trzy razy lżejszy, ale masz też trzy razy mniej siły.

- Może siła nie będzie w ogóle potrzebna?

- Ta rzecz tam na dole - wtrącił Hal - może być trudna do wyciągnięcia. Jeżeli wyrasta z ciała Bestii, może być w niej zakorzeniona.

- Ciało jest w stanie półpłynnym - zauważył Gib. - To jest po prostu papka.

- Gdyby tak było - rzekł Cornwall - ta klatka czy kula, czy co to tam jest, zatonełaby. Nie znajdowałaby się ciągle w tym samym miejscu.

- Nie możemy mieć pewności - odparł Gib. - To może pływać.

- Dajmy spokój takim gadkom - zakończył dyskusję Cornwall. - Jak zauważył Płaksa, to już zostało zdecydowane. Jestem najsilniejszy z nas wszystkich, a siła pewnie będzie tam potrzebna. Złapię mocno tę rzecz, a wy, przyjaciele, wyciągniecie mnie razem z nią. To może wymagać jeszcze więcej siły, niż ja będę potrzebował, by ją utrzymać. Cała reszta będzie razem ciągnęła linę-to znaczy, jeżeli Mary pomoże. A gdzie, do diabła, podziała się Mary?

- Zeszła na dół, by podpalić ogień pod kociołkiem — rzekł Płaksa. - Będziemy potrzebować gorącej wody do kąpieli, kiedy wreszcie stąd wyleziemy.

- Ciekawe, czy gorąca woda potrafi to zmyć - rzekł Oliwer.

- Brzuszysko dał nam kawałek mydła - powiedział Płaksa.

- No bo i po co im mydło - powiedział Oliwer. - Sądząc po zapachu, jaki rozsiewają, nigdy z niego nie korzystają. Cornwall ryknął na nich:

- Skończcie to mielenie ozorami! Jakie znaczenie ma teraz

mydło czy gorąca woda? Trzeba było zapalić ogień i każdy mógł był to zrobić. Potrzebujemy tu Mary, by nam pomogła ciągnąć linę, a jeśli chodzi o resztę... - Stopniowo wyciszał głos, wstydzając się swojego wybuchu. Po co on wydziera się na nich? Wszystko przez ten smród, który zaciemniał umysł, szarpał nerwy, wykręcał flaki, mógł zmienić człowieka we wściekającego się bałwana. - W porządku, zaczynamy - polecił.

- Poproszę Mary - zaoferował się Oliwer - a sam zostanę przypilnować ognia.

- Daj spokój z ogniem - rzekł Hal. - Wracaj razem z nią. Możemy potrzebować twojej pomocy.

- Gdybyśmy mieli hak - powiedział Gib - moglibyśmy tę rzecz zaczepić o niego.

- Ale nie mamy ani haka, ani metalu, z którego moglibyśmy go zrobić. Mają tu kuźnię, ale nie mają metalu.

- Ukryli rudę - powiedział Płaksa - i sami też się pochowali. Nie ma po nich śladu.

- Możemy wykorzystać metal, z którego zrobione są garnki - rzekł Gib.

- Mój pomysł jest lepszy - powiedział Cornwall. - Prosty i łatwy. Przewiążę się liną w pasie i zaczynamy.

- Udusisz się - przeraził się Płaksa.

- Nie, jeśli usta i nos przykryję szalem.

- Upewnij się, że węzeł jest mocno zadzierzgnięty - zwrócił się Płaksa do Hala. - Nie możemy niczego przeoczyć. Jeśli Mark wleci w to plugastwo, nigdy go nie wyciągniemy.

- Znam się na węzłach - uspokoił go Hal. - Musi być odpowiednia pętla. Zaciśnię się mocno. -

Spytał Cornwalla: - Jak się czujesz?

- CŁyba dobrze. Teraz dajcie mi ten szal. Owinął szal wokół głowy, przykrywając nos i usta.

- Stój spokojniej - rzekł Gib. - Zawiążę go. Oliwer wbiegał po stopniach. Za nim Mary.

- Jesteśmy wszyscy - rzekł Hal. - Chwyćcie mocno tę linę,

wszyscy razem. Trzymajcie ją z całych sił. Będziemy go powoli opuszczać.

Cornwall pochylił się nad otworem i znowu go zemdlilo. Spowodował to nie zapach, bo szal dawał przed nim pewne zabezpieczenie, lecz widok - morze pełzającego rozkładu, zmarłe i gnijące stworzenie, psująca się breja zamknięta w krypcie. Stworzenie było żółto-zielone z czerwonymi i czarnymi pasmami; wydawało się, że istnieje w nim jakiś wewnętrzny przepływ materii, tak wolny, iż nie można było zaobserwować ruchu, chociaż odnosiło się wrażenie jakiegoś krążenia, prawie życia.

Znów chwyciły go mdłości, aż zazgrzytał zębami. Oczy zaczęły go szczypać i łzawić. Nie mógł tam, na dole, wytrzymać przez dłuższy czas. Muszą go jak najszybciej opuścić na dół i jeszcze szybciej wyciągnąć z powrotem. Zgiął i wyprostował prawą rękę, jakby chciał sprawdzić, czy zadziała dobrze, gdy będzie się nią posługiwać, by złapać klatkę czy cokolwiek tam było.

Lina opięła go ciasniej wokół piersi.

- Wszystko gotowe, Mark - zameldował Hal.

Zawisł nad krawędzią. Lina naprężyła się i przytrzymała go, unosząc odrobinę. Odbił od krawędzi wejścia do krypty i wisiał pośrodku otworu. Zaczął opadać gwałtownie. Po chwili zatrzymało go ostre szarpnięcie. Na górze Hal darł się na cały głos:

- Uwaga! Patrzcie uważnie! Opuszczajcie go powoli! Nie za szybko! Mówię, nie za szybko!

Smród uniósł się falą i uderzył w niego zalewając i dusząc. Szal nie wystarczał - odór sączył się przez tkaninę. Żołądek zawiązał się Cornwallowi w supeł, podszedł do gardła, potem opadł gdzieś w dół, w miejsce, które nie miało dna. Usta napełniły się wymiocinami, których, przysięgłby wcześniej, nie miał prawa mieć i które zostały zatrzymane przez szalik, zawiązany wokół ust. Był oślepiiony i zdezorientowany. Macał wokoło rękami i usiłował krzyczeć, ale nie mógł wydać z siebie dźwięku.

Znajdująca się pod nim obrzydliwie cuchnąca masa wydawa-

ła się być w gwałtownym ruchu. Jej fala podniosła się, sięgając po niego, lecz była za nisko i opadła w dół. Miała tłusty, odrażający wygląd, smród aż się z niej wylewał. Następna fala przebiegła przez powierzchnię, uderzyła w ścianę krypty i skręciła się w sobie, nie tak jak woda, lecz wolno, z namysłem, ociężale, sprawiając wrażenie niezmiernie silnej. Opadła w dół i natychmiast podniosła się, sięgając ponownie po niego. Tym razem dosięgła go i oblała całego, pokrywając i przenikając swą substancją. Podniósł ręce i w przerażeniu odgarniał lepłą zgniliznę, by uwolnić od niej oczy. Czuł, że żołądek ciąży mu i skręca się. Nadal męczyły go skurcze wymiotne, ale bezskutecznie, bo nie miał już czym wymiotować. Widział niewyraźnie i miał okropne uczucie, że zagubił się w jakiejś odmienności, będącej poza zasięgiem wszelkich żywych istot. Nie czuł nic, nawet ucisku liny, gdy przyjaciele ciągnęli go w górę. Dopiero gdy poczuł na sobie ich ręce, wydobywające go przez otwór krypty, zorientował się, że wyciągnęli go i uwolnili. Nogi uderzyły w powierzchnię krypty i kolana ugięły się pod nim. Upadł nękany mdłościami. Ktoś ocierał mu twarz. Ktoś mówił:

- Już dobrze, Mark, już wszystko w porządku. Wy ciągnęliśmy cię.

A jeszcze ktoś inny gdzieś daleko mówił:

- Ona nie jest martwa, mówię wam. Ona żyje. Nic dziwnego, że te nędzne małe bękarty były się zejść na dół. Zostaliśmy oszukani, mówię wam. Zostaliśmy oszukani.

Z wysiłkiem podniósł się na kolana. Ktoś wylał na niego wiadro wody. Usiłował coś powiedzieć, ale przesiąknięty wymiocinami, nasycony odorem szal nadal przykrywał mu usta. Czyjeś ręce zerwały szal i wreszcie miał odkrytą twarz.

Zobaczył przed sobą Giba, poruszającego ustami.

- Co za świństwo! Ściągaj szybko ubranie. Na dół i do balii. Woda jest gorąca i mamy nawet mydło.

Szop i Oliwer ulokowali się na krawędzi balii.

- Mówię, żeby dać spokój - powtarzał Oliwer. - Ci z zamku wiedzieli, co się stanie, jak się wejdzie do krypty. Wiedzieli, że to tam na dole nie jest martwe.

- To jest nieżywe, mówię wam - upierał się Płaksa. - Gnije tam, na naszych oczach. Po prostu czary. Krypta jest zaczarowana.

- Nie można zaczarować krypty - powiedział Oliwer. - Nie można rzucić czaru na rzecz. Na osobę, tak, na żywą istotę, ale nie na budowlę z kamienia.

- Musimy to załatwić jakoś inaczej — rzekł Gib. - Przyglądałem się temu rondlowi z żelaza, w którym gotujemy. Możemy użyć jego rączki: rozgrzejemy ją, zegnjemy i zrobimy z niej hak.

- Jak ktoś zejdzie, by spróbować z hakiem, historia się powtórzy - powiedział Hal. - Bestia, żywa czy nie, nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić, abyśmy wyrwali hakiem tę rzecz.

- A czy widzieliście ostatnio Brzuszyśko, Lisowatego czy kogoś z nich? - zapytał Cornwall.

- Nikogusieńko - odparł Hal. - Przeszukaliśmy zamek. Po-włazili gdzieś, chyba w mysie dziury.

- Jak będzie trzeba - powiedział Cornwall - rozbierzemy ten cały zamek, cegła po cegle, kamień po

kamieniu, by ich odnaleźć. Nikt nie ma prawa robić nam takich numerów.

- Ale przecież musimy wydostać tę rzecz z krypty - stwierdziła Mary. - Zawarliśmy umowę z mieszkańcami zamku. Równina wokoło pełna jest diabłów. Nigdy nie wydostaniemy się stąd sami.

- A dlaczego przypuszczasz - zapytał Płaksa - że oni w ogóle mieli zamiar dotrzymać umowy? Usiłowali nas wykorzystać, ot co. Z jakiegoś powodu chcą wydobyć tę rzecz z krypty i zrobiliby wszystko...

- Możemy rozwalić kryptę - zaproponował Gib. - Zabierze nam to trochę czasu, ale...

- Myślę, że jestem już wystarczająco wymyty - rzekł Cornwall. - Lepiej już stąd wylezę. Podaj mi, z łaski swojej, te spodnie.

Mary wskazała na prowizoryczny sznur do bielizny, rozciągnięty nad Cornwalllem.

- Jeszcze nie wyschły - powiedziała.

- Założę mokre - powiedział Cornwall. - Musimy zacząć działać. Może Gib ma rację. Rozwalmy tę kryptę.

- A po co w ogóle zawracać sobie dalej tym głowę? - zapytał Hal. - Możemy siłą utorować sobie drogę przez równinę. Teraz, gdy zabiliśmy olbrzyma, diabły straciły serce do walki. Nie będą stawiać wielkiego oporu.

- Przecież zostało ci tylko parę tuzinów strzał - przypomniał mu Gib. — Jak je wystrzelisz, nie masz skąd wziąć następnych. Wtedy zostaną nam tylko miecz Marka i moja siekiera.

- Jedno i drugie bardzo dobre - odezwał się Płaksa. - Nigdzie nie znajdziesz lepszych.

W tym momencie Szop wpadł do bali. Cornwall złapał go za kark, wyciągnął poza balię i opuszczył na ziemię. Szop otrząsnął się energicznie, opryskując wszystkich śmierdzącą mydlaną wodą.

- Masz, tu są twoje spodnie - powiedziała Mary, podając je Cornwallowi. — Tak jak mówiłam, nie są suche. Umrzesz nie w boju, a z przeziębienia.

- Dzięki. Za chwilę wyschną.

- Czysta żywa wełna - rzekł Hal. - Nikt nigdy nie pochorował się z powodu założenia wilgotnego wełnianego ubrania. Cornwall wyszedł z balii i wciągnął spodnie.

- Uważam, że powinniśmy jeszcze raz przedyskutować całą sprawę - powiedział. - W krypcie jest coś, co bardzo pragną mieć ludzie z zamku. Jeżeli jest to dla nich takie ważne, może być równie ważne i dla nas. Tak czy inaczej uważam, że powinniśmy to coś wyciągnąć i zobaczyć, co to jest.

A jak to będziemy mieli, wykopiemy nawet spod ziemi Lisowatego, Brzuszy-

ska i całą resztę i pogadamy z nimi, używając ręcznych argumentów... Póki jednak nie wydobędziemy tego z krypty, nie mamy przekonujących racji do rozmowy. To wszystko może nie wyjść nam na zdrowie i będzie do tego bardzo brudzącym zajęciem...

- Może spróbować inaczej - zaproponował Oliwer. - Może rogiem jednorożca. Tym, który ma Mary. Czary przeciw czarom.

- Nie jestem pewien, czy to zadziała. - Płaksa pokręcił głową. - Czary rządzą się swoimi prawami.

- Miałem pewne opory, zanim przedstawiłem tę propozycję

- usprawiedliwił się Oliwer. - Krypta to nie miejsce dla pięknej damy.

- Też coś - prychnął Cornwall. - Jeśli uważacie, że jest szansa, dajcie mnie róg i zejść tam jeszcze raz.

- Ale w twoich rękach on nie ma mocy — przypomniał mu Oliwer. - Działa tylko w rękach Mary.

To musi być ona.

- W takim razie rozwalamy kryptę - oświadczył Cornwall.

- Chyba że ktoś wymyśli coś lepszego. Mary nie zejdzie na dół.

- Zaraz, zaraz, posłuchaj no - zaproponowała Mary. - Nie masz prawa tak mówić. Nie możesz mi mówić, co mam robić. Taszczyłam ten róg taki kawał drogi, co wcale nie było łatwe. Jeżeli teraz może się do czegoś przydać...

- A ty skąd wiesz, że będzie skuteczny?! - wrzasnął Cornwall. - Co będzie, jeśli nie zadziała? A jak

zejdziesz na dół i...

- Zaryzykuję. Jeśli Oliwer mówi, że może być skuteczny, zamierzam spróbować.

- Pozwól, że ja to zrobię pierwszy.

- Mark, zachowujesz się nierozsądnie - przerwał im Hal. - Niech Mary przynajmniej spróbuje.

Opuścimy ją na dół, a jeżeli tam się coś poruszy, jeżeli tam coś zacznie siędziać, natychmiast ją wyciągniemy.

- Tam jest okropnie - rzekł Cornwall. - Jest absolutnie obrzydliwie. Smród będzie chciał cię zabić.

- Jeśli róg zadziała - powiedział Oliwer — będzie to trwało tylko chwilę. Opuścimy ją i zaraz wyciągniemy.

- Nie będzie w stanie tego wyrwać - upierał się Corawall. - To na pewno będzie ciężkie. Może nie móc tego uchwycić, może nie utrzymać, nawet jeśli uchwyci.

- Umocujemy hak - rzekł Hal. - Przywiążemy go do liny. Mary zaczepi go o tę rzecz, a my będziemy ciągnęli. Corawall spojrzał na Mary.

- Czy naprawdę chcesz?

- Oczywiście, że nie chcę. I ty też nie chciałeś, a jednak zszedłeś na dół. Ja też jestem gotowa to zrobić. Mark, proszę cię, pozwól mi spróbować.

- Mam tylko cichą nadzieję, że róg zadziała - rzekł Płaksa. - Nie powiem wam, jak duże są, według mnie, szansę na niepowodzenie całej akcji.

Tym razem postąpili inaczej niż wtedy, gdy opuszczali do krypty Cornwalla. Skonstruowali dla Mary coś w rodzaju krzeselka, jak w dziecięcej huśtawce, z zabezpieczeniem przed wypadnięciem, i przywiązali ją do niego. Przeciągnęli sznur przez róg, tak że mogła zawiesić róg na ramieniu i nie musiała go trzymać. Był przecież taki nieporęczny. Miała więc obie ręce wolne i mogła operować hakiem uwiązany na osobnej linie na drugim krążku.

W końcu nadszedł czas na przeprowadzenie akcji.

- Moja sukienka - zmartwiła się Mary. - To jedyna, jaką mam. Ubrudzi się.

- Okręć się nią - zaproponował Hal - a my obwiążemy cię sznurem jak szynkę.

- Może się nie doprać.

- To ją zdejmij - poradził Płaksa. - Możesz zejść na dół tylko we własnej skórze. Nie będziemy mieli nic przeciwko temu.

- Nie! - krzyknął Cornwall. - Nie, na Boga, nie pozwalam!

Płakso - zwrócił się ostro do gнома - teraz chyba przesadziłeś. Co prawda, nie znasz się na skromności, ale...

- Musisz mu wybaczyć - rzekł Gib do Mary. - Nie miał jak się tego nauczyć.

- Właściwie to nie jest głupi pomysł. Ta sukienka to wszystko, co mam. Jeżeli przyrzekniecie, że nigdy nikomu nie powiecie...

- Nie! - krzyknął ponownie Cornwall.

Mary powiedziała do niego cicho ciepłym głosem:

- Ty już zaznajomiłeś się z moim ciałem...

- Nie - po raz trzeci powtórzył Cornwall, tym razem stłumionym głosem.

- Upiorę ci sukienkę, gdy będziesz się kąpała - zaoferował się Oliwer. - Użyję dużo mydła, będzie czystsioćka.

- Myślę - rzekł Płaksa - że to wszystko jest bez sensu. Ona będzie cała pochlapana. To świństwo obleje ją od stóp do głów. Róg nie zadziała -poczekajcie, a zobaczycie, na pewno nie zadziała.

Okręcili ją suknią i obwiążali sznurem. Naokoło głowy zawiązali kawałek materiału, tak by oczy pozostały nie zasłonięte. Oliwer wyszukał w zamkowej kuchni dzbanek z octem i zmoczył nim materiał w nadziei, że to zneutralizuje nieco smród. Potem zaczęli opuszczać Mary na linie do krypty.

Obrzydliwa maź zagotowała się natychmiast, ale po chwili uspokoiła się. Opuścili pośpiesznie

dziewczynę. Masa poruszyła się niecierpliwie jak rżnięte zwierzę miotane konwulsyjnymi drgawkami, lecz pozostała spokojna.

- Działa! - powiedział Gib przez zęby. - Róg działa! Cornwall krzychał do Mary:

- Teraz spokojnie. Pochyl się z hakiem. Bądź gotowa. Opuszczamy cię w dół jeszcze o jakąś stopę!

Zgięła się z hakiem zawieszonym nad klatką.

- Opuszczamy ją - wydał polecenie Hal. - Jest dokładnie nad klatką.

I stało się. Hak wszedł między dwa metalowe pręty i zaczepił

się mocno. Gib, który operował liną zakończoną hakiem, podciągnął ją lekko. Lina naprężyła się.

- Mamy! - krzyknął.

Cornwall zaczął ciągnąć linę, na końcu której siedziała na krzeselku Mary. Wyciągnięte ręce przyjaciół sprawnie przenieśli dziewczynę w bezpieczne miejsce.

Zatoczyła się, gdy stopy dotknęły ziemi, i Cornwall przytrzymał ją mocno. Zerwał szmatę z jej twarzy. Spojrzała na niego oczami pełnymi łez. Otarł jej łzy.

- To było straszne - wyszeptała. - Ale ty przecież wiesz. Byłeś tam na dole. Dla mnie nie było to chyba tak okropne, jak musiało być dla ciebie.

- Ale czujesz się dobrze?

- Zaraz mi przejdzie. Ten smród...

- ZA jakiś czas wyruszamy stąd. Jak tylko wyciągniemy tę rzecz. - Zwrócił się do Giba: -1 co to jest?

- Nie wiem. Nigdy nie widziałem nic podobnego.

- Więc wyciągamy, zanim coś się wydarzy.

- Już jedzie do góry - relacjonował Hal. - O, patrzcie, za chwilę się pokaże. A Bestia zaczyna się niepokoić.

- Jest, wreszcie! - krzyknął tryumfalnie Oliwer. Wisiało nakońcu liny w otworze krypty, ociekając

mazią. Nie była to klatka czy kula. Kulista była tylko górna część.

- Szybko - poganiał Hal. - Bierzemy to. Bestia rozpętała piekło.

Fale sięgały aż do otworu, piekliły się i rozlewały, tryskając strugami.

Cornwall wyciągnął ręce i usiłował chwycić rzecz i odczepić ją od haka. Miała w sobie coś ludzkiego. Głowę tworzyła klatka, korpus był cylindrem o średnicy dwóch stóp i długości czterech.

Z korpusu zwisały trzy metalowe konstrukcje, które mogły być nogami. Rąk nie było.

Hal chwycił jedną z nóg i przełożył ją przez otwór. Cornwall złapał drugą; razem podnieśli całość i wyciągnęli z krypty. Cuchnąca maź plasnęła w sufit krypty i fala rozprysnęła się gniewnie przy samej krawędzi otworu.

Zbiegli szybko w dół po stopniach i ruszyli na dziedziniec. Gib i Hal ciągnęli przedmiot z krypty.

Na dziedzińcu postawili go na niby-nogi i odstawili o krok. Przez moment stał, gdzie go postawili, po czym postąpił krok do przodu. Zatrzymał się na ułamek sekundy i zrobił następny krok. Okręcił się powoli i obrócił głowę, jakby chciał się im przyjrzeć, choć nie miał oczu, a przynajmniej takich, które byłyby widoczne.

- To żyje - powiedziała Mary.

Oglądali go, urzeczeni, a on stał w bezruchu.

- Czy masz jakiś pomysł - spytał Hal Płaksę - co to, do diabła, może być?

Płaksa pokręcił głową.

- Wygląda w porządku - stwierdził Gib. - Nie jest na nas zły.

- Poczekajmy chwilę - przestrzegł Hal. - Lepiej nie być zbyt pewnym.

Głowę tworzyła klatka, wewnątrz której znajdowała się pulsująca kula świetlna, iskrząca się od czasu do czasu. Klatka była osadzona na korpusie, pokrytym siecią maleńkich dziurek, które wyglądały, jakby ktoś je zrobił ostrym gwoździem. Nogi były ustawione tak, że stworzenie, które nie miało ni przodu, ni tyłu, mogło iść w dowolnym kierunku. Wyglądało na to, że jest z metalu,

ale co do tego nie było pewności.

- Syn Bestii Chaosu - powiedział Cornwall.

- Może - odrzekł Hal. - Syn? Duch? Kto to wie?

- Mogą wiedzieć ci z zamku - zasugerowała Mary. - Są jedynymi, którzy wiedzą.

Ale wciąż nie było wiadomo, gdzie są.

Było już po kąpieli, praniu, przyrządzeniu kolacji i po jej zjedzeniu. Chwilami zalatywał od krypty mdły odór, ale poza tym wszystko wydawało się w porządku. Konie skubały metodycznie kupę starego siana, leżącą w rogu dziedzińca. Świnie nadal

ryły gdzie mogły, kurczaki zaś przerwały grzebanie i poszły na noc do kurnika. Żaden z mieszkańców zamku nawet się nie pokazał.

- Zaczynam się o nich martwić - powiedział Cornwall. - Coś im się musiało stać.

- Po prostu schowali się - rzekł Płaksa. - Zawarli umowę, wiedząc, że nie będą mogli jej dotrzymać, więc teraz siedzą w ukryciu i czekają, aż się wyniesiemy. Chcą nas przetrzymać.

- Więc nie uważasz - spytała Mary - że mogą nam pomóc przeciw diabłom?

- Nigdy tak nie uważałem.

- Naokoło jest pełno diabłów - poinformował Gib. - Wszedłem na blanki tuż przed zachodem słońca i ku swojemu przerażeniu zobaczyłem, że na równinie aż się od nich roi. Siedzą i czekają.

- To i my poczekajmy - powiedział Cornwall. - Może coś się wydarzy. Przynajmniej się wyśpimy.

Księżyc wgramolił się na wschodni horyzont i zapadła noc. Hal dołożył do ogniska i płomienie strzeliły wysoko. Rzecz, którą wyciągnęli z krypty, kręciła się niespokojnie po dziedzińcu.

Pozostali porozkładali się wokół ognia.

- Zastanawiam się, co jest Blaszanemu Wiadru - rzekł Hal. - Wygląda, jakby coś go gryzło. Jest nerwowy.

- Usiłuje złapać orientację - wyjaśnił Gib. - Został przeniesiony do nowego świata i nie jest pewien,

czy mu się to podoba.

- To coś więcej - powiedział Hal. - Zachowuje się tak, jakby był zaniepokojony. Myślicie, że wie o czymś, o czym my nie mamy zielonego pojęcia?

- Jeśli nawet — rzekł Płaksa - to mam nadzieję, że zachowa to dla siebie. Mamy dość powodów do zmartwień i nie musi nam już nic dokładać. Proszę, jesteśmy zamknięci w rozwalającej się kupie kamieni, której właściciele ukryli się przed nami głęboko w lochach, a naokoło aż gęsto od diabłów wcielonych. One doskonale wiedzą, że kiedyś musimy stąd wyjść, a gdy to zrobimy, rzucą się na nas z wyostrzonymi kłami.

Cornwall podniósł się od ogniska.

- Idę na mury - powiedział. - Zobaczę, co się dzieje.

- Schody są tam, na lewo - rzekł Gib. - Patrz uważnie pod nogi, kamienie są śliskie i nierówne.

Po długiej wspinaczce Cornwall znalazł się na blankach. Miały około trzech stóp wysokości i obluzowane kamienie. Gdy wyciągnął rękę i oparł ją na murze, kawałek kamienia oderwał się i spadł do fosy. Okolica rozciągająca się za murami pokryta była plamami światła i cienia. Jeśli czaiły się tam diabły, zobaczenie ich było prawie niemożliwe. Kilka razy wydawało się Markowi, że zauważył jakiś ruch, ale nie był pewien.

Owiał go chłodny wiatr z północy i Cornwall wzdrygnął się. „Nie tylko z powodu wiatru przejmuję mnie dreszcz” - pomyślał. Przy ognisku nie chciał przyznać się do swojego zaniepokojenia, ale tu, na murze, mógł być przed samym sobą szczery. Wpadli w pułapkę i w tej chwili nie było z niej wyjścia. Byłoby głupotą próbować się przebić. Miecz, siekiera, łuk (z dwoma tuzinami strzał w najlepszym wypadku) stanowiły jedyną broń, jaką mieli. Oczywiście magiczny miecz, ale w bardzo niewprawnych rękach. Łukiem posługiwał się, co prawda, ekspert, ale co mógł zwojować w takiej sytuacji łucznik i dzielny, ale nieduży człowieczek z siekierą, który zginie przy pierwszym zdecydowanym ataku diabłów wcielonych?

Gdzieś na zatopionej w ciemnościach równinie zerwał się nagle do lotu przestraszony ptak nocny. Leciał z cichym piskiem, bijąc skrzydłami w ciszy nocy. „Coś go wystraszyło” - powiedział do siebie Cornwall. Było bardziej niż prawdopodobne, że wszędzie wokół czaiły się diabły. Pisk cichł w miarę jak ptak zagłębiał się w ciemność. Gdy ucichł, odezwało się cykanie świerszcza - tak nagle i delikatnie, że Cornwall musiał natężyć słuch, by je usłyszeć. Gdy tak stał w ciemnościach, poczuł wzrastającą w nim panikę; wydawało mu się, że już kiedyś słyszał ten dźwięk. Cykanie zmieniło się, nie w zupełnie nowe brzmienie, lecz jakby w rodzaj gry na fujarce. Nagle przypomniał sobie, kiedy spotkał się z tym żalobnym zawodzeniem - w noc poprzedzającą znalezienie pobojowiska. Wibrujący głos piszczalki przeszedł w lament, jakby jakieś przerażone stworzenie płakało rzewnymi łzami w otaczających zamek ciemnościach. Lament unosił się i opadał, i było w nim coś, co nasuwało przypuszczenie szaleństwa - dzika i straszna muzyka, która mroziła krew w żyłach.

„Posępny Kobziarz - uświadomił sobie Cornwall - znowu Posępny Kobziarz.”

Wtem rozległ się za nim jakby odgłos odbitego od muru kamyka. Cornwall odwrócił się i zobaczył małą kulę delikatnie jarzącego się światła, wznoszącą się wolno ponad wewnętrzny mur. Cofnął się o krok w nagłym przestraszu i chwycił za miecz; dopiero po chwili odprężył się, ponieważ już wiedział, co to jest. Powoli i ostrożnie wspinał się po zniszczonych schodach Blaszanego Wiadra. W końcu znalazł się na blankach murów obronnych. Jego-metaliczny korpus błyszczał w świetle księżycy, a jaśniejąca kula wewnątrz klatkogłowy skrzyła się przyjemnie. Cornwall zauważył, że Blaszanego Wiadro ma ramiona w kształcie pędów, choć może słowo „ramiona” nie było właściwym określeniem. Kilka linowatych macek wyrastało, czy też wystawało, przez dziurki pokrywające cały korpus.

Stworzenie zbliżało się powoli ku niemu, a on cofał się, aż doszedł do końca muru i nie mógł cofnąć się dalej. Jedno z ramion jak lina wysunęło się i oplotło rękę Cornwalla w zadziwiająco

delikatny sposób. Drugie wygięło się w łuk i jakby wskazało na równinę za murem, po czym złożyło się w pół, a jego część końcowa dodatkowo zgięła się, formując literę J?. To Zet podrygiwało energicznie i z niecierpliwością w kierunku ciemności poza zamkiem.

Dźwięk piszczałek umilkł i zapanowała cisza. Zet poruszało się w przód i tył, wskazując na równinę.

- Nie jesteś przy zdrowych zmysłach - powiedział Cornwall. - To jedyne miejsce, dokąd nie możemy iść. Litera Zet nalegała. Cornwall potrząsnął przecząco głową.

- Może cię źle zrozumiałem. Może miałeś coś innego na myśli.

Drugie ramię wyprostowało się z trzaskiem, wskazując zdecydowanie na schody prowadzące w dół.

- Dobrze, dobrze - zgodził się Cornwall. - Zejdźmy i zobaczymy, czy możemy to wyjaśnić.

Ruszył od muru i zaczął ostrożnie schodzić po schodach. Blaszane Wiadro tuż za nim. Na ich widok kompania siedząca przy ognisku zerwała się na nogi. Hal przemierzył dziedziniec i czekał przy schodach, aż zejda.

- Co się dzieje? - zapytał. - Masz problemy z naszym przyjacielem?

- Nie. Próbuje mi tylko coś powiedzieć. Chyba chce nas ostrzec przed pozostaniem w zamku.

Słyszałem Posępnego Kobziarza.

- Posępnego Kobziarza?

- Tak. Nie pamiętasz go? W tę noc, zanim natrafiliśmy na pobojuwisko.

Halem aż wstrząsnęło.

- Nie mówmy nic reszcie. Jesteś pewny, że go słyszałeś? My nic nie słyszeliśmy.

- Jestem absolutnie pewny. Dźwięk mógł nie dotrzeć do was. A ten tutaj nalega, żebyśmy wyruszyli z zamku.

- Przecież nie możemy tego zrobić. Nie wiemy, co nas tam czeka. Może rano...

Blaszane Wiadro kroczył ciężko i podszedł do bramy, gdzie zatrzymał się. Tuzin czułek wystrzeliło z jego ciała i wszystkie wyprostowane wskazywały z naciskiem na wrota.

- Wiesz - zgodził się Hal - też mi się wydaje, że on chce, żebyśmy stąd znikali.

- Ale dlaczego? - zapytał Gib, który dołączył właśnie do nich i słyszał ostatnie słowa Hala.

- Może wie coś, czego my nie wiemy - zasugerował Hal. - Zdaje się, że mówiłem już to przed chwilą.

- Ale przecież tam są diabły - przypomniała wystraszonym głosem Mary.

- Wątpię, aby on chciał nam zrobić krzywdę - odezwał się

Oliwer. - Wyrwaliśmy go z tej obrzydliwej dziury i chyba powinien nam być wdzięczny.

- A skąd masz pewność, że on chciał być stamtąd wyrwany? - zapytał Płaksa. - Może wyświadczyliśmy mu niedźwiedzią przysługę? Może jest wściekły na nas?

- Tak czy owak - powiedział Cornwall - uważam, że powinniśmy załadować wszystko na konie i przygotować się do podniesienia kraty. Musimy być gotowi na wypadek, gdyby coś się wydarzyło.

- Czego się spodziewasz? - zapytał Płaksa.

- Nikt z nas tego nie wie - rzekł ostro Hal. - Może nic się nie wydarzy, ale trzeba być przygotowanym na wszystko.

Gib i Oliwer już łapali konie i zakładali im uprząż. Pozostali pośpiesznie przynieśli siodła, ładowali rzeczy, podciągali po-

Nic się nie działo. Konie, niezadowolone, że odstawiono je od siana, którym się pożywiały, stąpały w miejscu i rzucały głowami. Blaszane Wiadro stał spokojnie przy ognisku.

— Spójrz na niego - rzekł zde gustowany Płaksa. - Zaczął całą tę hecę, a teraz udaje głupiego. Stoi sobie przy ogniu i kontempluje. Nie mówcie mi, że spodziewa się, że coś się wydarzy. Po prostu lubi siać niepokój, ot co.

- Może jeszcze nie czas, aby coś się wydarzyło - powiedział spokojnie Gib. - Może jeszcze nie

nadszedł czas, aby wyruszyć.

Wtedy, całkiem nieoczekiwanie, czas nadszedł.

Znad horyzontu, od wschodniej strony, nadleciało ogniste koło. Syczało i ryczało, a gdy dotarło do zenitu, ryk przemienił się w przeraźliwy gwizd; koło zmieniło lotem ślizgowym kierunek, zawracając w stronę zamku. Jego jasność przyćmiła księżyc i oświetliła dziedziniec ostrym blaskiem. Oślepiające światło uwypuklało każdą szczelinę i pęknięcie w murach, jakby zamek był rysunkiem naszkicowanym ostrym ołówkiem.

Cornwall i Gib rzucili się do kołowrotu, którym podnosiło się zamkową kratę. Hal skoczył żwawo, by im pomóc. Krata wędrowała wolno w górę, gdy z wysiłkiem kręcili korbą. Ogniste koło zanurkowało nagle, jego gwizd oraz jasność zdawały się wypełniać świat. Poprzedzała je fala gorąca. Koło prześliznęło się ponad zamkiem, o włos od najwyższej wieży, wykonało pętlę i zawróciło. Konie, których nie uwiązano, miały się po dziedzińcu, rżąc z przerażenia. Jeden z nich potknął się, wpadł w ognisko i rozrzucił płonące główne.

- Krata jest wystarczająco wysoko! - krzyknął Cornwall. - Łapcie konie!

Ale koni nie można było złapać. Zbite w stado, rżące w panice, parły na bramę. Cornwall usiłował pochwycić pierwszego z brzegu za uzdę. Już ją prawie trzymał, ale wysliznęła mu się z ręki.

Wierzgające kopyto trafiło go w żebra, okręcił się i upadł. Wściekły pozbierał się szybko. Zobaczył konie biegnące po zwodzonym moście i wypadające na równinę. Pasy przytrzymujące juki puściły i juki wyleciały jak z procy, gdy jeden z koni bryknął i zarzucił zadem.

Hal ciągnął Cornwalla za łokieć i krzychał:

- Zabierajmy się stąd! Uciekajmy!

Pozostali byli już w połowie zwodzonego mostu. Prowadził Szop, uciekając w dzikiej panice. Ogon trzymał przy ziemi.

- Spójrz tylko na niego - powiedział Hal. - Ten szop zawsze był tchórzem.

Równina była oświetlona tak jasno, jakby słońce stało na niebie; silne światło bijące od przeraźliwie gwizdzącego koła tworzyło teatr dziwacznych cieni, zamieniając krajobraz w miejsce z koszmarnego snu.

Cornwall zorientował się, że przebiera szybko nogami i przemieszcza się, nie mógł jednak sobie przypomnieć, by podejmował decyzję, że będzie biegł. Cóż innego mógł zrobić? Bieg wydawał się jedyną rzeczą, która miała jakiś sens. Przed Cornwallelem człapał szybko Blaszane Wiadro;

Cornwalla rozbawiło to, że w takiej chwili zastanawiał się, jak to metalowe stworzenie może biec na trzech nogach. „Trzy - rzekł do siebie - to strasznie niewygodna ilość.”

Konie zniknęły, jakby się zapadły pod ziemię, ale po diabłach wcielonych również nie było śladu.

„To było do przewidzenia - pomyślał. - Na pewno diabły zaczęły zmykać w popłochu, gdy tylko pojawiło się ogniste koło, i prawdopodobnie nie przestaną biec przez trzy dni.”

Nieoczekiwanie ci, którzy biegli przed nim, zaczęli się potykać i padać, znikając mu z oczu.

„Wlecieli w coś, wpadli w pułapkę” - pomyślał. Próbował wyhamować, lecz ziemia usunęła mu się spod nóg i zapadł się w nicość. Ale tylko w parę stóp nicości, gdyż po paru sekundach wylądował na plecach, aż stracił oddech.

Płaksa gdzieś z boku wrzeszczał:

- To niezdarne Wiadro przygniotło mnie!

- Mark - rzekła Mary - wszystko w porządku?

Jej twarz ukazała się nad Cornwallem. Z trudnością usiadł.

- Nic mi nie jest. Co się stało?

- Wpadliśmy do dołu.

Zbliżył się do nich na czworakach Hal.

- Lepiej przycupnijmy tu i przeczekajmy - powiedział. - Jesteśmy tu niezłe ukryci.

- Na niebie jest z pół tuzina kół - rzekła Mary.

- Nigdy nie uwierzę - powiedział Hal — za one polują na nas. Wygląda na to, że interesuje je tylko zamek.

- Konie uciekły - odezwał się Gib skądś w głębi dołu - i nasze zapasy z nimi. Zostaliśmy tu bosy i nadzy w samym środku odludzia.

- Widziałem, że zrzuciły kilka tobołków - rzekł Oliwer. -Mamy szansę odzyskać choćby część.

Przepełniony bólem głos Płaksy zabrzmiał z rozdrażnieniem:

- Złaż ze mnie, ty kupo żelaza. Pozwól mi wstać.

- Chyba lepiej pójde sprawdzic, co mu sie stalo -powiedzial Hal.

Cornwall rozejrzal sie wokol. Sciany rowu, dziury, czy co to bylo, wznosily sie na piec stop i oslanialy przed intensywnym swiatlem obracajacych sie ognistych kol.

Podczołgal sie do sciany na wprost zamku i ostroznie wyjrzał. Było teraz, jak zauwazyła Mary, więcej kół. Kręciły się nad zamkiem skąpanym w świetle na tle ciemnego krajobrazu. Ich ryk zmieniał się stopniowo w głęboki pomruk, który wydawał się wprawiać ciało w dygotanie i wkręcać się w mózg. Wtem

jedna z zamkowych wież przełamała się i runęła. Dał się słyszeć odgłos spadających kamieni mimo warkotu ognistych kół.

- Jest ich pięć -powiedziała Mary. - Masz jakiś pomysł, co to może być?

Nie odpowiedział jej, bo skąd niby miał wiedzieć. „Czary” -pomyślał, po czym niemal natychmiast wycofał to słowo, przypominając sobie, jak Jones wyśmiewał się z niego, że nazywał czarami wszystko, czego nie potrafił zrozumieć. Na pewno było to coś, czego nie widział jeszcze żaden człowiek. W żadnym ze starych zapisów, które pilnie studiował, nie było wzmianki o niczym podobnym.

Ale zaraz, zaraz, coś takiego było jednak opisane, i to w najbardziej nieprawdopodobnym miejscu.

W Księżdzie Ezechiela, w rozdziale pierwszym. Starał się sobie przypomnieć, co tam było napisane, i nie mógł. Uświadomił sobie, że to było coś o wiele bardziej skomplikowanego niż proste ogniste koła. Powinien był spędzać mniej czasu wśród starych manuskryptów, a więcej z Biblią.

Koła ustawiły się w pierścień ponad zamkiem i obracały się szybko, jedno za drugim, zbliżając się do siebie i opuszczając w dół, aż wydawało się, że stanowią jeden wielki ognisty krąg, zawieszony ponad starą budowlą. Głębokie dudnienie przeszło w pełen grozy ryk, gdy ognisty krąg zwiększył prędkość, zmniejszając jednocześnie swą średnicę, i miarowo opuszczał się coraz niżej, by otoczyć zamek.

Baszty i wieże strzelnicze zaczęły rozsypywać się, poprzez ryk słychać było łoskot spadających odłamów gruzu. Z ognistego koła wystrzeliła niebieska błyskawica i uderzyła w ziemię tak mocno, że okolica zatrzęsa się i zafalowała.

Cornwall wyciągnął instynktownie obie ręce w górę, aby osłonić głowę, ale zafascynowany widokiem, nie schował jej. Mary przysunęła się blisko do niego; gdzieś z prawej strony ktoś - najprawdopodobniej Płaksa - piszczał z przerażenia.

Powietrze było poprzecinane świetlistymi piorunami, grawerowanymi na niebie przez płomienne koło, cała ziemia drżała, huk był tak potężny, że sam wydawał się siłą, która trzyma w morderczym uścisku.

Od środka ognistego kręgu wznosiła się ogromna chmura i widząc ją, Cornwall uświadomił sobie, że to pył i kurz z rozpadających się murów, unoszący się przez okrąg jak dym z paleniska, wylatujący przez komin.

Nagle wszystko skończyło się. Ognisty pierścień wzniósł się szybko w powietrze i rozdzielił na pięć mniejszych ognistych kół, te zaś wystrzeliły w górę i błyskawicznie oddaliły się w kierunku wschodnim. Po paru sekundach zniknęły.

Świat szybko odzyskał swą ciszę i jedyne, co było teraz słychać, to odgłos spadających kamieni

dochodzący z kupy gruzu, z miejsca, gdzie królował nad okolicą Zamek Bestii Chaosu.

Trzeciego dnia późnym popołudniem doszli dowody. Charakter krajobrazu stopniowo zmieniał się.

Niegościnną pustynia powoli ustępowała miejsca równie wyschłej, lecz nie sprawiającej tak ponurego wrażenia wyżynie. Wieczorem pierwszego dnia widoczne było w oddali wypiętrzenie Mrocznych Turni; teraz, gdy podeszli do strumyka, góry wznosiły się prawdopodobnie o dzień drogi - wielki łańcuch wspinający się do nieba, wyrastający nagle z równiny, nie poprzedzony pogórzem.

Woda skończyła im się już poprzedniego dnia; udało się oszczędzić tylko niewielki bukłak z juków, które spadły ze spłoszonego konia. Wcześniej spędzili kilka bezowocnych godzin próbując dostać się do studni na dziedzińcu zamku, do której dostęp został odcięty przez zwały gruzu i wciąż padające kamienie.

Rozpalili ognisko i przygotowali kolację.

- Zostało jeszcze na jutrzejsze śniadanie i to koniec - powiedziała Mary. - To już reszta mączki kukurydzianej.

- Tam będzie dziczyzna - rzekł Hal. - Nie przepadacie za nią, wiem, ale to lepsze niż głodowanie.

Płaksa zbiegł z pagórka i przykucnął przy ognisku.

- Nic niezwykłego - stwierdził. - Zrobiłem rekonesans po okolicy. Nikogo w zasięgu wzroku.

Żadnych śladów, nawet starych. Absolutnie nic. Jesteśmy jedynymi żywymi stworzeniami, jakie kiedykolwiek tędy przechodziły. Oznacza to, według mnie, że nie powinniśmy się tutaj znajdować.

Powinniśmy natychmiast wracać.

- Równie dobrze możemy ruszyć naprzód - powiedział Gib. - Ta sama droga. Może nawet krócej.

Poza tym niesiemy topór dla Prastarych.

- Ci cali Prastarzy - powiedział Płaksa - jeśli ich w ogóle znajdziemy, wezmą ten wasz cenny topór i z ogromną przyjemnością porozwalają nam głowy.

- Przestań zrzędzić, Płakso - rzekł Hal. - Nie mieliśmy szczęścia, to prawda. Straciliśmy konie i większą część zapasów, ale przecież wyszliśmy cało z tej awantury na zamku, a to przecież więcej, niż mogliśmy oczekiwać.

- Taaak - odparł Płaksa - a kiedy Ten, Który Wysiaduje w Górach zstąpi z gór, zerwie ostatni łańch z naszych grzbietów i skopie nas tak, że zostaną sine ślady na naszych tyłkach, pewnie powiesz, że mamy szczęście, bo przecież mógł...

- Och, przestańcie - zdenerwowała się Mary. - Jesteśmy tutaj, prawda? Ciągle żyjemy. Znaleźliśmy wodę, zanim jej brak dał nam się we znaki, i nawet...

- Czuję pragnienie - przerwał jej Płaksa. - Nie wiem, jak wam, ale mnie tak bardzo chce się pić, że prawie pluję piaskiem.

Wiadro podszedł spokojnym krokiem do ogniska i zatrzymał się. Stał tak, w ogóle nie poruszając się.

- Chciałbym go rozszyfrować - powiedział Gib. - Nic nie robi. Nie mówi i zdaje się, nie słyszy.

- Nie zapominaj - rzekł Cornwall - że to on nas ostrzegł w zamku. Gdyby nie on, zostalibyśmy bez wątpienia złapani w potrzask.

- Nie zapominaj również — dodał Hal - że on nosi większą część zapasów, które uratowaliśmy.

Dużo ponad swój przy-

dział. Wysuwa te liny, które służą mu za ramiona, zaczepia o pakunki i...

- Ale to przecież przez niego - rzekł Płaksa - wpakowaliśmy się w tarapaty. Te piekielne koła polowały na niego, mówię wam. Czymkolwiek by były, nie zawracałyby sobie głowy nami czy tą bandą, która tam mieszkała. Nikt z nas nie był dla nich ważny. To Bestia Chaosu albo Blaszone Wiadro mieli dla nich tak duże znaczenie, że po nich przyleciały.

- Gdyby nie te koła - zauważył Gib - ciągle tkwilibyśmy w zamku. Koła wystraszyły skutecznie diabły wcielone. Potem, co prawda, mieliśmy drobne problemy, ale wszystko skończyło się dobrze.

- To zabawne - włączył się do rozmowy Oliwer -jak teraz łatwo nam się rozprawia o tych kołach.

Wtedy byliśmy śmiertelnie wystraszeni, a teraz gawędzimy sobie o tym tak swobodnie. To było coś, czego do tej pory nie rozumiemy, coś przerażającego, czego nigdy przedtem nie doświadczyliśmy, a teraz spokojnie odarliśmy to z wszelkiej tajemniczości i mówimy o tym jak o najnormalniejszej w świecie rzeczy.

- Chodzi o to - powiedział Hal - że zdarzyło się tak wiele, że staliśmy się niewrażliwi. W końcu dochodzisz do takiego momentu, gdy przestajesz się ogóle dziwić i zaczynasz przyjmować niezwykle historie jak coś trywialnego. Każdy z nas żyje zwyczajnie, tydzień mija za tygodniem bez zadziwiających wydarzeń i właściwie cieszy nas to, że nic się nie dzieje. Jesteśmy przyzwyczajeni, że dni płyną monotonicznie. Natomiast podczas tej wyprawy tak przywykliśmy do niezwykle sytuacji, że nie uważamy ich za niezwykle. Nie zastanawiamy się nad nimi. Może dlatego, że nie mamy czasu.

- Długo myślałem o tych kołach - powiedział Cornwall. -Jestem skłonny zgodzić się z Płaksa, że chodziło im o Bestię albo Wiadro. Raczej o Bestię, bo one lub ci, co je wysłali, pewnie nie wiedzieli, że Bestia Chaosu nie żyje. Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby wiedzieli o istnieniu Blaszanego Wiadra.

- Mogli wiedzieć - rzekł Płaksa. - Jeśli wiedzieli o Bestii, mogli sobie wyliczyć, kiedy Wiadro się wylęgnie.

- To sprowadza nas do pytania -powiedział Cornwall - nie tylko, czym były ogniste koła, ale również czym była Bestia Chaosu i, oczywiście, czym jest Blaszanego Wiadro. Czy Wiadro to druga Bestia?

- Nie mamy pojęcia, jak wyglądała Bestia Chaosu - zauważył Gib. - Może Wiadro jest młodą Bestią i zmienia się w miarę upływu lat?

- Może - zgodził się Cornwall. - W Oksfordzie żyje uczonego gość, bardzo słynny badacz, który

niedawno ogłosił, że odkrył sposób, w jaki przez jakieś dziwne przeobrażenia robak przemienia się w motyla. Mało prawdopodobne, by miał rację, i większość jego uczonych kolegów nie zgadza się z nim. Stał się już pośmiewiskiem z powodu tego odkrycia. Ale mnie się wydaje, że to może być prawdą. Jest wiele dziwnych zjawisk, których nie rozumiemy. Niewykluczone, że sama zasada jest słuszna i że Wiadro jest takim robakiem, który z czasem przejdzie przemianę i stanie się Bestią.

- Wołałabym - oświadczyła Mary - żebyście nie prowadzili takich rozmów w jego obecności. Jakby był przedmiotem, a nie żywą istotą. Martwą rzeczą. Przecież mógł wszystko słyszeć i rozumieć.

Jeśli tak, na pewno poczuł się wielce zażenowany.

- Spójrzcie na Szopa - odezwał się Oliwer - jak podkrada się do Wiadra!

Hal usiłował zerwać się z miejsca, ale Cornwall posadził go z powrotem.

- Popatrz lepiej! - powiedział.

- Ale Szop...

- Wszystko w porządku. Oni tylko tak się bawią.

Końcowa część jednego z ramion Wiadra upadła na ziemię i leżała tam w pozornym spokoju. Sam koniuszek podrygiwał rytmicznie. To na to drgające zakończenie zasadził się Szop. Skoczył nagle, lecz koniuszek w ostatniej chwili zdołał mu umknąć. Szop przyczał się, niby patrzył w bok, po czym nagle obrócił się, wyciągnął błyskawicznie łapę i schwycił końcówkę. Trzymając ją mocno, przewrócił się na grzbiet, dołożył drugą łapę i zaczął się siłować. Wiadro wysunął drugie niby-ramię

i połechtał Szopa w zadek. Ten puścił pierwszą końcówkę i fiknął salto do tyłu, by złapać drugą.

- Popatrzcie! Wiadro bawi się z nim! - szepnęła Mary. - Tak, jak używa się sznurka, by igrać z kociakiem. Nawet pozwolił mu złapać za swoje ramię!

Hal odprężył się.

- Niech mnie diabli! - westchnął.

- Więc Wiadro jest wbrew pozorom człowiekiem - stwierdziła Mary.

- Człowiekiem? - zaproponował Cornwall. - Taka rzecz nigdy nie będzie człowiekiem. Po prostu odpowiedział na zaproszenie do zabawy i dlatego wydaje się nieomal ludzki.

- Kolacja gotowa - powiedziała Mary. - Zjedzcie wszystko. Zostało nam jedzenia tylko na jutrzejsze śniadanie. Szop i Wiadro bawili się spokojnie dalej.

„Jutro - rozmyślał Cornwall - pójdziemy w kierunku gór, gdzie przystąpimy do poszukiwania Prastarych. No, a co potem, jak ich już znajdziemy albo zdobędziemy pewność, że to niemożliwe? Co później? Z pewnością nikt nie zgodzi się zawrócić i przeprowiać po raz drugi przez Przekłątą Równinę, bez koni, za to z perspektywą spotkania z czyhającymi diabłami wcielonymi. Bo pewnie diabły tam na nas czekają; takiej możliwości nie można w żadnym wypadku lekceważyć.”

Usiadł na piaszczystym stoku, prowadzącym do strumienia. Oparł się o wielki głaz. Z lewej strony wśród ciemności migotało ognisko i widział sylwetki zgromadzonych wokół niego. Miał nadzieję, że choć przez chwilę nie będą za nim tęsknić. Z niewiadomych powodów chciał być sam. Może aby przemyśleć parę spraw, chociaż zdawał sobie sprawę, że czas na myślenie już minął. Trzeba było pomyśleć dużo wcześniej, zanim wdał się w tę nieprawdopodobną awanturę. Wiedział, że gdyby

wszyscy poważnie zastanowili się kilkanaście dni temu, może w ogóle by się w to nie wplątali. Powziął decyzję pod wpływem chwilowego impulsu, kiedy dowiedział się, że wykryto kradzież pisma z księgi. Przecież, gdyby się zastanowić, nie musiał wcale uciekać. Mógł znaleźć setki miejsc w miasteczku uniwersyteckim albo w mieście, by ukryć się i przeczekać. Wyimaginowana konieczność zniknięcia z Wyalusing była niczym innym jak pretekstem, by wyruszyć na poszukiwanie Prastarych. Może podświadomie pragnął uciec od nudy i monotonii dnia codziennego, o czym rozprawiali Oliwer z Halem kilka godzin temu.

Doszedł go z tyłu szelest i zerwał się na równe nogi. To była Mary.

- Zastanawiałam się, gdzie jesteś. Szukałam cię. Chyba nie masz nic przeciwko temu?

- Trzymałem dla ciebie miejsce - odrzekł. Wyciągnął rękę i poprowadził ją do kamienia, przy którym przed chwilą siedział. Pomógł jej usiąść i sam usiadł obok.

- Co tu robisz? - zapytała.

- Rozmyślam. Zastanawiam się, czy mieliśmy prawo tu przybyć i co powinniśmy teraz zrobić.

Oczywiście iść dalej i próbować odnaleźć Prastarych. Ale co później? A jeśli ich nie znajdziemy?

Co wtedy? Czy pójdziemy dalej, krocząc od przygody do przygody, wędrując dla samego wędrowania, aby poznawać nowe rzeczy? Możemy przypłacić to życiem. I tak mieliśmy dotąd dużo szczęścia.

- Nic złego nam się na pewno nie przydarzy. Do tej pory nie miałeś takich obaw. Nie martw się, znajdziemy Prastarych, Gib odda im topór i wszystko ułoży się tak, jak powinno.

- Jesteśmy bardzo daleko od domu i być może nie ma powrotu. A przynajmniej nie będzie on łatwy. Jeśli chodzi o mnie, to mi nie zależy. Nigdy nie miałem domu, z wyjątkiem może uniwersytetu, ale to też nie był prawdziwy dom. Raczej miejsce czasowego pobytu. Chociaż dla Oliwera on mógł być domem. Mieszkał od lat między krokwiami w bibliotece. Ale Gib ma swoje bagnisko, a Hal i Szop - puste drzewo. Nawet Płaksa ma swą kopalnię i warsztat płatnerski. A ty...

- Odkąd umarli moi przybrani rodzice, nie mam domu. Nie robi mi właściwie różnicy, gdzie jestem.

- Kierował mną impuls. Interesowałem się Prastarymi; prawdopodobnie było to czysto akademickie zainteresowanie, ale mimo to cała sprawa wydawała mi się niesłychanie zajmująca. Nie powiem ci, dlaczego, bo sam nie wiem. Studiowałem ich język, czy też to, co się za niego uważa. Nikt nie jest pewien, czy oni w ogóle istnieją. Przypadkiem natknąłem się na manuskrypt, w którym ten podróżnik...

- No i musiałeś tu przywędrować, by zobaczyć. Nie widzę w tym niczego zdrożnego.

- Nie byłoby w tym rzeczywiście nic złego, gdybym tylko siebie samego w to wplątał. Gdyby pustelnik nie umarł i nie zostawił topora Gibowi. Gdyby Hal nie był Mieszkańcem Lasu i przyjacielem Giba. Gdyby Gib nie uratował mnie od wilków. Gdyby Płaksa nie zrobił magicznego miecza. Gdyby żaden z tych faktów nie miał miejsca, nic z tego, co się teraz dzieje, nie wydarzyłoby się.

- Ale się wydarzyło. I pomijając całą resztę, pozwoliło nam się spotkać. Nie możesz brać na swoje barki odpowiedzialności, bo tu nie ma żadnej odpowiedzialności; usiłujesz ją stworzyć i wziąć na siebie i nie robisz nic innego, jak tylko pomniejszasz nasz udział w całej sprawie. Nikt z nas nie jest tu wbrew swojej woli. Nikt nie żałuje.

- A Płaksa?

- Masz na myśli to, że zrzędzi? To przecież jego sposób bycia. Taki już jest. - Oparła głowę o ramię Corawalla. - Daj spokój, Mark. Nie martw się. Pójdziemy dalej, odnajdziemy Prastarych i wszystko skończy się dobrze. Może nawet odnajdziemy moich rodziców albo przynajmniej ich ślad.

- Jak dotąd nie znaleźliśmy nawet śladu. Szkoda, że nie zapytaliśmy w zamku, ale tam mieliśmy tyle innych spraw na głowie. .. To moja wina, powinienem był pamiętać.

- Pytałam. Rozmawiałam z tym okropnym z twarzą lisa.

- I co?

- Zatrzymali się w zamku. Odpoczywali tam przez parę dni.

Wokoło były tabuny diabłów wcielonych, bo, jak pamiętasz, trzymały się zawsze blisko zamku, ale to moim rodzicom nie przeszkadzało. Pomyśl, Mark, przeszli w spokoju przez Przeklętą Równinę, nie tknięci przez zgraję diabłów. Oni są gdzieś przed nami, i to jeszcze jeden powód, aby iść dalej.

- Nie mówiłaś mi, że o nich pytałaś.

- Jak wspomniałaś, było tyle innych zmartwień.

- Przeszli w spokoju. Oni muszą być cudowni. Co takiego w nich jest? Mary, czy dobrze ich

pamiętasz?

- Słabo. Pamiętam tylko urodę mojej matki. Urodę i poczucie bezpieczeństwa. Twarz matki ledwie sobie przypominam. Jakaś jasność z lekko zaznaczonymi konturami. Ojca nie pamiętam. Kochałam ich, naturalnie, ale nie pamiętam, dlaczego. Jedyne, co widzę, spoglądając w przeszłość, to trudne do opisanego piękno.

- A teraz jesteś tutaj. Przewędrowałaś już taki szmat drogi. Jedzenie prawie się skończyło, a całym twoim dobytkiem jest ta jedna sukienka, którą masz na sobie.

- Jestem tu, gdzie chcę być - odrzekła. Uniosła głowę, a on ujął jej twarz w dłonie i pocałował czule.

- Róg jednorożca działa - powiedział. - Oliwer, przeklęty drań, miał rację.

- Myślałeś o tym?

- Oczywiście, że myślałem. Ciągłe masz ten róg, prawda? Czy nie rozważałaś możliwości, by go gdzieś zapodziać, zgubić czy coś w tym rodzaju?

Usadowiła się wygodniej obok niego.

- Zobaczymy - powiedziała uszczęśliwionym głosem.

Natknęli się na Prastarych, gdy zapuścili się głęboko w góry. Wspinając się na strome zbocze, spotkali się z nimi oko w oko w momencie, gdy dochodzili do grani. Obie grupy zatrzymały się ze zdumieniem i stały w odległości nie większej niż sto stóp, przyglądając się sobie wzajemnie. Niewielki oddział Prastarych wybierał się prawdopodobnie na polowanie. Byli to mali, krępi ludzie, odziani w futra, uzbrojeni we włócznie zakończone kamiennymi grotami. Większość miała szare brody, chociaż było wśród nich też paru gołowąsów, zupełnie bez zarostu. Wszystkich razem nie było więcej niż tuzin. Ariergardę stanowiło dwóch mężczyzn, niosących na ramionach tykę, na której wisiało ciało, niepokojąco przypominające ludzkie.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza, w końcu Cornwall powiedział:

- Wreszcie znaleźliśmy ich. W ciągu ostatnich dni zaczynałem wątpić, czy w ogóle istnieją jacyś Prastarzy.

- A czy masz pewność, że to oni? - zapytał Hal. - Skąd w ogóle możesz być pewien? Nikt nie wie, jak oni wyglądają. To nie dawało mi przez cały czas spokoju; czego my właściwie szukamy?

- W opowieściach dawnych podróżników były pewne wzmianki - odparł Cornwall. - Jednak nigdy nic dokładnego. Żadnego rzetelnego potwierdzenia, żadnej relacji naocznego świadka; rozumiesz, tylko powtarzane pogłoski. Wszystko z drugiej ręki, żadnego dowodu, tylko jakieś aluzje, że Prastarzy są w przerażający sposób humanoidalni. Nawet ten nieznany autor słownika i gramatyki języka Prastarych nie miał nic do przekazania o nich samych. Zresztą, może miał, ale ta część manuskryptu została zagubiona lub wykradziona, lub z niewiadomego powodu skonfiskowana przez jakiegoś nadgorliwego sługę Kościoła wieki temu. Jeśli chcecie wiedzieć, podejrzewałem, że oni mogą być ludźmi, ale nie miałem żadnej pewności. Weźmy ten topór, który niesie Gib.

Wygląda na dzieło człowieka, bo któż inny umiałby tak pięknie obrobić kamień?

- Teraz, gdy ich znaleźliśmy - rzekł Płaksa - co zrobimy z tym fantem? Czy Gib ma lecieć do nich i wręczyć im od razu topór? Ja na twoim miejscu, Gib, dobrze bym się zastanowił. Nie podoba mi się wygląd tej upolowanej przez nich zwierzyny.

- Zejdę do nich i porozmawiam - zaproponował Cornwall.

- Zostańcie tu i nie ruszajcie się z miejsca. Nie róbcie żadnych gwałtownych ruchów. Nie chcemy przecież ich wystraszyć.

- Jakoś mi oni nie wyglądają na bojaźliwych - stwierdził Płaksa.

- Będę cię ubezpieczał - powiedział Hal do Cornwalla. - Jeśli odniosą się do ciebie wrogo, nie próbuj odstawiać bohatera.

Cornwall odpiął pas z mieczem i wręczył Mary.

- Już po nas - lamentował Płaksa. - Ogryzą nasze kości, nim zapadnie noc!

Uniósłszy ręce z otwartymi dłońmi wysoko w górę, Cornwall zaczął powoli schodzić zboczem.

- Przychodzimy w pokoju! - krzyknął w języku Prastarych, mając nadzieję, że jego wymowa jest zrozumiała. - Nie chcemy walczyć. Nie chcemy zabijać!

Czekali, obserwując uważnie, jak się do nich zbliża. Dwaj, którzy nieśli upolowaną zwierzynę, upuścili ją i dołączyli do pozostałych. Nikt nie odpowiedział na jego słowa. Stali nieruchomo, żaden nawet nie drgnął. Szare brody skrywały wyraz twarzy. Dotychczas nie zrobili żadnego nieprzyjaznego gestu, ale to mogło się stać w każdej chwili, bez najmniejszego ostrzeżenia.

Cornwall zatrzymał się sześć stóp przed nimi i opuścił ręce.

- Szukamy was - powiedział. - Przynosimy wam dar.

Nie zareagowali. W ich oczach nie widać było cienia zrozumienia. Zastanowił się przez moment, czy zrozumieli choć słowo z tego, co mówił.

- Jesteśmy przyjaciółmi - rzekł wolno i czekał. W końcu jeden z nich odezwał się:

- Skąd my wiemy, wy przyjaciele? Może wy demony. Demony mają różne kształty. My polujemy na demony.

Wskazał gestem na to, co było przewieszane przez tykę. Kilku z Prastarych odstąpiło na bok, by Cornwall mógł lepiej widzieć. Wyglądało to jak ludzkie zwłoki, ale o ciemnej, niemal siennej skórze. Miało długi, cienki ogon, na czole krótkie rogi. Stopy były zakończone kopytami.

- My złapali go - powiedział rzecznik grupy. - Łapiemy dużo. Ten mały. Mały i młody. I bardzo głupi/Łapiemy też stare.

- Oblizął usta. - Dobre jedzenie.

- Jedzenie?!

- Smażymy na ogniu. Jemy. - Odegrał pantomimę wkładania czegoś do ust i żucia. - Wy jecie?

- Jemy - odparł Cornwall - ale nie demony. Nie jemy również ludzi.

- Dawno temu my jedli ludzie. Teraz nie. Tylko demony. Ludzie wszystkie poszli. Nie ma ludzi do jedzenia. Za to dużo demony. Stara legenda mówi, że jedli ludzie. Ale my nie potrzebujemy ludzi, jak długo są demony. To - wskazał na ciało przyczepione do tyki - bardzo miękkie jedzenie. Nie ma dużo wkóło. Tylko po mały kawałek dla każdy. Ale to bardzo dobre jedzenie. - Wyszczerył poczerwiałe pieńki zębów na myśl, jakie smaczne będzie to pożywienie.

Cornwall poczuł, że napięcie powoli opada. Fakt, że Prastary był rozmowny, uważał za dobry znak. Nie prowadzi się przecież pogaduszek z kimś, kogo zamierza się zabić. Powiódł spojrzeniem po twarzach Prastarych. Nie były przyjazne, ale i nie malowała się na nich wrogość.

- Ty pewny, wy nie demony? - spytał Prastary.

- Jestem pewien - odparł Cornwall. — Jestem człowiekiem tak jak wy. Tamci - wskazał ręką na pozostałych - są przyjaciółmi.

- Demony chytre. Nienawidzą nas. My łapiemy ich tak dużo. Zrobiliby wszystko, by nas poranić. Mówisz, macie dar dla nas.

- Tak, mamy dar.

Prastary wzruszył ramionami.

- Dar nie dla nas. Dar dla Starego Człowieka. Takie prawo.

- Potrząsnął głową. - Wy ciągle może demony. Jak my by to wiedzieli? Wy zabijecie demona?

- Tak, będziemy radzi zabić demona.

- To wy chodźcie z nami.

- My radzi iść z wami.

- My by sprawdzili jeszcze jedna pułapka. Wy zabijcie demona, jak by go znaleźli w niej. My by wtedy wiedzieli, że wy nie demony. Demony by się nie zabijali.

- A jeśli nie będzie demona w pułapce?

- Demon jest. My użyli dobra przynęta. Demon nie umie przejść, żeby się nie złapać. Na pewno

demon jest. My poszli. Wy zabijcie demona. Potem poszli do domu. Wszystkie. Dobre jedzenie.

My by jedli i tańczyli. Wy by dali dar dla Starego Człowieka. My by siedzieli i rozmawiali. Ty by mówił, my by też mówili. Wszystkie by mieli dobry czas.

- Brzmi nieźle - rzekł Cornwall.

Pozostali Prastarzy szczerzyli się do niego, położywszy dzidy na ramionach. Dwaj, którzy dźwigali młodego demona, podnieśli tykę. Demon zwisał żałośnie, jego ogon ciągnął się po ziemi.

Cornwall odwrócił się i skinął głową na czekających na zboczu.

- Wszystko w porządku! - krzyknął. - Idziemy z nimi!

Zeszli dość szybko. Rozmowny rzecznik Prastarych towarzyszył Cornwallowi, myśliwi wspinali się skośnie zboczem, kierując się na północ.

- Co się dzieje? - zapytał Hal.

- Zaprosili nas, byśmy poszli razem z nimi. Polują na demony.

- Masz na myśli to, co niosą na kiju? Cornwall przytaknął.

- Mają sprawdzić jeszcze jedną pułapkę. Chcą, żebyśmy zabili demona na dowód, że sami nimi nie jesteśmy.

- To nie będzie żaden dowód - zauważył Płaksa. - Przecież człowiek zabija człowieka. Zobacz, ilu ludzi zostało zabitych przez ludzi! Dlaczego demon nie miałby zabić demona?

- Być może - odezwał się Oliwer - Prastarzy nie potrafią wnioskować logicznie. Zresztą, wielu ludzi też ma dziwaczne pomysły.

- Oni myślą, że jesteśmy demonami? - zdziwiła się Mary. - Przecież nie mamy kopyt ani rogów.

- Uważają, że demony potrafią zmieniać kształty. - Cornwall zwrócił się do Prastarego: - Moi przyjaciele nie umieją mówić w waszym języku. Prosili, bym wam przekazał, że cieszą się, że was spotkali.

- Ty powiedz im, dziś wieczór u nas wielka uczta z demona.

- Powiem im - obiecał Cornwall.

Mary wręczyła mu miecz, ale zanim zdążył go przypasać, rzecznik grupy rzekł:

- My by musieli iść szybciej, bo inne już poszli. Jak nas tam brak, to oni by z podniecenia zabili demona, a przecie my by chcieli, żeby to wy go zabili.

- Dobrze - rzekł Cornwall. Zwrócił się do przyjaciół: - Pośpieszmy się. Nie możemy pozwolić sobie na marudzenie!

- Kiedy mam dać im topór? - spytał Gib, biegnąc truchtem obok Cornwalla.

- Później. Musisz go dać Staremu Człowiekowi. Takie jest prawo plemienne. Dziś wieczorem będzie okazja, na wielkiej uroczystej uczcie z tańcami.

- Uczcie z czego, przepraszam? - zapytał Płaksa, zerkając na demona dyndającego na kiju. - Jeśli to taka uczta, jak podejrzewam, nie wezmę niczego do ust. Wolałbym umrzeć z głodu, niż to jeść.

Prastary popędzał ich ciągle.

- Ja by chciał, ten był gruby i duży - powiedział. - Ten, co my złapali, mały i chudy. A nam trzeba gruby i duży.

Przekroczyli grań i schodzili w dół stromego wąwozu. Wąwóz skręcał raptownie i gdy myśliwi byli już za zakrętem, nagłe krzyki doleciały do uszu podróżników. Pospiesznie przemierzyli zakręt i zobaczyli, że Prastarzy podskakują dookoła czegoś, machając włóczniami i krzycząc triumfalnie.

- Cześć! - ryknął na całe gardło towarzysz Cornwalla. - Nie zabijać go! Cześć na nas!

Myśliwi obrócili się i przestali wrzeszczeć. Ale ktoś nadal to robił.

- Wypuście mnie stąd, do diabła! Co sobie wyobrażacie! Banda obmierzłych dzikusów!

Cornwall przedzierał się przez drepczących w miejscu myśliwych i nagle stanął.

- To nie demon - rzekł Gib. - To nasz stary przyjaciel Jones.

- Jones - krzyknął zdumiony Cornwall - co pan tu robi? Co się stało? Jak pan się tu dostał?

Jones stał pośrodku niewielkiej przecinki, przy której wznosił się potężny dąb. Szerokie smugi

migotliwego światła tworzyły połyskujący trójkąt między trzema metalowymi prętami, ustawionymi w ten sposób, że obejmowały przecinkę i dąb. Jones stał, trzymając w ręku osobliwy przedmiot z drewna i metalu. Przy dębie siedziała w kucki naga dziewczyna. Nie wyglądała wcale na wystraszoną.

- Dzięki Bogu, to wy! - ucieszył się Jones. - Skąd się tu wzięliście? Hm, wygląda na to, że udało wam się przejść przez Przekłętą Równinę. Nigdy bym nie przypuszczał! Wyruszyłem w drogę, aby was odnaleźć, lecz popsuł mi się motocykl. Dobra, teraz wydostańcie mnie stąd. - Pomachał dziwnym przedmiotem. - Byłoby szkoda, gdybym musiał skosić tych biedaków.

Towarzyszący Corn wal łowi Prastary podskakiwał jak oparzony.

- Ty umie z nim rozmawiać! - zaskrzeczał. - Ty umie rozmawiać z demonem!

- To nie demon - powiedział Cornwall. — On jest tym, kim ja jestem. Musicie go uwolnić. Prastary wycofał się spieszenie.

- Demony! - krzyczał. - Wy wszystkie demony! Ręka Cornwalla powędrowała na rękojeść miecza.

- Pozostać na swoich miejscach! - krzyknął, wyciągając niezręcznym ruchem miecz. Spojrzał na pozostałych Prastarych. Natychmiast uformowali ławę i napierali z dzidami ustawionymi do ataku, niemniej bardzo ostrożnie.

- Stójcie! - krzyknął Jones i w tym samym momencie dało się słyszeć złowrogie terkotanie.

Małe obłoczki kurzu i od-pryskujące grudki ziemi wytyczyły prostą linię u stóp nacierających.

Zakończenie dziwnego, podobnego do kija przyrządu

w rękach Jonesa błyskało gniewną czerwienią i czuć było ostry zapach, jakby coś się paliło.

Szereg Prastarych zatrzymał się. Stali jak zakłęci, ale nie opuścili włóczni.

- Następnym razem - rzekł spokojnie Jones - wyceluję troszkę wyżej. Z przyjemnością wypruję wam flaki!

Jeden z Prastarych, który usiłował wycofać się chyłkiem, zamarł w pół kroku. Wpatrywał się w

miecz trzymany przez Cornwalla i jak w transie upadł na kolana, mamrocząc coś pod nosem.

- Opuśćcie włócznie! - rozkazał gromkim głosem Cora-wall.

Ława posłuchała, włócznie opadły grotami w dół.

- Miej ich na oku, Hal. Jeżeli zrobią jeden ruch...

- Reszta niech przejdzie na tę stronę - polecił Hal. - Jones ma cudowną broń i potrzebuje dla niej miejsca.

Prastary, który padł na kolana, pełzał teraz po ziemi, wydając jęki przerażenia. Cornwall podszedł do niego i energicznym szarpnięciem postawił go na nogi. Prastary odsunął się i usiłował wyrwać, ale Cornwall przytrzymał go.

- Jak się zwiesz? - zapytał Cornwall. Tamten usiłował coś odpowiedzieć, ale zęby szczękały mu tak mocno, że nie mógł wyartykułować słowa.

- No, prędzej, mów. Jak cię zwa?

Naraz Prastary wybuchnął potokiem płaczliwych słów:

- Błyszczące ostrze! Błyszczące ostrze jak w nasza legenda! - Wpatrywał się nadal w pełnym strachu urzeczeniu w rzucający odblask miecz.

- W porządku - powiedział Cornwall. - To jest błyszczące ostrze. Ale teraz powiedz mi, jak cię zwa. Myślę, że ty i ja powinniśmy znać swoje imiona.

- Przetracony Niedźwiedź - odparł Prastary.

- Przetracony Niedźwiedź. Bardzo ładnie. A ja jestem Cornwall. To nietypowe imię. To imię magiczne. Powtórz je.

- Cornwall - powtórzył tamten z trudnością.

- Wypuście mnie stąd! - wydarł się Jones. - Czy ktoś mnie wreszcie stąd wypuści?!

Wiadro podszedł do lśniącego ogrodzenia. Wyciągnął mackę i oplótł nią jeden z metalowych prętów. Wokół niego zamigotały iskry. Świetlne smugi zafalowały i zachwiały się, trzaskając i

strzelając. Szarpnięciem wyrwał z ziemi pręt i odrzucił na bok. Smugi zniknęły.

- I taki jest żalostny koniec tych wszystkich głupot - podsumował Płaksa. - Dlaczego ty, Mark, nie dasz swemu staremu przyjacielowi mocnego kopniaka w siedzenie?

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności - odparł Cornwall - ale mądrzej będzie nie próbować. Przecież potrzebujemy przyjaciół.

- Ładnymi okazali się przyjaciółmi.

Jones podszedł wielkimi krokami do Cornwalla, trzymając beztrąsko broń pod pachą. Wyciągnął rękę, a Cornwall uściskał ją serdecznie.

- O co chodziło? - zapytał Jones, wskazując gestem Przetraconego Niedźwiedzia. - Nie zrozumiałem ani słowa z waszej rozmowy.

- Bo mówiłem w języku Prastarych.

- A więc to są ci Prastarzy, o których pan wspominał! Boże, przecież to banda neandertalczyków, choć muszę przyznać, że są dobrymi łowcami. Używają prawidłowych przynęt. Była tu ta dziewczyna, nie najgorsza na oko, choć nie rewelacyjna, za to golusienka, jak ją pan Bóg stworzył, przywiązana do drzewa i robiąca umiarkowany hałas z powodu wilków w pobliżu.

- Neander... co?

- Neandertalczyków. Bardzo prymitywnych ludzi. W moim świecie już ich dawno nie ma. Wymarli jakieś trzydzieści tysięcy lat temu.

- Ale mówił pan, że nasze dwa światy rozdzieliły się dużo później niż trzydzieści tysięcy lat temu, a przynajmniej tak pan sugerował.

- Jezu Chryste, nie wiem. Kiedyś myślałem, że wiem, ale

teraz okazuje się, że mam coraz mniejsze rozeznanie i niczego w ogóle nie mogę być pewien.

- Powiedział pan, że wyruszył, by nas odnaleźć. Skąd pan wiedział, gdzie nas szukać, i co się panu wcześniej przytrafiło? Gdy dotarliśmy do pańskiego obozu, okazało się, że opuścił go pan.

- Opowiadał pan o Prastarych z takim przekonaniem, że odniosłem wrażenie, że jesteście absolutnie zdecydowani, żeby ich odnaleźć; wiedziałem, że będziecie musieli przejść przez Przekłętą Równinę, by tu dotrzeć. Usiłowałem was wyprzedzić. Napomknął pan coś o uniwersytecie, coś, co powiedziały panu te pańskie małe gnomy.

- Wyruszył pan na poszukiwanie uniwersytetu?

- Tak, właśnie. I znalazłem go. Zaraz panu opowiem...

- Ale jeśli go pan znalazł...

- Cornwall, niech pan będzie rozsądny. Tam jest wszystko. Wszystkie zapisy, wszystkie księgi. Ale to jest napisane jakimś niezrozumiałym językiem. Nie byłem w stanie odczytać ani jednej linijki.

- I wtedy pomyślał pan, że my może panu pomożemy?

- Niech pan posłucha, Cornwall. Zagrajmy w otwarte karty. Co to dla pana za różnica? Nasze światy są tak odległe, należymy do różnych miejsc. Ale nie zmienia to faktu, że możemy zachowywać się rozsądnie. Pan robi coś dla mnie, a ja dla pana. Tak przecież toczy się świat.

- Myślę - przerwał im Hal - że lepiej będzie, jeśli wyruszymy. Tubylcy robią się bardzo niespokojni.

-• Ciągłe nie mają pewności, czy nie jesteśmy demonami -powiedział Cornwall. - Będziemy musieli ich przekonać, udając, że jemy demona. Bo jak raz zakorzeni się w ich mózgach idiotyczna myśl... - Zwrócił się do Przetraconego Niedźwiedzia: - Teraz idziemy do domu. Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. Będziemy jeść i tańczyć do białego rana. Wszyscy będziemy braćmi.

Przetracony Niedźwiedź zaskomlał:

- Błyszczące ostrze! Błyszczące ostrze!

- O Chryste, ten znowu swoje. To z jakiejś legendy, przekazywanej z pokolenia na pokolenie. Dobrze, w porządku, schowam je. - Włożył miecz do pochwy i zwrócił się do Przetraconego Niedźwiedzia: - No, to idziemy, bo wszyscy jesteśmy głodni. Zabierz swoją przynętę.

- To szczęście, że my upolowali nie tylko demon, bo by ta uczta była głodowa - powiedział

Przetracony Niedźwiedź. -Ale w domu dużo, niedźwiedź, sarna i łoś. My mogliby tarzać się w tym.

Cornwal l położył mu rękę na ramieniu.

- Cieszę się. Będziemy jeść, aż nam będzie tłuszcz ściekał po brodach. Do oporu. Wszyscy razem będziemy się opychać.

Przetracony Niedźwiedź uśmiechnął się, pokazując pozostałości zębów.

- Wy nie demony. Wy bogi błyszczącego ostrza. Dziś wieczór duże ognisko i wszyscy szczęśliwi. Bo bogi przyszli z wizytą.

- Czyżby ktoś coś napomknął o uczcie? - spytał Jones. -Spójrzcie, kto nadchodzi. Ten skurczygnat wyniucha dobre jedzenie z odległości miliona mil!

To był oczywiście Plotkarz. Jego podarte ubranie powiewało na wietrze, gdy szedł, stawiając sztywno patykowate nogi. Kruk siedział mu na ramieniu jak zmokła kura na grzędzie, skrzecząc nieprzyzwoitości. „Wygląda, jakby go mole jeszcze bardziej wyżarły” - pomyślał Cornwall.

Za Plotkarzem kulał wolno mały biały pies w okularach.

Stary Człowiek nie był w najlepszej formie. Nie miał jednego oka, biegnąca od pustego oczodołu blizna przecinała skośnie policzek i kończyła się u nasady szyi. Dotknął jej palcem wskazującym i przeciągnął przez całą jej długość. Dłoń była pozba-

wioną trzech palców, został tylko kciuk i palec wskazujący. Prastary utkwiał w Cornwallu swoje jedyne błyszczące oko.

- Oko w oko - opowiadał. - On i ja. Stary niedźwiedź tak sprytny jak ja. On mnie ranił, ale ja wygrał. My go zjedli. Przyciągnęli do domu i ugotowali. Był bardzo żylasty. Twardy do jedzenia, trudny do żucia. Ale dla mnie miał bardzo słodkie mięso, najśłodsze, jakie ja jadł. - Aż zakrzusił się od swego żartu chichocząc. Większość zębów już mu wyleciała. - Teraz ja by go już nie zjadł. - Wskazał na swoje otwarte usta. - Zęby wylecieli. Wiesz, czemu?

- Nie, nie wiem - powiedział Cornwall.

- Bo ja nie jest już dobry. Sztywny w nogach. Jedna ręka dobra. Jedno oko poszło. Ale te - wskazał na grupę Prastarych, którzy przycupnęli za nim i po obu jego stronach - te nie śmia mnie ruszyć. Wiedzą, że jestem chytry i sprytny. Zawsze ja byłem chytry i sprytny. Ja by nie żył długo, gdyby ja nie był chytry i sprytny. Ja słyszał, że ty bóg i u ciebie błyszczące ostrze.

- Tak, mam błyszczące ostrze, ale nigdy nie obwoływałem się bogiem. Przetrącony Niedźwiedź mnie za takiego uważa. Stary Człowiek fuknął pogardliwie.

- Przetrącony Niedźwiedź więcej gada, niż wie. - Zamachnął się łokciem i dał Przetrąconemu Niedźwiedziowi sójkę w bok. - No nie, Przetrącony Niedźwiedź?

- Nie więcej niż ty - odparł zaczepiony. - Ma usta pełne słów, ale to tylko słowa.

- On by chciał moje miejsce - wyjaśnił Stary Człowiek. - Ale nie może. Jedna moja ręka na jego tłusty kark i ja by go udusił. Moja dobra ręka, nie zła ręka. Ja by go na pewno złapał dobrą ręką. - Zaśmiał się rubasznie bezzębnymi ustami.

- Ty mówisz o walce - powiedział Przetrącony Niedźwiedź - ale tobie ktoś musi pomagać. Ty sam nie da rady nawet wstać.

- Ja by nie musiał wstawać, żeby cię udusić. Ja by to zrobił na siedząco.

- O czym oni tak gadają? - zapytał Jones.

- Ten tu przechwala się, jaki z niego siłacz - wyjaśnił Cornwall.

Powyżej miejsca, gdzie siedzieli, na skalnym występie, rozpalono trzy wielkie ogniska. Na ustawionych rożnach z gałęzi piekło się mięso. Wokół panował niebywały rozgardiasz: kobiety krzątały się, pod nogami plątały się dokazujące dzieci, sfory psów krążyły, pozornie bezcelowo, ale bacznie obserwując, co spada na ziemię, jednocześnie stale mając na oku pieczenie na rożnach. Szop, przycupnąwszy między Halem a Mary, zerkał co chwila, kontrolując pozycje najbliższych psów. Mary powiedziała doń zdecydowanie:

- Siedź spokojnie. Wiem, że potrafisz wykołować pół tuzina psów, ale tu jest ich więcej. Hal uśmiechnął się.

- Nie musisz się obawiać. One na pewno go nawet nie drasną. Pozwól mu tylko wycofać się do kąta i da radę wszystkim.

- Tak czy owak, nie ma ruszać się z miejsca. Nie musi niczego udowadniać. Poradził sobie z tymi, co atakowali go na niego, i to wystarczy jak na jeden dzień.

Gib wskazał głową na Starego Człowieka.

- Kiedy mam mu wręczyć topór?

- Dajmu trochę czasu - rzekł Jones. - Prawdopodobnie przygotowuje się na to. Przetrącony Niedźwiedź na pewno mu doniósł, że macie dla niego dar, więc ma tego świadomość. Ale takie rzeczy podlegają prawu plemiennemu i specjalnemu uroczystemu protokołowi. On nie może pokazać, że się niecierpliwi. Musi dbać o swoją godność i reputację.

Stary Człowiek zaczął przemawiać:

- Wy przejechali dużą drogę. Wy przybyli z daleki kraj. Przeszli przez Przekłętą Równinę.

Zwyciężyli diabły wcielone. Ale jak wy dali sobie radę z Bestia Chaosu?

- Nie pokonaliśmy diabłów wcielonych - odparł Cornwall. - One przed nami uciekły.

Zatrzymaliśmy się w Zamku Bestii Chaosu, a teraz jest on kupą gruzu. Bestia nie żyje.

Stary Człowiek podniósł rękę do ust, by wyrazić swoje zdziwienie.

- Znaczy, wy rzeczywiście są bogi. A jeden jest z wami, co nie jest z normalnego mięsa i ma trzy nogi jak żaden człowiek.

- On jest zaczarowany - wyjaśnił Cornwall. - Tak jak moje błyszczące ostrze.

- A ten róg, co go ma kobieta? Też zaczarowany? On jest od jednorożca.

- Znacie jednorożce? Wciąż tu żyją?

- W Miejscu Wiedzy. Tam są jednorożce. - Zrobił gest w nieokreślonym kierunku. - Dalej niż wąwóz. Żaden człowiek tam nie jedzie. Pilnują Ci, Którzy Wysiadują w Górach.

Cornwall zwrócił się do Jonesa:

- Mówi o Miejscu Wiedzy. Ma chyba na myśli uniwersytet. Mówi o wąwozie, że jest strzeżony przez Tych, Którzy Wysiadują w Górach. Nie przez Tego, Który Wysiaduje w Górach.

- Niewątpliwie ma rację - rzekł Jones. - Po prostu ktoś źle przetłumaczył. To wszystko. I jeszcze mamy wąwóz. Ten sam wąwóz, przez który przeszliśmy, by dotrzeć tutaj. Znam go. Przemierzyłem już ten wąwóz.

- I nie widział pan żadnego z Tych, Którzy Wysiadują w Górach?

- Ani jednego. Ale ja jechałem motocyklem, który, jak pan pamięta, robi piekielny hałas. Może ich wystraszyłem. Może chcieli się dowiedzieć, przed czym strzegą wąwozu. Poza tym jechałem w złą stronę. Od uniwersytetu, a nie w jego kierunku. Chciałbym z panem o czymś porozmawiać. Ten wasz robot...

- Jaki robot?

- Metalowy człowiek, który podróżuje z wami...

- Później - odparł Cornwall. - Porozmawiamy o tym później. - Zwrócił się do Starego Człowieka: - To Miejsce Wiedzy. Czy możemy się tam udać?

- To by była śmierć.

- Ale na pewno byli tacy, którzy tam powędrowali. Na przykład parę wiosen temu. Mężczyzna i kobieta...

- Ale oni byli inni...

- Inni?

- Oni szli w pokoju. Oni byli bez broni i byli samo dobro.

- Zatrzymali się tutaj? Widziałeś ich?

- Oni byli z nami jakiś czas. Nie umieli mówić z nami, ale nie musieli. My wiedzieli, że oni dobrzy.

- Czy próbowaliście ich ostrzec?

- My nie próbowali ich ostrzec. My nie musieli ich ostrzec. Oni mogli iść spokojnie, gdzie chcieli.

Nikt nie mógł zrobić im krzywdy.

Cornwall zwrócił się ciepło do Mary:

- Mówi, że twoi rodzice tutaj byli. Szukali uniwersytetu. Nic im nie groziło, ponoć nikt nie mógł wyrządzić im krzywdy.

- Możemy podążyć, dokądkolwiek oni podążyli - powiedział Jones.

- Nie - rzekł Cornwall. - Rodzice Mary mieli w sobie coś niezwykłego. Nie zrozumiemy tego.

- Przetracony Niedźwiedź powiedział mi - odezwał się Stary Człowiek - wy przynieśli coś dla mnie.

- To prawda - odparł Cornwall - ale to nie dar. I nie od nas. To coś, co należy do was. - Skinął na

Giba. - Daj mu topór - rzekł.

Gib wyciągnął przed siebie zawinięty topór, a Stary Człowiek capnął broń zdrową ręką. Położył topór na ziemi i zaczął go odwijać. Gdy broń była już odwinięta, usiadł, wpatrując się w nią bez słowa. W końcu podniósł głowę i popatrzył oskarżycielsko na Cornwalla zdrowym okiem.

- Ty zażartowałeś z nas - powiedział.

- Zażartowałem? - wykrzyknął Cornwall. - Skądże! Jedyne, co zrobiliśmy...

- Niech słucha - powiedział Stary Człowiek. - Niech słucha bardzo dokładnie...

- O co chodzi? - zapytał Gib. - Czy zrobiłem coś złego?

- Coś jest nie tak - rzekł Cornwall - i nie mam pojęcia co.

- Stara legenda mówi - powiedział Stary Człowiek - że ten topór, my dali, w przyjaźni, dawno temu, człowiekowi z innego kraju, który przechodził przez nasz kraj. Teraz ty go przyniósł z powrotem. To koniec przyjaźni.

- Nic o tym nie wiem - odparł Cornwall. - Nigdy o tym nie słyszałem.

Stary Człowiek ryknął:

- Wy plunęli nam w twarz! Nasz prezent przynieśli z powrotem. Teraz już nie ma przyjaźni!

Skoczył na równe nogi i kopnął topór. Za nim zerwali się pozostali Prastarzy, chwytając włócznie.

Cornwall powstał i wyciągnął miecz. Usłyszał za sobą parsknięcie i słowa Jonesa:

- Ja będę ich kosił, a pan niech zbiera ich na kupę.

- Jeszcze nie - odparł Cornwall. - Może uda nam się z nimi jeszcze dogadać.

- Też coś, dogadać - powiedział Jones.

- My nie boimy się bogi — rzekł Stary Człowiek. - Bogi nigdy nie wyśmiali nas. My by szybciej umarli, niż dali się wyśmiać!

- My nie wyśmiewamy się z was - powiedział Cornwall -ale jeśli nie macie nic lepszego do roboty niż umierać, to możecie zaraz zaczynać.

Nieoczekiwanie Stary Człowiek zrobił krok w jego stronę i zachwiał się, podnosząc ręce, jakby chciał się zasłonić przed ciosem niewidzialnego przeciwnika. Coś wystawało z jego piersi, krew spływała obficie po brzuchu. Powoli osuwał się, usiłując pozostać wyprostowanym. Zaskoczony Cornwall odsunął się, by nie upadł na niego. Gdy Stary Człowiek upadł, można było zobaczyć włócznię wbity w jego plecy. Za nim stał Przetracony Niedźwiedź z pustymi rękami.

- Teraz - oznajmił Przetracony Niedźwiedź - ten stary próżniak nieżywy. Ty i ja rozmawiamy.

Zapadła śmiertelna cisza. Dzieciaki już nie biegały i nie krzyczały, kobiety przestały trąkotać. Psy gdzieś zniknęły. Mężczyźni towarzyszący Przetraconemu Niedźwiedziowi nie odezwali się słowem. Stali w bezruchu, ściskając włócznie.

Przetracony Niedźwiedź wskazał w kierunku martwego wodza.

- On by nas dał zabić. Kilku nas, wszystkich was. My tego nie chcieli, no nie?

- Tak - potwierdził Cornwall - chyba tak.

- Ja ciągle nie wiem, czy wy bogi, czy demony. Ja myślę raz tak, drugi raz inaczej. Ale my wiemy,

że my was tu nie chcemy.

- Odejdziemy stąd z wielką przyjemnością.

- Ale najpierw wy nam coś dać za wasze życie.

- Nie jestem wcale pewien, czy będziemy się z tobą targować. Powiedziałeś, że wszyscy zginiemy, i może sienie mylisz. Że zginie kilku z was, i tu się z tobą nie zgodzę. Bardzo dużo waszych - to o wiele bardziej prawdopodobne. I obiecuję, mój przyjacielu, że ty będziesz pierwszy.

- My nie chciwi - powiedział Przetrażony Niedźwiedź. - Wszystko, co my chcemy, to ten kij, co dymi.

- O co chodzi? - spytał Jones.

- On chce kij, co dymi. Pańską broń.

- Ona temu idiocie na nic się nie przyda. Trzeba wiedzieć, jak się nią posługiwać. Prawdopodobnie zastrzeliłby się. Poza tym wcale nie mam zamiaru się z nią rozstawać.

- Kij może być niebezpieczny dla tego, kto nie umie się nim posługiwać - wyjaśnił Cornwall Przetrażonemu Niedźwiedziowi. - Może zabić tego, kto go ma, jeśli ten ktoś się z nim nie zaprzyjaźni. To silne czary, ale nie dla każdego. Tylko wielki czarownik może nauczyć się, jak się nimi posługiwać.

- My by chcieli kij - nalegał Przetrażony Niedźwiedź - i róg, który nosi kobieta, i błyszczące ostrze.

- Nie - odrzekł Cornwall.

- Niech mówi mądrość. Wy by nam dali kij, róg i ostrze, my by wam dali wasze życie. - Wskazał kciukiem na martwego Starego Człowieka. - Lepiej niż on dawał. On chciał dużo umarłych.

- Niech pan nie dyskutuje z tym skurczybykiem - powiedział Jones.

Cornwall wyciągnął rękę i odsunął broń Jonesa na bok.

- Otoczyli nas - rzekł Hal. - Kobiety i dzieci mają w rękach kamienie i maczugi...

Ktoś z tyłu popchnął mocno Cornwalla.

- Hej, o co chodzi?! - wrzasnął Cornwall.

Linopodobna macka wyrwała mu miecz z ręki.

- Nie wolno ci tego robić!

Druga macka uderzyła go w pierś i zwała z nóg. Gdy się podnosił, wściekły, zobaczył, że powietrze pełne jest zwijających się i poruszających jak błyskawice macek. Wysunięte na maksymalną długość, napierały na Prastarych, którzy, przerażeni, zbili się w grupkę pod skalną ścianą. Operowały między nimi, wrywając im z rąk włócznie. Jedna macka trzymała tuzin włóczy w pęku i wrywała następną.

- Co tu się, u diabła, dzieje?! - zawył Jones. — On mi zabrał strzelbę...

- Wiadro - darł się Cornwall - co ty, do pioruna, wyrabiasz?!

Prastarzy, którzy byli z Przetrąconym Niedźwiedziem, stłoczyli się przy ścianie, a wokoło słychać było zawodzenie; kobiety i dzieci biegały z płaczem. Psy podkuliły ogony i wyły.

Wiadro cisnął z rozmachem włócznie daleko poza krawędź skalnej półki, w ciemność wąwozu.

Zbierał kamienie i maczugi pogubione przez kobiety i dzieci, i wyrzucał je w ślad za włóczyami.

- On zwariował - pisnęła Mary. - Zabrał nawet mój róg.

- Zniszczę go - odgrażał się Jones - jeżeli mi uszkodzi strzelbę!

Wiadro był cały najeżony mackami. Wyglądał jak metalowy kadłub zaczepiony na wielu linach, coś w rodzaju wielkiego pająka wiszącego na podartej, opadającej pajęczynie. Wydawało się, że macki wyrastają z każdej dziurki jego perforowanego korpusu. I to one zaczęły popychać ich wszystkich wzdłuż krawędzi, tam, gdzie ścieżka opadała kretko w dół, niknąc w wąwozie.

- On ma niegłupi pomysł - ocenił Gib. - Wynośmy się stąd.

Z dołu dochodziły wrzaski i przekleństwa. Część kobiet i dzieci przewracała się w ciemnościach, reszta wpadała na nie podczas ucieczki z półki skalnej. Prastarzy oderwali się ostrożnie od ściany.

Poganiani przez Wiadro, dotarli do ścieżki. Wiadro oddał

Mary róg, Halowi łuk i miecz Cornwallowi. Strzelbę Jonesa cisnął na sam środek półki skalnej.

- Czemuś to zrobił, ty cholerniku! - pieklił się Jones. - Zrobię z ciebie złom. Przerobię na czajnik!

- Idziemy - ponaglił Cornwall. - Wie, co robi.

Wiadro wyciągnął skręconą mackę i owinał ją wokół pieczeni z niedźwiedzia, smażącej się na ogniu, po czym uniósł pieczeń. Kropelki gorącego tłuszczu prysnęły Cornwallowi na twarz.

- No to mamy kolację - rzekł Oliwer oblizując się.

- I nie musimy jeść żadnego demona - dodał z ulgą Płaksa.

- Tutaj jesteśmy bezpieczni - powiedział Hal. - Raczej nie będą próbowali nas gonić. Wydaje mi się, że nie są zbyt odważni, zwłaszcza nocą, a do tego boją się tego wąwozu jak diabeł święconej wody.

- Jest pan pewien, że o tym wąwozie mówili? - zapytał Cornwall.

Jones skinął głową.

- Tak, właśnie nim dotarłem tutaj z uniwersytetu. Musiałem przejść tuż obok obozowiska Prastarych i nawet tego nie zauważyłem. Przypuszczam, że teraz opowie mi pan o tym robocie. Gdybym wtedy miał młot pod ręką, nie wyglądałby już tak pięknie! Chociaż, muszę przyznać, udało mu się wyratować nas w sprytny sposób z opresji. Byłbym mu jednak wdzięczny, gdyby uprzedził nas.

- Nie mógł nas uprzedzić - powiedział Hal. - Nie może mówić.

- To była taka dobra broń - rzekł Jones. - Co ja bez niej zrobię? Co go podkusiło, jak pan myśli?

- Nie sposób powiedzieć - odparł Cornwall. - Jest z nami dopiero od kilku dni, a musiałyby minąć całe lata, zanim zaczę-

libyśmy go rozumieć. Najwidoczniej uważał, że oddanie panu broni nie jest dobrym pomysłem.

Osobiście nie zgadzam się z nim w tej kwestii, ale przypuszczam, że miał jakieś swoje racje.

- Może postąpił tak dlatego - rzekł Płaksa do Jonesa - że ta rzecz, którą nazywasz bronią,

wyprzedza znacznie nasze czasy. Może czuł, że ona nie ma prawa się tu znajdować. Jest nawet nazwa na określenie czegoś takiego. „Anachronizm”, wydaje mi się, ale nie jestem pewien.

- Żałuję, że ją straciłem - powiedział Jones - ale muszę przyznać, że nie czuję wielkiej potrzeby, by zawrócić i ją odzyskać. Wystarczy, że w życiu nie zobaczę więcej żadnego Prastarego. Strzelba i tak jest najprawdopodobniej do niczego. To wasze Wiadro cisnęło ją z taką siłą, że pewnie niewiele z niej zostało.

Wąwóz ciągnął się przez wiele mil, a oni wędrowali i wędrowali w słabym świetle księżyca. Po paru godzinach zatrzymali się, by rozpaść ognisko w dużym zagłębieniu, znajdującym się pośrodku gigantycznej kupy gładów. W mgnieniu oka spałaszowali pieczeń z niedźwiedzia i usiedli, by spokojnie porozmawiać.

- Umieram z ciekawości - rzekł Jones. - Powiedzcie mi, co się wydarzyło.

Oparty o kamień Cornwall opowiedział mu całą historię. Pomagali mu w tym pozostali, zwłaszcza Płaksa.

- Ogniste koła - powtórzył Jones. - Interesujące. Wygląda mi to na latające talerze, które w moim świecie stanowią zarówno plagę, jak i rozrywkę. Więc mówicie, że były destrukcyjne?

- Niezwykle - rzekł Cornwall. - Starły zamek na proch.

- Po śmierci Bestii Chaosu.

- Wydaje nam się, że ona nie żyje - powiedział Hal. - Większość nas uważa, że wiele na to wskazuje. Natomiast nie wiemy, dlaczego wydarzył się ten incydent z ognistymi kołami. Po zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że być może celem ataku był Wiadro. Prawdopodobnie zaplanowały sobie, że zaatakują

zamek w momencie, gdy będziemy wyciągać Wiadro, a my pośpieszyliśmy się o parę godzin.

- Bestia Chaosu musiała mieć świadomość niebezpieczeństwa - powiedział Jones. - Dlatego kazała mieszkańcom zamku wydobyć Wiadro jak najszybciej po swej śmierci.

- Wiadro pewnie też wiedział - dodał Gib. - Nalegał przecież, żebyśmy szybko stamtąd uciekali.
- Czy miał pan okazję - zapytał Jones - zbadać tego zrodzonego w burzę robota? Ma pan jakieś dane? Cornwall wzruszył ramionami.
- Jeśli za dane uważa pan fakty i obserwacje, do których dochodzi się ciężką pracą, to odpowiedź brzmi - nie. Podejrzewam, że w pańskim świecie do danych przywiązuje się większą wagę. Wiemy o nim tylko parę rzeczy: że chyba jest z metalu, nie ma oczu, a jednak widzi, nie umie mówić, nie je, ale nadal mi się wydaje, że...
- Ostrzegł nas, byśmy opuścili zamek - przerwał mu Gib. - Stał się dla nas jucznym koniem, gdy przekraczaliśmy Przekłętą Równinę. Potem zniweczył magiczną moc pułapki na demony i wydobył nas z ciężkiej sytuacji, w której mogliśmy postradać życie.
- I bawi się z Szopem - dodała Mary. - Szop uwielbia go. Wydaje mi się, że nie powinniśmy tak o nim rozmawiać, gdy stoi tuż obok. Może rozumieć, co mówimy, i może czuć się zakłopotany. Wiadro nie wyglądał wcale na zakłopotanego. W ogóle nie przejawiał żadnych emocji. Stał spokojnie po drugiej stronie ogniska. Wszystkie macki miał schowane z wyjątkiem jednej, która - do połowy wysunięta - utworzyła skomplikowany kształt, podobny do prostopadłościanu, i leżała na czymś, co można by nazwać piersią robota.
- Ta jego macka jest trochę dziwnie ułożona - zauważył Oli-wer. - Zastanawiam się, czy to coś oznacza. Czy powinniśmy to dostrzec i domyślić się znaczenia?
- To rytuał - rzekł Płaksa. - Coś w rodzaju głupiego gestu rytualnego, najprawdopodobniej by wyrazić zadowolenie w jedyny sposób, na jaki mu pozwala język symboli. Jones spojrział w stronę Wiadra.
- Uważam, że on nie jest z tej ziemi. Tak jak Bestia Chaosu, nie wspominając o ognistych kołach. Myślę, że mamy do czynienia z obcymi istotami z głębi kosmosu. Obcymi, którzy przybyli tu z jakiejś bardzo odległej gwiazdy.

- To niemożliwe - powiedział Cornwall. - Gwiazdy są niczym innym jak niebiańskim światłem, zapalonym na firmamencie za sprawą łaski boskiej. Oni mogą być z zaczarowanego świata, z tajemniczego miejsca, do którego nie mamy wstępu, ale przecież nie z gwiazd!
- Odmawiam - rzekł lodowato Jones - stanowczo odmawiam prowadzenia dla pana seminarium o tym, co astronomowie z mojego świata zdołali odkryć. To byłaby strata czasu. Pan jest ślepy na wszystko z wyjątkiem czarów. Gdy tylko napotka pan coś niezrozumiałego, od razu wyskakuje pan z czarami.
- No to nie dyskutujmy na ten temat - powiedział pojednawczo Hal. - Zgadza się, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć się wzajemnie. Nie jest to zresztą absolutnie konieczne.
- Opowiedzieliśmy panu, co nam się przydarzyło - rzekła Mary do Jonesa - a teraz słuchamy pana. Szukaliśmy pana. Chcieliśmy zapytać, czy nie przyłączyłby się pan do naszej wyprawy przez Przekłętą Równinę, ale okazało się, że pan opuścił obóz.
- Wszystko przez Cornwalla - powiedział Jones. - Napomknął o uniwersytecie. Nie wydawał się przywiązywać do tego szczególnej wagi, ale był zaintrygowany. Mimo że tego nie powiedział, odniosłem wrażenie, że to uniwersytet jest w istocie jego celem. A ponieważ nie mam żadnych skrupułów, gdy do czegoś dążę, postanowiłem go uprzedzić.
- Ale skąd mógł pan znać miejsce, gdzie znajduje się uniwersytet? - spytał Cornwall. - Jak pan się tam dostał? Jones wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Udało mi się odgadnąć. Przystudiowałem dokładnie mapę.
- Ale przecież nie ma map!
- W moim świecie są. W moim świecie nie istnieją Mroczne Turnie ani Przekłętą Równina. Istnieją za to miejsca, zamieszkane przez normalnych ludzi, wymierzone i opisane na mapach, z drogami prowadzącymi do najdalszych zakątków. Za pomocą maszyny, która umożliwia mi przemieszczanie się między moim a waszym światem, przeniosłem się do siebie, gdzie

przestudiowałem odpowiednie mapy i określiłem miejsce, w którym powinien znajdować się uniwersytet. Potem przetransportowałem moją maszynę - chcę powiedzieć, że użyłem innej maszyny do przeniesienia maszyny, którą podróżuję między światami, w to miejsce w moim świecie, które odpowiada punktowi, w którym, według moich wyliczeń, winien znajdować się uniwersytet w waszym świecie. Jeżeli to wszystko nie wydaje się zbyt jasne...

- Istotnie - potwierdził Płaksa - niemniej proszę kontynuować.

- Wtedy wróciłem do tego świata i okazało się, że moje przewidywania okazały się trafne.

Wylądowałem zaledwie parę mil od uniwersytetu. Spędziłem tam kilka dni, co mi wystarczyło, by zorientować się, że będę potrzebował pomocy. Jak już wspomniałem, znalazłem księgi i rozmaite pisma, w których, niestety, nie mogłem odczytać ani słowa. Wtedy pomyślałem o was. Wiedziałem przecież, że spróbujecie przedrzeć się przez Przeklętą Równinę, więc miałem nadzieję, że Cornwall, po latach studiów w Wyalusing, zdoła je odczytać. W dodatku przeczuwałem, że możecie potrzebować pomocy. Więc wyruszyłem. Resztę zacie.

Uniwersytet? Nigdy w życiu nie widziałem nic podobnego. Okazała budowla, choć z daleka wygląda, jakby było wiele budynków. Moglibyście pomyśleć, że wzniosły ją wróżki. Budowla, która sprawia, panie Marku, wrażenie wzniesionej za sprawą pańskiej magii. Wygląda, jakby była z pianki i koronek, jakby ludzka ręka nie brała żadnego udziału w...

- Może rzeczywiście tak było - wtrącił Płaksa.

- Wokół uniwersytetu roztaczają się pola i ogrody; plony zostały już zebrane, więc nie ulega wątpliwości, że ktoś tego

wszystkiego dogląda. Widziałem bydło, świnie, kilka dość chudych koni, kurczaki, pawie, kaczki, gęsi, gołębie. Wystarczająca ilość zwierząt, by wyżywić sporo ludzi. Ale nie zauważyłem tam nikogo! Jak tam myszkowałem, chwilami miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, czasami wydawało mi się, że mignęła mi jakaś sylwetka, pośpiesznie znikająca mi z oczu. Nikt nie wyszedł,

by mnie przywitać, nikt też mnie nie pożegnał. Oni, kimkolwiek byli, chowali się przede mną.

- Oczywiście jesteśmy bardzo zadowoleni - powiedział Płaksa - że opowiedziałeś nam tę historię, gdyż zaciekała nas bardzo. Ale trzeba się przede wszystkim zastanowić, co mamy dalej robić.

- Musimy iść dalej — rzekł Cornwall. - Nie możemy wracać przez Przekłętą Równinę. Bez koni nie przedostaniemy się.

- I do tego są tam przecież diabły wcielone - przypomniał Gib.

- Mówisz, że nie możemy zawrócić - powiedział Płaksa. -A to głównie dlatego, że umierasz z chęci zobaczenia Uniwersytetu. Chodzi o to, że nie powinieneś go oglądać ani ty, ani nikt z nas. Wy, ludzie, macie swoje świątynie, a my - swoje. Wiele naszych zostało sprofanowanych i zrównanych z ziemią. Uniwersytet to jedno z niewielu miejsc, które przetrwały, i to tylko dlatego, że fakt jego istnienia był bardzo pilnie strzeżony.

- Nie wiem jak wy - powiedziała Mary - ale ja idę. Moi rodzice przeszli tą drogą i jeżeli nadal żyją, mam zamiar ich odnaleźć.

- Twoi rodzice - rzekł Jones. - Niestety nie wiem o nich zbyt wiele. Przetrzęsnałem Dom Czarownicy w poszukiwaniu dowodów ich pobytu, ale nic nie znalazłem. Idę o zakład, że gdybym związał tę wiedźmę, powiesił ją nogami do góry i rozpałił pod nią ognisko, dowody znalazłyby się natychmiast. Ale to robota nie dla mnie. W moim świecie nie znalazłem o nich żadnej wzmianki, ani też o nikim innym poza mną, kto by się przeniósł do tego świata. Z tego, co o nich słyszałem, wnioskuję, że to są ludzie z mojego świata. Prawdopodobnie urodzili się parę wieków po mnie. Ja muszę, na przykład, używać osiągnięć techniki, by się tu dostać, a nic nie wskazuje, że oni używali jakiegokolwiek maszyny. W wiekach późniejszych od mojego czasu badacze z mojego świata mogą być w stanie przenosić się tu bez posługiwania się maszyną.

- Jest wiele racji w tym, co Płaksa powiedział o świętym statusie uniwersytetu - oświadczył z

mądrą miną Cornwall. - Nie powinniśmy się pchać, gdzie nas nie chcą, chociaż faktem jest, że nie mamy po co iść gdzie indziej. Myślę, że wszyscy zgodzą się z tym, że nie możemy zawrócić. Na Przeklętej Równinie czekają na nas nie tylko diabły wcielone, ale również Prastarzy. Do rana odzyskają zarówno swoje włócznie, jak i odwagę. Wątpię, by poszli za nami w dół wąwozu, gdyż ich obawa przed nim wyglądała na niekłamaną, uważam jednak, że byłoby bardzo nierozważnie z naszej strony próbować wracać przez ich ziemie. Najlepsze, co możemy zrobić, Płakso, to uroczycie przysiąc, że będziemy trzymać język za zębami i nie dopuścimy się profanacji.

Płaksa sarknął:

- Nie liczyłem na to. Większość ludzi, gdy tylko ma okazję, okazuje się nieprawdopodobnymi gadułami. Myślę jednak, że trzeba to rozwiązanie zaakceptować, bo nie ma innego wyjścia.

Zgadzam się, że nie możemy wracać tą samą drogą.

- Cała nasza wyprawa okazała się zupełnie bezsensowna - rzekł Cornwall — i jest mi niezmiernie przykro, że w ogóle wyruszyliśmy. Poczuję się do winy.

- To przede wszystkim moja wina - odezwał się Gib. - Niepotrzebnie upierałem się, że muszę dostarczyć topór wykonany przez Prastarych jego prawowitym właścicielom.

- Nikt nie ponosi za to winy - rzekła Mary. - Skąd mogliśmy wiedzieć, że oni zareagują w taki sposób?

- A więc ruszamy w dalszą drogę - powiedział Hal. - Ciekawe, w co jeszcze się wpakujemy?

Gdzieś w oddali zawył wilk i wsłuchując się w wycie w zapadłej nagle ciszy, czekali, by odpowiedział mu głos innego wilka. Ale odpowiedzi nie było. Ognisko zaczęło powoli przygasać, więc Hal dorzucił parę drew.

Wąwozem schodziła postać w podartym odzieniu, stukając kijem w rytm marszu. Postrzępiony kruk siedział uczepiony kurczowo jej ramienia, a z tyłu kuśtykał wiernie mały biały pies.

- Dobry Boże - wykrzyknął Cornwall - to Plotkarz! Na-śmierć o nim zapomnieliśmy!

- To było jego zamiarem - powiedział Płaksa złośliwym tonem. - Wkrada się do naszej świadomości, po czym wyslizguje się z niej niezauważenie. To jego natura. Dziś go widzisz, jutro - nie. Gdy go nie ma, nigdy o nim nie myślisz. Tak łatwo zapominasz o nim, bo on sam tego chce.

To bardzo przebiegła postać.

- Do czorta, człowieku! - ryknął na Plotkarza Jones. - Gdzieś się podziewał?!

- Jeśli mnie nos nie zawodzi - powiedział Plotkarz - gdzieś tu jest pieczeń. Wyśmienita pieczeń. A ja jestem głodny jak wilk...

- Wielkie nieba - rzekł Jones - a czy kiedykolwiek było inaczej?

Było już późne popołudnie i niemal przemierzyli wąwóz, gdy na niebie ukazały się punkciki.

Stanęli i zaczęli się im przyglądać; punkcików przybywało.

- To tylko ptaki - powiedział Gib. - Staliśmy się zbyt nerwowi. Już niemal dotarliśmy do celu, ale nadal tkwi w nas przekonanie, spowodowane opowieściami Prastarych, że coś musi się wydarzyć.

Powiedziałeś, że wąwóz zaraz się kończy, czyż nie?

Jones skinął głową.

- Prastarzy mówili o Tych, Którzy Wysiadują w Górach - odezwał się Hal. - Przecież ptaki wysiadują.

- Przeszedł pan przez ten wąwóz - zwrócił się Cornwall do Jonesa - i nic się panu nie przydarzyło.

Nic panu nie zagrażało.

- Jestem przekonany, że tylko dlatego - odparł Jones - iż jechałem w odwrotnym kierunku. Wydaje się logiczne, że to, co tutaj przebywa, ma za zadanie ochraniać uniwersytet, więc nie zawraca sobie głowy tymi, którzy go opuszczają.

Pojawiało się coraz więcej punkcików, kołujących wolno i zataczających coraz niżej kręgi.

Nieoczekiwanie z dna wąskiego wąwozu wyrosła skalna ściana, zasłaniająca słońce. Tylko w samo południe dochodziły tu promienie słoneczne. Tu i tam rosły w niewielkich skalnych zagłębieniach,

wypełnionych marną ziemią, karłowate drzewa - głównie cedry i inne wiecznie zielone. Wiatr zawodził w krętym wąwozie.

- Nie podoba mi się to miejsce - powiedział Płaksa. - Przejmuje mnie dreszczem.

- No i znowu jestem tutaj - rzekł Jones - a jedyną bronią, jaką mam, jest drewniana maczuga, którą udało mi się przypadkiem zdobyć. Gdybym tylko miał strzelbę. Gdyby ten głupi robot nie wyrzucił mojej strzelby...

Głupi robot stał nieporuszony słowami Jonesa, jeżeli oczywiście słyszał, co zostało powiedziane.

Wszystkie macki miał schowane, z wyjątkiem tej, która przybrała kształt prostopadłościanu.

Punkciki zbliżyły się na tyle, że można było dostrzec, iż są to olbrzymie ptaki o monstrualnych rozmiarów skrzydłach.

- Gdybym tylko miał swoje okulary, mógłbym dojrzeć, co tam jest w górze - powiedział Jones. -

Ale, oczywiście, nie mam ich. Wmówiłem sobie, że muszę podróżować z minimalną ilością bagażu. To cud, że w ogóle cokolwiek zabrałem. Jedyne dwie rzeczy, które naprawdę się liczyły, to strzelba i motocykl, a teraz nie mam żadnej z nich.

- Mogę ci powiedzieć, co to tam lata - rzekł Hal.

- Masz dobre oczy, przyjacielu.

- On ma oczy mieszkańca lasu - wyjaśnił Gib. - Wzrok myśliwego.

Hal powiedział spokojnie:

- To są harpie.

- Najbardziej niebezpieczne kreatury w Czarodziejskiej Krainie! - zapiszczał Płaksa. - Podlejsze niż diabły wcielone! I zaskoczyły nas na odkrytym terenie!

Szczęknęła stal, gdy Cornwall wyciągnął miecz.

- Coraz lepiej nim sobie poczynasz - zauważył niedbale Hal. - Idzie ci już jak po maśle. Gdybyś miał odrobinę więcej praktyki...

Harpie nurkowały z zabójczą prędkością. Pikowały ze złożonymi skrzydłami i wysuniętymi do przodu drapieżnymi dziobami na okrutnych, podobnych do ludzkich twarzach.

Zadźwięczała cięciwa łuku Hala i jedna z harpii zachwiała się w swym pikującym locie, rozpostarła bezradnie skrzydła i spadła na ziemię. Cięciwa zadźwięczała ponownie i następna zaczęła koziołkować.

Wszyscy oczekiwali ataku harpii. Plotkarz stał odwrócony plecami do skalnej ściany, trzymając w pogotowiu kostur. Mały kulawy pies przysiadł między jego nogami, kruk spoczywał na ramieniu, skrzecząc wniebogłosy.

- Niech no tylko się zbliżą - powiedział Plotkarz, jakby się modlił lub, co było bardziej prawdopodobne, mówił do siebie. - Porozwalam im te ich głupie łby. Nienawidzę tego obrzydliwstwa. Nie powinienem być tutaj, ale przecież nie mogę teraz, ot tak, odejść. Pobiesiadowałem nieźle z tymi tu, i to aż dwa razy, i mój Fido z ich Szopem stali się dobrymi kompanami.

- Schyl się - zwrócił się Cornwall do Mary. - Nie oddalaj się ode mnie.

Płaksa i Oliwer zebrali pospiesznie stos otoczaków i stali teraz po obu jego stronach, każdy z kamieniem w ręce.

Harpie znajdowały się dokładnie nad ich głowami i zmieniały właśnie kierunek natarcia, obracając się w powietrzu, tak że widać było ich ogromne szpony.

Cornwall zamachnął się mieczem i świszczące ostrze obcięło atakującej bestii nogi. Spadła na ziemię; jej cielsko toczyło się i podskakiwało. Zraniony potwór zamierzył się straszliwym dziobem w nogę Hala, ale, na szczęście, nie trafił.

Stojący przy Plotkarzu Wiadro przeobraził się w centrum wiążących się ramion, tworząc z nich gęstą sieć, która strącała nurkujące harpie i ciskała nimi o kamienną ścianę.

Jones, wymachując z pasją maczugą, zwalił na ziemię dwie bestie. Trzeciej udało się przedrzeć;

wbiła szpony jednej nogi w jego ramię, drugą nogą usiłowała sięgnąć twarzy. Machała przy tym potężnymi skrzydłami, aby wzbić się w powietrze. Hal, słysząc przeraźliwe krzyki rannego Jonesa, odwrócił się i posłał strzałę w ciało bestii. Upadli i Jones, i harpia. Jones błyskawicznie wyswobodził się i uderzył maczugą w czaszkę potwora. Jego lewe ramię, całe zakrwawione, wisiało bezwładnie.

Za każdym razem gdy Plotkarzowi udało się odeprzeć kosturem atak, kruk wrzeszczał triumfalnie. Oliwer i Płaksa ciskali kamień za kamieniem.

Gib usiekł swą siekierą dwie bestie, podczas gdy Cornwail, zataczając mieczem śmiertelne koła, zabijał harpie jedną po drugiej. Pół tuzina zranionych bestii trzepotało skrzydłami i skakało po skalistym dnie wąwozu. Powietrze przepełnione było fruującym pierzem.

Jedna z harpii, nie trafiwszy w Płaksę, prawdopodobnie na skutek zawadzenia o zaporę z kamieni, którą ten wznosił z Oliwerem, zaczepiła pazurem przez przypadek za jego pasek i zaczęła się unosić w górę. Płaksa wrzasnął z przerażenia i Hal, widząc, na co się zanosi, wypuścił strzałę, która przeszła szyję bestii. Płaksa i harpia spadli na ziemię.

Harpie zaprzestały ataku i zaczęły wzbijać się ciężko w górę.

Cornwail opuścił miecz i rozejrzał się. Mary siedziała u jego stóp. Płaksa przeklinając usiłował wydostać się ze szponów martwej harpii. Hal opuścił łuk i obserwował odlatujące bestie.

- One powrócą - powiedział - jak tylko się przegrupują. A ja mam trzy strzały. Kilka mógłbym wyciągnąć z zabitych harpii, ale na to potrzeba czasu.

Płaksa kuśtykał, nieustannie miotając przekleństwa. Wyładował swą złość na Halu.

- Ta strzała, którą wypuściłeś, o mało co by mnie trafiła. Świsnęła mi koło uszu!

- Wolałbyś, żebym pozwolił cię porwać? - zapytał Hal.

- Mogłeś celować dokładniej! Cornwall zapytał Jonesa:

- Mocno pana zraniła?

- Mam głęboką ranę w ramieniu. Obawiam się, że wda się infekcja. - Rzekł do Hala: - Dziękuję.

- Będzie nam bardzo ciężko odeprzeć ich następny atak - powiedział Cornwall. - Tym razem mieliśmy sporo szczęścia. Myślę, że nasz zacięty opór bardzo je zaskoczył.

Wąwóz okrył się cieniem. Promienie słoneczne oświetlały już tylko wierzchołki strzelistych skał.

- Jest sposób - rzekł Plotkarz - w jaki możemy wezwać pomocy. Nie wiem, czy się uda, ale można spróbować.

Od momentu odlotu harpii Wiadro stał nieporuszenie. Macki miał schowane, z wyjątkiem tej ułożonej w prostopadłościan, spoczywającej na metalowej piersi.

Plotkarz trącił końcem kostura mackę i wyciągnął do Wiadra rękę.

- Proszę, daj mi to. To może być jedyna rzecz, która nas ocali.

Wiadro poruszył się i zaczął powoli rozwijać mackę. Wszyscy przyglądali się mu. W końcu zobaczyli, co tam trzymał - był to topór Prastarych.

- Oczyszczył dno naszego schronienia z kamieni i odłamków skalnych - wyjaśnił Gib - i tam to znalazł.

Wiadro podał topór Plotkarzowi. Ten podziękował. Chwycił topór w dłoń i podniósł wysoko w górę, intonując dziką, melodyjną pieśń. Wąskie ściany wąwozu podchwyciły frazy melodii i odbijały je, tak że niewielka przestrzeń wydawała się wypełniona wieloma głosami, jakby śpiewał cały chór. Gdy pieśń niosła się, w mroku dało się zauważyć pewne ożywienie. Słysząc było wyraźnie odgłos wielu kroków.

Mary krzyknęła, a Cornwall uniósł miecz, po czym opuścił go powoli i powiedział:

- Boże, ocal nas.

Wyglądało na to, że są ich setki, ledwie widoczne w mroku, na tyle jednak, że można było dostrzec, czym były - olbrzymimi guzowatymi istotami, podobnymi małpom, prawie nagimi, chociaż niektóre przewiązane były w pasie kawałkami skór. Szły ociężale, na ugiętych kolanach,

pochyłając się do przodu. Niosły drzewce z grotami z zaostrego kamienia, ich oczy pobłyskiwały złowrogo w ciemnościach.

Wysoko na niebie stada harpii przestały wznosić się kołując i rozpoczęły nurkowanie. Przypuściły zmasowany atak i obserwując je, Cornwall wiedział, że tym razem nie uda się im powstrzymać ich. Wyciągnął rękę i przytulił Mary do siebie.

Dzikie wrzaski zagłuszyły pieśń Plotkarza. Guzowate istoty wrzeszczały w szale i potrząsały włóczniami, wygrażając nurkującym harpiom. Ludzi tych ciągle przybywało i wąwóz wydawał się wypełniony nimi.

Harpie rzuciły się między ściany wąwozu. I nagle szarża załamała się. Harpie gwałtownie machały skrzydłami, by inaczej ustawić się do ataku na najeżone dzidami dno wąwozu, ale zaczęły wpadać na siebie i płoszyć się wzajemnie uderzeniami skrzydeł i fruwającymi piórami. Skrzeczały w zdumieniu i oburzeniu, a pod nimi kanciąści wojownicy wyli z radości.

Plotkarz przerwał swą pieśń i krzyknął donośnym głosem:

- Teraz uciekajcie! Biegnijcie co sił w nogach, bo wasze życie od tego zależy!

Cornwall pociągnął Mary za sobą.

- Podążaj za mną - polecił. - Trzymaj się blisko, ja będę torował drogę.

Opuścił głowę i rzucił się w tłum wojowników, oczekując oporu ze strony tłoczących się ludzi.

Lecz, ku swojemu zdumieniu, przedostał się przez nich, jakby byli masą jesiennych liści. Przed nim Jones potknął się i upadł; zaczął krzyczeć, gdy jego poraniona ręka zetknęła się z ostrym kamieniem. Cornwall pochylił się, podniósł Jonesa i podtrzymywał go, by ten mógł dalej biec. Cała kompania, nie wyłączając Mary, kłusowała przez tłum dziwnych wojowników. Spojrzawszy w górę, Cornwall zobaczył harpie, uwalniające się z wąskiej przestrzeni wąwozu i wypadające w oświetlone słońcem niebo.

Z przodu widać było światło; kończył się tam wąwóz i przechodził w równinę. Kanciąści

wojownicy zniknęli. Cornwall

minął Plotkarza, który podążał do przodu tak szybko, jak tylko potrafił, mamrocząc pod nosem z wysiłku. Z przodu skakał na trzech łapach mały biały pies, obok mknął Szop.

Wydostawszy się z wąwozu, zwolnili nieco. Oczom ich ukazała się oddalona o kilka mil, wznosząca się na niewielkiej równinie, otoczonej niebotycznymi górami, budowla jak z bajki. Tak jak powiedział Jones - z koronek i pianki, ale nawet w swej ulotności zadziwiała majestatem i wspaniałością.

- Może mnie pan już puścić — powiedział Jones. - Wielkie dzięki za podholowanie.

Cornwall zwolnił, zatrzymał się i puścił Jonesa. Ten obrócił głowę i spojrzał na ramię.

- Cała ta cholerna ręka pulsuje i pali - rzekł. Wyrównał krok z Corawallem. - Mój wehikuł jest tam, na górze. Stąd go widać, na prawo. A teraz muszę wziąć zastrzyk - o, do diabła, niech pan nie każe mi wyjaśniać. To czarodziejska strzykawka. Może będzie musiał mi pan pomóc. Pokażę panu, jak.

Przez łąkę, która leżała między nimi a budowlą z bajki, szła grupa istot. Z takiej odległości nie sposób było rozpoznać szczegółów, można jednak było dostrzec, że jedna istota jest wyższa od pozostałych.

- Patrzcie, niech mnie diabli wezmą - rzekł Jones. - Kiedy byłem tu ostatnio, szwendałem się po całej okolicy i nie spotkałem żywej duszy, oprócz zwierząt, a teraz jest ich całe mnóstwo.

Na czele biegła mała istotka, która podskakiwała i piszczała z radości, fikając koziółki, by wyrazić swą wylewność.

- Mary! - krzyczała. - Mary! Mary! Mary!

- Smyk - powiedziała Mary. - Przez cały czas zastanawiałam się, gdzie się podział ten mały łobuziak.

- Czy to ten, co robił z tobą babki z piasku? - zapytał Cornwall.

- Ten sam - odparła Mary. Uklękła i przywołała go, a on podbiegł i rzucił się jej w ramiona.

- Dowiedziałem się, że przybędziesz - powiedział - ale nie mogłem w to uwierzyć. - Uwolnił się z objęć i cofnął o krok, by

spojrzeć na Mary. - Odeszłaś i urosłaś - powiedział z wyrzutem. - A ja nie zmieniłem się nic a nic.

- Byłam w Domu Czarownicy i słyszałam, że zniknąłeś.

- Byłem tu przez całe lata. Mam ci tyle rzeczy do pokazania!

Istoty, które wyszły na spotkanie, zbliżyły się na tyle, że widać było, iż przeważali wśród nich ludkowie -roztąnczone i dokazujące stadko krasnoludków, trolli, elfów i wrózek. Pośrodku kroczyła postać, ubrana w długą czarną szatę z kapturem naciągniętym na głowę. Wokół postaci unosiła się jakby mgiełka, która raz ją odsłaniała, raz okrywała.

Istota zatrzymała się i rzekła głosem tak posępnym jak jej szata:

- Jestem Wielkim Strażnikiem. Wyszędłem, by was powitać. Podejrzewam, że mieliście drobne problemy z harpiami. One czasami stają się nadgorliwe.

- Nie było tak źle - odezwał się Hal. - Delikatnie je odparliśmy.

- Przestaliśmy zwracać na nie uwagę - powiedział Wielki Strażnik - bo mieliśmy tutaj niewielu gości. Parę lat temu byli tu twoi rodzice - zwrócił się do Mary. - Od tamtej pory nie było nikogo.

- Byłem przed kilkoma dniami - powiedział Jones - a wy w ogóle nie zwróciliście na mnie uwagi.

Myszę, że postaraliście się, by to miejsce wyglądało na opuszczone.

- Przyglądaliśmy się panu dokładnie - odrzekł Wielki Strażnik. - Musieliśmy się najpierw dowiedzieć, jakiego pokroju człowiekiem pan jest. Niestety, opuścił pan to miejsce raczej w pośpiechu...

Mary przerwała mu.

- Powiedziałaś, że moi rodzice tutaj byli. Czy to znaczy, że ich już nie ma?

- Odeszli. Opowiem ci o tym, ale trochę później. Będziecie nam towarzyszyć przy stole, prawda?

- S koro j uż o ty m wspomn iałeś - odezwał się Plotkarz - wydaje mi się, że nie miałbym nic

przeciwko czemuś na ząb.

Wielki Strażnik zajął przy stole miejsce gospodarza i teraz było widać, że nie ma on twarzy. Tam, gdzie powinna się znajdować twarz, pod kapturem było coś w rodzaju mgiełki, chociaż momentami Cornwall odnosił wrażenie, że widzi czerwone iskry w miejscu, gdzie powinny być oczy.

Gospodarz nie jadł, siedział tylko, podczas gdy oni ucztowali. Rozmawiał z nimi dość uprzejmie, ale o sprawach banalnych; wypytywał ich o podróż, opowiadał o tegorocznych zbiorach i o kapryсах pogody - słowem, prowadził towarzyską konwersację.

Było w nim coś dziwnego, nie chodziło tylko o mgiełkę kryjącą twarz, ale o całą jego osobę. Przypominał ducha, wydawał się bezcielesny; nikt zapewne nie byłby zdumiony, gdyby nagle rozwiął się i zniknął.

- Nie wiem, co o nim sądzić — zwrócił się Płaksa do Corn-walla szeptem. - Nie przypomina żadnej istoty żyjącej w Utra-cji. Nigdy nie słyszałem o kimś takim. Na pierwszy rzut oka można pomyśleć, że to duch, ale tak nie jest, i o tym jestem zupełnie przekonany. Ma w sobie coś tajemniczego, niejasnego, co mi się bardzo nie podoba.

Jedzenie nie było specjalnie wyszukane, ale smakowało i było pożywne, a poza tym każdy mógł najść się do syta. Wielki Strażnik zachęcał gości, by sobie dokładali.

- Mamy tego dużo - powtarzał. - Wystarczy dla wszystkich. Gdy wszyscy najedli się, odezwał się w te słowa:

- Teraz, gdy ucztą dobiegła końca, nadszedł czas, aby wyjaśnić pewne rzeczy. Na pewno chcielibyście zadać mi parę pytań.

- Zastanawiamy się... - wyrwał się Płaksa, ale gospodarz uciszył go gestem.

- To ty sam wciąż zastanawiasz się, kim jestem, więc myślę, że powinienem powiedzieć ci, co i tak zamierzałem uczynić we właściwym czasie. Nazywają mnie, jak się już przedstawiłem, Wielkim Strażnikiem, i w pewnym sensie jestem strażnikiem.

Przede wszystkim jednak jestem kimś, kogo moglibyście nazwać filozofem, choć to nie jest najodpowiedniejsze słowo. Nie ma w waszym świecie odpowiedniego określenia. „Inżynier-filozof - to chyba najtrafniejsza nazwa. Jeśli pan, panie Jones, i ty, szlachetny Marku, życzyście sobie podyskutować na ten temat, to trochę później...

- Możemy powstrzymać się od zadawania pytań - rzekł Cornwall - ale jest jedna sprawa, którą musisz koniecznie nam wyjaśnić. Skąd znasz nasze imiona i nazwiska?!

- Nie polubicie mnie za to, ale wam powiem. Uczciwa odpowiedź brzmi: czytam w waszych myślach. Mogę czytać w najskrytszych myślach, jeśli zechcę, ale to nie byłoby zbyt miłe, więc tylko przeglądam je pobieżnie. Wyłącznie najważniejsze informacje - kim jesteście i skąd przybywacie. Chociaż, gdybym sięgnął głębiej i wydobył wasze największe sekrety, nie powinniście w najmniejszym stopniu czuć się zażenowani. Bo nie jestem z tej planety i uznaję inne wartości niż wy. Nawet gdyby te wartości były zbieżne, nie ośmieliłbym się nikogo osądzać, gdyż od wielu eonów wiem, że istnieje olbrzymie zróżnicowanie poglądów.

- Zanim reszta pospieszy z pytaniami - wyrzuciła z siebie jednym tchem Mary, nim ktokolwiek zdążył otworzyć usta - chciałabym dowiedzieć się, co się stało z moimi rodzicami.

- Powędrowali z powrotem do domu.

- Chcesz powiedzieć, że wyruszyli beze mnie? W ogóle nie mieli zamiaru wrócić po mnie.

- Gdy ci powiem, znienawidzisz mnie - rzekł Wielki Strażnik - i będziesz miała wszelkie prawa po temu. To ja ich do tego skłoniłem, dostarczywszy przekonujących dowodów, że już nie żyjesz.

- Jak mogłeś zrobić taką straszną rzecz! - wykrzyknęła Mary oburzona. - Cóż za obrzydliwy postępek! Mam nadzieję, że przynajmniej podasz powód...

- Moje dziecko, miałem powód. I pocieszam się myślą, że wszystko skończy się dobrze również dla ciebie...

- Hm, więc potrafisz także przewidywać przyszłość - po-

wiedział Jones. - Od tych wszystkich twoich wątpliwych zalet skóra człowiekowi cierpnie.

- Nie jest dokładnie tak - odrzekł lekko dotknięty Wielki Strażnik. - Mam po prostu pewne wycucie przeznaczenia. W pracy, którą wykonuję, to niezbędne...

- Zapomnij o przeznaczeniu - rzekła chłodno Mary - i powiedz nam, co było tak ważne...

- Gdybyś przestała krzyczeć na mnie i dała mi sposobność wytłumaczenia...

- Wcale nie krzyczę.

- Dobrze już, wyjaśnij nam - powiedział Cornwall - ale ostrzegam cię, Wielki Strażniku, lepiej, by twój powód okazał się naprawdę istotny.

- Może zacznę od początku, co powinienem był zrobić. Moja rasa jest bardzo stara i zrodziła się na planecie położonej w samym sercu galaktyki. Na długo zanim powstał człowiek, pewnie jeszcze nim pierwszy żywy organizm wyczołgał się z morza, zbudowaliśmy wielką cywilizację. Wiem, wiem, panie Marku, że jest pan trochę skonfundowany i może trochę rozdrażniony...

- Nie przejmuj się nim, Wielki Strażniku - przerwał Jones. - Może zadawać pytania później. Powoli zaczyna otwierać swój umysł, widząc, że istnieje coś więcej niż tylko magia.

- Dobrze. Mogliśmy wznieść naszą cywilizację na bardzo wysoki poziom, dzięki czemu stanęlibyśmy na czele całej galaktyki, a może i wszechświata. Stanowiliśmy bowiem jedną z pierwszych inteligentnych ras i wyprzedziliśmy wszystkie inne już na starcie. Mogliśmy ukształtować dla siebie sposób życia, który przewyższałby wszystko, co bylibyśmy sobie w stanie wyobrazić. Ale znaleźli się między nami mądrzy, którzy już w tych dawnych czasach widzieli niebezpieczeństwo grożącej nam samotności. Zdawali sobie sprawę, że jeżeli nadal będziemy szli tą drogą, zostaniemy sami, odetniemy się od wszystkich innych kultur. Musieliśmy podjąć decyzję i zrobiliśmy to. A brzmiała ona: nie będziemy żyć tylko sami dla siebie, lecz również dla innych inteligentnych ras, które mogą rozwinąć się w galaktyce.

- Znam takich - rzekł Jones ostro. - W moim świecie można spotkać ich na każdym kroku. Typ

świętego Mikołaja, pchającego się ze swą pomocą tam, gdzie go nikt nie potrzebuje, uszczęśliwiającego ludzi na siłę.

- Źle mnie pan zrozumiał - powiedział Wielki Strażnik. - Jesteśmy tylko i wyłącznie obserwatorami.

Próbujemy w nic się nie mieszać. Jedynym wyjątkiem są momenty kryzysowe.

- Myślisz, że właśnie jesteśmy w takim momencie?

- Odnoszę wrażenie, że tak właśnie może być. Nie przypuszczam, by miała wydarzyć się jakaś wielka katastrofa, nie, wręcz przeciwnie, obawiam się, że coś, co mogłoby się zdarzyć, może nie dojść do skutku. Na tym małym skrawku ziemi zrodziła się szansa na wielkość. Jeśli ta wielkość nie ziści się, unikalna kultura będzie stracona dla galaktyki, być może i dla całego wszechświata.

Jeśli to poprawi pańskie samopoczucie, panie Jones, powiem, że nie chodzi mi o was, ludzi, lecz o innych obywateli galaktyki. Chciałbym, abyście uwierzyli, że nie jesteśmy żadnymi misjonarzami.

Nie jesteśmy też pracownikami opieki społecznej. Po prostu przyglądamy się i nie tracimy nadziei.

Ujawniamy się i włączamy tylko do spraw, które wydają się nie mieć rozwiązania.

- Wszystko brzmi pięknie - rzekł Cornwall - ale nie wyjaśnia najważniejszej sprawy. A

najistotniejsze jest to, w jaki sposób widzisz, Wielki Strażniku, wielkość tego miejsca. Miejsce zgromadzenia wiedzy Utracji, oczywiście, to jest warte ocalenia, ale...

- Nie wiedzy samej Utracji, przyjacielu, ale wiedzy, nadziei i potencjału trzech wielkich cywilizacji, które wypłynęły ze wspólnego źródła, trzy różne filozofie, które, gdyby zostały połączone...

- Trzy? - zdziwił się Jones. - Chyba wiem, do czego zmierzasz, ale są tylko dwie, nie trzy. Kultura

Utracji i świat Comwalla z jednej strony, z drugiej - kultura mojego świata. Czary i technika -

zgadzam się, że to mogłoby ciekawie zadziałać w duecie.

- Jest jeszcze inny świat - rzekł Wielki Strażnik. - Świat

rodziców Mary. Wasz świat podzielił się nie raz, a dwa razy. Macie teraz trzy światy w jednym.

- Miałem wystarczającą ilość problemów ze zrozumieniem tych dwóch światów - powiedział Cornwall. - Myśleliśmy, że rodzice Mary pochodzą z tego samego świata co Jones, najwyżej z czasów o parę wieków późniejszych.

- I właśnie do tego trzeciego świata powrócili moi rodzice - odezwała się Mary. - Dlaczego to było takie ważne?

- Nie mogłem pozwolić na to - rzekł Wielki Strażnik - żeby mi się wyśliznęli. Widzicie, gdyby im się coś stało, nie było żadnej gwarancji, ba, powiem nawet, że byłaby wręcz znikoma szansa, by ktokolwiek inny z tego trzeciego świata kiedykolwiek tu się zjawił. Nakłoniłem ich, by wrócili do siebie, zabrali owoce ich kultury i sprowadzili je tutaj.

- Nieźle pomyślane - rzekł Jones. - Zgrabny i prosty pomysł.

Wielki Strażnik potaknął.

- Mam zamiar przekształcić to miejsce w skarbnicę wiedzy trzech światów. Z pańskiego, panie Jones - technika, ze świata rodziców Mary - wielkie humanistyczne wartości, których brakuje obu pozostałym światom. Zamierzam złożyć to wszystko razem, przemieszać, zbudować nową kulturę z tego, co najlepsze. Z najodleglejszych zakątków galaktyki pościągać naukowców, z których część stanie się przedstawicielami dyscyplin, o jakich nigdy nie słyszeliście.

- Wnioskuje z tego - powiedział Cornwall - że macie tu sporo starych manuskryptów. Nie mogę się doczekać, by je zobaczyć. Mam zdolność władania niektórymi martwymi językami. Choć myślę, że mój przyjaciel, goblin, może w wielu wypadkach władać nimi znacznie lepiej. Spędził wiele lat w bibliotece w Wyalusing.

- Wam to będzie odpowiadało - rzekł Gib - ale co z nami? Wy siądziecie sobie, obłożycie się manuskryptami i nic wam nie będzie brakowało do szczęścia. A my? Hal, Szop i ja nie mamy co tutaj robić. Zresztą, wykonaliśmy już nasze zadanie. Dostarczyli-

śmy topór Prastarym, chociaż mogliśmy byli oszczędzić sobie zachodu. Ale zrobiliśmy to. I

odnaleźliśmy to miejsce.

- Przecież my nawet nie potrafimy czytać - rzekł Hal. - Nigdy nas nie uczono czytać. Żaden Bagiennik ani Mieszkaniec Wzgórz...

- Jeśli o to chodzi - powiedział Płaksa —to ja też nie umiem, ale to nie ma nic wspólnego z moją chęcią powrotu. Na mnie przecież czeka kopalnia, którą prowadzę, no i moi przyjaciele, których tam pozostawiłem. Gib i Hal mają także swoje zajęcia, do których muszą wrócić. Jeżeli istnieje jakaś inna możliwość, bardzo nie chcielibyśmy wędrować w ten sam sposób, w jaki tu dotarliśmy.

- Mogę was zabrać z powrotem - rzekł Jones. - I tak muszę wracać do mego świata, by mi się zajęli ręką. Po zastrzyku, który dał mi Mark, i z opatrunkiem zrobionym przez Mary czuję się bardzo dobrze, ale...

- Jestem pewien - odezwał się Oliwer - że gdybyś dał mi czas na przestudiowanie kilku z tych starych ksiąg, mógłbym znaleźć takie czary...

Jones aż jęknął.

- Magii mam już powyżej uszu. Wracam tam, gdzie znają antybiotyki. Mogę zabrać całą resztę ze sobą, potem nastawić mą maszynę na miejsce odpowiadające ich bagniskom i wzgórzom i przenieść ich pięknie do domu. Jedyne problem w tym, że w moim świecie będą musieli pozostać w ukryciu. Nie mogę ryzykować, że ktoś ich zobaczy.

- Z największą chęcią - rzekł Gib. - Przyrzekamy siedzieć jak mysz pod miotłą.

- Ale pan tu wróci? - zapytał Wielki Strażnik Jonesa.

- Jezu, jasne! Za nic w świecie nie chciałbym stracić takiej okazji! Oczywiście nie dla twojej cennej galaktyki, rozumiesz, nie po to, aby budować tę wspaniałą kulturę, o której gadasz, ale dla zabawy, jaka z tego wyniknie. Już to widzę!

- Niech pan pamięta, ma pan dostarczyć podstawową dokumentację waszej techniki, razem z towarzyszącą jej filozofią. To, co napisali wielcy pańskiego świata.

- Chyba żartujesz - odparł Jones. - Gdybym przyniósł setki, ba, tysiące tomów, to jeszcze więcej ich zostanie. I co to właściwie ma być - podręczniki techniczne, fotokopie, plany, schematy, przeźrocza, prasa naukowa? O psia krew, spróbuję przytargać najlepsze, co uda mi się znaleźć, i będę się zaśmiewał, gdy siądziesz, by połapać się w tym wszystkim.

- Cieszy mnie - powiedział Wielki Strażnik - że spodziewa się pan mieć z tego niezłą zabawę.

- A więc troje spośród nas na pewno zostanie - podsumował Cornwall. - Wydaje mi się, że Wiadro również. Zaraz, mówisz, Wielki Strażniku, że potrafisz czytać w naszych myślach. Czy w jego też? On nie może z nami rozmawiać, choć wygląda na to, że wszystko rozumie. Czy byłoby nieetyczne, gdybyś nam powiedział, co o nim wiesz?

- Jest dobrze do pana usposobiony - rzekł Wielki Strażnik - jeśli o to panu chodzi. Odczuwa wdzięczność i jest przyjacielem. Może mu pan ufać. Nie mam zielonego pojęcia, czym jest, gdyż on najprawdopodobniej sam nie wie. Może z czasem do tego dojdzie. Ma w sobie wiedzę, przekazaną mu przez rodzicielkę, która chyba uciekła z odległego miejsca w kosmosie. Nie jest odbiciem matki, jak już chyba zauważyliście. Rasa, od której pochodzi, miała najpewniej zdolność zmiany kodu genetycznego swojego potomstwa i tworzenia dowolnych form, bez zachowania żadnego podobieństwa do rodzica. Tak więc matka Wiadra ukształtowała go w taki sposób, by posiadał cechy potrzebne do przetrwania, niezbędne dziecku istoty ściganej. Ci, co ją ścigają, na pewno przekażą w genach zadanie ścigania jej swoim potomkom. Widzę, że Wiadro nie uświadamia sobie jeszcze, w jakie nadzwyczajne zdolności wyposażyła go matka. Prawdopodobnie odkryje je, jedną po drugiej, gdy zajdzie potrzeba. Trzeba powiedzieć, że Wiadro jest wielką niewiadomą.

- Diabelnie dowcipne określenie - rzekł Jones.

- Może, panie Jones. Musi pan jednak przyznać, że w wielkiej niewiadomej często pokłada się największe nadzieje.

- Jeśli chodzi o nadzieje, to ja mam taką, że ta wielka nie-

wiadoma nie zerwie się nagle i nie porąbie nas wszystkich na kawałki. Po tym incydencie ze strzelbą...

- Ciii, panie Jones. Jest tu jeszcze ktoś, kto do tej pory nie zabrał głosu. Panie Plotkarzu, czy chciałby pan coś powiedzieć?

- Jestem tylko posłańcem - odparł Plotkarz - chłopcem na posyłki, pomagam pokonywać drobne trudności. Jestem kimś, kto pilnuje, by wszystko było na miejscu i o niczym nie zapomniano.

- Nie zamierza pan tu zostać?

- Mam zbyt dużo do zrobienia, zbyt wiele mil do przemierzenia. Muszę uporządkować wiele spraw i właściwie powinienem już zaczynać. - Sięgnął do swej szaty i wyciągnął topór Prastarych. - Ponieważ Prastarzy odrzucili go, musi być zwrócony temu, kto go niósł i strzegł przez całą tę męczącą drogę. Może jest to nędzna zapłata za wszystkie kłopoty, których ten topór przysporzył, ale w końcu to pamiątka.

Rzucił topór, a Gib złapał go z uśmiechem.

- Będę pokazywał go - rzekł Gib - gdy będę opowiadał o naszej wyprawie. Pięknie ci dziękuję, Plotkarzu. Plotkarz wyciągnął kościstą rękę w kierunku Mary.

- A teraz proszę o róg jednoroźca. Już go nie potrzebujesz. Oddaj mi go, proszę.

- Z największą ochotą - odparła Mary. - Ale nie bardzo rozumiem...

- Musi być wbity z powrotem w wielki dąb, by tam tkwić, gdy przyjdą następni pielgrzymi. Musisz zrozumieć, że rogi jednoroźca są towarem deficytowym i musimy je wykorzystać jak najlepiej.

Odeszli dobrzy kompani wędrówki. Maszyna Jonesa przeniosła ich w nicość.

Cornwall odwrócił się i z ciężkim sercem ruszył za pozosta-

tymi poprzez łąkę w kierunku bajkowej budowli, jaśniejącej w świetle księżyca. Ludkowie podskakiwali radośnie dokoła, pośród nich Wielki Strażnik zdawał się płynąć jak czarny żaglowiec,

który chwycił wiatr. Z boku, jakby osamotniony, podążał nierównym krokiem Wiadro.

„Oto koniec - myślał Cornwall - koniec długiej wędrówki, rozpoczętej w Wyalusing, gdy znalazłem ukryty manuskrypt. Nie tak to sobie wyobrażałem. Wyruszyłem, by odnaleźć Prastarych, a teraz oni w ogóle nie mają najmniejszego znaczenia, gdyż okazali się kimś zupełnie innym, niż się spodziewałem.”

Przypomniawszy sobie noc, gdy po przebyciu Przekłętej Równiny dotarli wreszcie do wody. Czuł się wtedy winny doprowadzenia do wyprawy, zastanawiał się, co trzeba będzie zrobić, gdy nadejdzie koniec, wiedząc, że powrót tą samą drogą, którą przybyli, równałby się niemal pewnej śmierci.

Teraz wszystko było skończone i nie było potrzeby wracać, bo czekała tutaj na niego praca na całe życie, a nawet na dłużej, na tej małej łące, otoczonej szczytami Mrocznych Turni.

Istniała tu szansa, jeśli Wielki Strażnik sienie mylił, połączenia trzech wielkich kultur i stworzenia nowej, wyższej kultury, przy współudziale nieznanymi naukowców dysponujących nieznanymi umiejętnościami i filozofiami.

I była tu również wielka niewiadoma w osobie Wiadra, który mógł nadać całej sprawie nowy, nieoczekiwany wymiar.

- Nie powinieneś czuć się nieszczęśliwy, Marku - rzekła do Cornwalla Mary. - Oni wracają do domu. Tam, gdzie chcą żyć. Potrząsnął głową.

- Nie byłem w stanie im nic powiedzieć. Na sam koniec nie znalazłem słów, którymi mógłbym ich pożegnać. Myślę, że oni też nie wiedzieli, co nam powiedzieć. Wszyscy zostawiliśmy tutaj część nas samych. Oni zrobili dla mnie tak wiele...

- A ty odwzajemniłeś im się tym samym. Wypełniłeś ich życie. Teraz przez wiele zimowych wieczorów będą opowiadali o tej wyprawie - Płaksa w swojej kopalni, Hal i Szop w Pustym Drzewie, Gib na bagnach.

- Dziękuję, Mary. Ty zawsze wiesz, co powiedzieć. Zawsze potrafisz osłodzić mi duszę.

Szli przez chwilę w milczeniu, po czym Mary rzekła:

- Smyk powiedział mi, że będą dla nas nowe ubrania. Potrzebujemy ich. Tobie wyłożą przez dziury łokcie i kolana, a ta moja suknia jest tyle warta, co szmata do podłogi. Powiedział, że jeśli zechcę, mogę dostać suknię ze złotego materiału. Wyobrażasz mnie sobie ubraną w złotą suknię? Będę wyglądała jak jakaś księżniczka!

Zatrzymał ją i odwrócił twarzą ku sobie.

- I bez złotej sukni jesteś dla mnie księżniczką. Najbardziej kocham cię ubraną w tę właśnie sukienkę, przesyconą zapachem Bestii Chaosu, znoszoną i pochłapaną tłuszczem. Obiecuj mi uroczyście, że nigdy nie użyjesz jej jako szmaty do podłogi.

Zbliżyła się do niego, objęła ramionami, a on przycisnął ją mocno do siebie.

- To będzie wspaniałe życie, Marku - wyszeptała. - Bez względu na to, czy dostanę złotą suknię, czy nie, będziemy mieli wspaniałe życie.

KONIEC